OSTATNI SEJMIKOWICZE.

przez

P. JAXĘ BYKOWSKIEGO.

CZĘŚĆ DRUGA.

WARSZAWA.
Nakładem Redakcyi Przeglądu Tygodniowego.

1876.

Дозволено Цензурою

Варшава, 15 Сентября 1875 г.

W drukarni Przeglądu Tygodniowego w Warszawie, przy ulicy Czystej Nr. 2.

I.

Po środku wąwozów i niezgłębionych parowów sinemi wodami Bohu przerzniętych, rozsiadło się miasto Winnica, i jakoby w dawnych wiekach obfitości winnych ogrodów nazwę swoję zawdzięczać miała, tak stare kroniki podają. Miasto położone w samem jądrze kraju, wśród najżyzniejszej gleby, zewsząd otoczone przez urodzajne niwy i bujne łąki, osłonięte gęstemi lasami od burz i wiatrów, dyszące świeżem powietrzem od bystrej rzeki która mu kształt półwyspu nadawała, posiadało wszelkie warunki dobrobytu, i do stanu najbardziej kwitnącego rości mogło prawo.

Lecz nie zaprzeczycie mi, że jak nad pojedyńczym człowiekiem, cięży niekiedy jakiś niepojęty fatalizm, tak rozciągnie się i zawiśnie nad ziemiami i całymi krajami,—a czemużby miasta wyjątek stanowić miały?

Owóż i nad Winnicą od wieków prawie jej poczęcia, zawisła ona nieodegnana chmura klęsk i przewrotności losu. Jeszcze w wieku czternastym

wydzierał ją Witold od Koryatowiczów. To łupili naprzemian w rozmaitych epokach tatarzy i hajdamacy.

Dopiero od Zygmunta Augusta, królowie i sejmy, bacząc na ten punkt ważny tak handlowy jako i strategiczny, a może zdjęci miłosierdziem nad wiekową nieskończonością klęsk przez jego mieszkańców doznawanych, zwrócili na miasto szczególną uwagę i poczęli to obwarowywać zamkami, to przywilejami obdarowywać; — a z tych za najstateczniejszy uważać można uchwałę sejmu 1598 roku, która stolicę województwa ze wszelkiemi jurysdykcyami, oraz sejmiki z Bracławia do Winnnicy przenosiła.

Lecz mimo to najazdy tatarskie zawsze pustoszyły miasto, tak iż w połowie siedmnastego wieku konstytucyą sejmową, dochód z winnickiego starostwa oddany był wojewodzie Bracławskiemu Jędrzejowi Potockiemu z warunkami, ażeby zamek obwarował, i swoim sumptem 200 regularnej piechoty przy nim utrzymywał.

Nie tu wszakże koniec nieprzerwanych klęsk miasta; bo choć z jednej strony przycichli tatarzy, ale z drugiej nad nieszczęśliwym grodem zaciążyło niemniej gniotące jarzmo Jezuitów, którzy tu około roku 1640 dom swój założyli.

Wiadomo iż ów pokorny zakon Najsłodszego Serca Jezusowego, jak się sami nazywali, nie mało do upadku nie tylko całego kraju, ale miast w szczególności przyczynił się. Oni bracia Jezusowi

rozsiadali się tam tylko, gdzie mogli bujać w niezmierzonych przestrzeniach, i wznosząc swoje olbrzymie szerokie gmachy, do koła nich rozciągali samowładne panowanie pod skromną nazwą *jurydyk;* a obierając dla siebie najdogodniejszy punkt, cały ruch miasta, wszystkie główne place pod jurydykę zajęli. Ze wszystkiego ciągnęli cła, myta i podatki, pod skromną nazwą czynszów, prostemi lub ubocznemi drogami, których zakon się święty nie sromał.

Tak było z chrześcianami, a co do żydów, tych by nie za wiele było nazwać poddanymi lub niewolnikami braci Jezusowych. Pod różnymi pozorami, to blizkości świątyni lub tylko figury jakiego Świętego, które na ten cel gęsto po miastach rozsiewać mieli we zwyczaju, to podburzeniem przeciw nim własnych uczni lub ludu chrześciańskiego, potrafili rugować ich na przedmieścia, lub za sowitą tylko opłatą w spokoju zostawiać.

Ażeby wzbudzić spółczucie dla ówczesnej Winnicy, dość powiedzieć, iż w mieście przy lustracyi w półtorasta prawie lat po osiedleniu tam Jezuitów, liczącem mało co więcej 200 domów, wielebni Ojcowie na rozściągnienie swego świątobliwego polipa, w najroskoszniejszej dzielnicy miasta przeszło dwieście morgów zajęli,—o czem łatwo się mniej więcej przekonać z ruin pojezuickich gmachów dotąd tam sterczących.

Tej rezydencyi nie uśpieszyli wielebni Ojcowie do roku 1773 dać nazwę Collegium, chociaż ten

domek skromny, innych obszernych by się nie powstydził.

Dziwna rzecz iż historycy nasi, tym nieszczęsnym miastom przez zakon osaczonym, nie nadali nazwy „jezuickich", a wcale by się z prawdą i słusznością nie minęli.

Do powyższych klęsk jeżeli dodamy starościńskie rządy smutnej pamięci Józefa Czosnowskiego, wielkiego gnębiciela mieszczan, a szczególniej żydów, którzy nie wprzód ośmielili się skargi o krzywdy i gwałty podnosić, aż na majątkach i własnych osobach będąc zabezpieczeni glejtem królewskim z roku 1780—łatwo wystawimy sobie stan smutny nieszczęsnego miasta.

Zaledwie przy końcu zeszłego wieku, za starostwa księcia Stanisława Poniatowskiego, synowca królewskiego, już po wygnaniu Jezuitów miasto wznosić się i jakotako kwitnąć poczęło.

Rzućmy okiem na ówczesne miasto, które od strony rzeki dość wspaniały przedstawiało widok: przed wjazdem, na zielonej kępie wznosił się zamek warowny, a jak tradycya niosła, jeszcze książąt Koryatowiczów, a później przez Zygmunta I odnowiony i wzmocniony. Przy samym moście wysoka brama drewniana, a po obu jej bokach dwie baszty dla więźniów, tudzież miejsca na odsiadywanie z wyroków sądowych wieży zwyczajnej i *in fundo*.

Za rzeką licha mieścina z drewnianych nędznych budynków złożona, pełzała w pokorze u nóg

wspaniałego gmachu Jezuitów; ten obwarowany murem wysokim, ze strzelnicami i basztami, obronnego zamku kształt nosił. Nad zamkiem zaś na najwyższym punkcie pyszna świątynia nad całą okolicą górowała. Reszta miasta, jakby przerażona ogromem i przepychem tej niezmiernej budowy, zdawała się tulić pod jej opiekuńcze skrzydło.

Po za nią w skromnem ukryciu, mniejszy i skromniejszych rozmiarów klasztor Dominikanów świeżo (1760) przez Grocholskiego podsędka Bracławskiego wzniesiony. A jak podanie mieć chce z planu znacznie obciętego przez Jezuitów, którzy żadnego w niczem i z nikim, chociażby z bracią zakonną, spółzawodnictwa nie znosili, i jeżeli tolerowali je w tym razie, to gwoli wpływom i hojności względem siebie możnego fundatora.

Ojcowie ci bowiem wielebni lubili przestrzeń i swobodę w działaniu, a władzy i wpływów duchownych z innymi zakonnikami podzielać nie chcieli. Dla tego żadne im zakony nie pachły, a mniej jeszcze żebracze, surowej reguły, do których lud skromny i pobożny lgnął szczególnie. Dla tego to i Kapucynów wypchnęli po za obręb miasta, pomimo to że fundował ich kl sztor pan możny sam starosta Winnicki Ludwik Kalinowski.

Miasto samo zwykle ciche i ponure, jak za zwyczaj wszystkie bywały pod duchownym ciężarem zgromadzenia Jezusowego, dziś przybrało postać

odświętną, gwarną i zgiełkliwą. Racyą zaś tego ruchu i zamącenia, był sejmik przed elekcyjny po śmierci Augusta III, na który szlachta tłumnie ściągała.

Na głównym rynku miasta jeszcze ludniej i gwarniej, zewsząd tam piesi i jezdni ciągnęli, a każdy prawie z małym tylko wyjątkiem, zdążał do trzech głównych celów, zawierających się w trzech długich domostwach które więcej od innych ku środkowi rynku wysunięte, odznaczały się różnobarwnością swoich facyatek, rozmaitymi wschodnimi hieroglifami upstrzonych.

Zdawało się iż same ściany tych domostw, wzajemnie z nienawiścią ku sobie poglądając, wspólnie do zaciętej walki wyzywały się. Warto zajrzeć do każdego z osobna.

Pierwszy z nich, był wysoki drewniany budynek na podmurowaniu; dach miał w kilku miejscach załamany, stosujący się do równie wyginanych dziwacznych kształtów domostwa. Dziesięć schodów przykrytych daszkiem na cienkich słupach wspartym, a w kolory tęczy pomalowanym, prowadziło do wnętrza. Nad dachem była duża facyata w formie trójkąta; jej to właśnie malarz, barw rozmaitych a sztukator zygzaków i esów nie szczędził. Atoli sam trójkąt dopiero mieścił na sobie całą artystyczną kwintesencyę tego budynku, albowiem mistrz tu przedziwnym pędzlem wyobraził, męża zbrojnego w szyszaku srebrnym, na białym koniu, siodło na nim i czaprak czerwo-

ny aż do kopyt końskich rozwlekły; rycerz w prawej ręce miecz goły wzniesiony w górę jakby do cięcia trzyma, w lewej zaś tarczę. Chociaż ów wizerunek nie w charakterze herbu oddany, bo bez mitry i paludimentu, jednak emblement sam przemawiał za siebie, gdyż pod nim snadno było się domyśleć klejnotu Książąt Czartoryjskich „Pogoni". Jakoż i gospoda niegdyś zwana „pod jeźdzcem" — dziś już bez ceremonii *pod Pogonią* zasłynęła, służyła za przytułek adherentom i poplecznikom partyi Czartoryjskich. Do koła, od ganku poczynając, przez całą długość domu ciągnął się krużganek, a chociaż drewniany, wątły na cienkich słupach wsparty, jednak liczna gromada ludzi kupkami go zasiadła, a pociągając trunek z rozmaitych według upodobania większych i mniejszych naczyń, szumiała i hałasowała w najlepsze.

Pomiędzy kupkami zręcznie acz z powagą przechadzał się mężczyzna dobrej tuszy i niemałego wzrostu. Miał na sobie kaftan rozpięty z musułbasu tureckiego, z pod którego przeglądały spodnie nankinowe, pończochy i trzewiki, a mycka amarantowa złotem haftowana, gęstą, czarną a szpakowaciejącą już nieco czuprynę pokrywała; kędzierzawa broda, twarz wcale uprzejmą otaczała.

Był to właściciel gospody Lejbka Granowski, a *Granowski* dla tego, iż pochodził z Granowszczyzny, na ówczas obszernych dóbr z ostatnią Sieniawską w dom Czartoryjskich wniesionych, których

był propinacyjnym, a można powiedzieć dziedzicznym arendarzem, bo przez kilka pokoleń z ojca na syna.

Lejba choć żyd, a jako taki według ówczesnych przesądów na najniższym bo pogardzonym szczeblu hierarchii społecznej stojący, jednak znany powszechnie jako główny motor wszelkich spraw nie tylko majątkowych, ale nawet dyplomatycznych jednego z pierwszych ówczesnych magnatów, Księcia Augusta Czartoryjskiego, Wojewody Ruskiego i z tego zapewne tytułu, nieco za pan brat ze szlachtą obchodził się, a stanowiąc najbliższy stopień ku osięgnieniu łaski pańskiej, nie jeden już w życiu pokłon szlachecki odebrał, i do nie jednej poufałości bywał przypuszczany.

Był on wprawdzie właścicielem, ale nie gospodarzem tej gospody; jej bowiem rządy i zyski zlał na uboższą rodzinę; sam zaś obecnie zaniechawszy spraw ważniejszych, pod skromną postacią winiarza, sprawy sejmikowe swojego pana atentował.

Dla tego i teraz bez służalczej pokory, przystającej jego spółwyznawcom— wzniósł głowę do góry, ręce w tył założył, i przechadzając się pomiędzy ucztującemi kupkami, z miną iście pańską, tu rzucił słówko, tam dowcipem rozśmieszył. Nikt zaś tą jego konfidencyą nie obruszał się, nie gorszył, i za zbyteczną nie poczytał.

— Ano panowie bracia; — zawołał głos z jakiejś kupki—za spokój duszy Jmci Króla nieboszczyka.

— Sit illi terra levis!

Ozwało się z powagą kilka głosów, wszystkie szklannice wzniesione do góry, i cisza przez czas jakiś zapanowała.

Lejbka zdjąwszy krymkę haftowaną, stanął na miejscu i pochyliwszy głowę postać poważną przybrał.

— A co waść panie Lejbka nie pijesz (ten tytuł „panie"—nigdy w owe czasy do żydów nie stosowany, był niezaprzeczonym dowodem wielkiej estymy).

— Wielmożnym panom wiadomo, że u mnie post teraz.

— Że post chowasz, to ci się chwali, bo każdy poczciwy człowiek, przepisów swojej wiary silnie przestrzega; wszakże coś mi się widzi, że waszmość w sąd ostateczny i czyściec nie wierzysz, — zagaił któryś.

— Ej co tam proszę jegomościów, każdy wierzy w co mu potrzeba, wy w waszych księży, my w rabinów, a Bóg jeden wie czyja tam lepsza.

A co ty żydzie, psiawiaro! ośmielasz się pod bokiem szanownych Ojców Jezuitów bluźnić, a może utrzymywać, że twoje talmudy lepsze od S. Ewangielii, ja cię tu nauczę.

Zakrzyczał Plichta z Wiśni, wielki zawadyaka, osobliwie gdy zalał ślepie winem, i już z gołą szablą na żyda miał się rzucić, kiedy w tem pan Podstolic Wisłocki, główny promotor i alter ego wojewody, tak w sprawach obszernych wło-

ści jako i dyplomatycznych, ergo i na sejmikach, a mąż siły wielkiej, złapał jedną ręką wojującego za kark, a trzymając w powietrzu basowym wrzasnął głosem:

— A co to ty spokojnych ludzi będziesz inwektował? Coć ten żyd uczynił, iż zda mu się że jego wiara lepsza, inaczej czyliby ją wyznawał? Rzuć mi tu zaraz szerpentynę, albo cię na tym haku powieszę. Skoro chcesz burd, to idź sobie do tych tam *hajdamaków* (w tem miejscu wolną ręką wskazał naprzeciw inną gospodę, także gośćmi przepełnioną).

— Wiesz—ciągnął dalej—że JO. Książę Wojewoda, burd takich, jakie się tam wyprawiają nie znosi, a niedba o stronników, którzy lgną do szklennicy, ale nie do przekonania. A kiedy masz łeb nie po kuflu, to go nie zalewaj nad miarę. Możesz tam iść, a ja tymczasem grunt zatraduję, wyeksmituję waszeć na śmiecię i o zaległą tenutę pozwę.

Szlachcic tymczasem duszony w powietrzu szerpentynę opuściwszy, chrypiąc submitował się i ekskuzował. Reszta, znając pana Wisłockiego, i jego moc iście Goliatową, iż to z nim nie przelewki, bo skoro się rozsierdził, to najliczniejszej kupie podołał, w milczeniu, z trwogą na tę scenę poglądała.

Lejbka jeden tylko, który co do spraw sejmikowych był przy Wisłockim doradzcą, a jako

doświadczony, posłuch jego posiadał, za onym patiensem wstawić się ośmielił:

— Wielmożny panie Podstolicu, chciejcie ich puścić. Czy to ja jmć pana Plichty nie znam, on sobie tylko tak żartował.

To mówiąc, nieznacznym gestem wskazał Wisłockiemu na przeciwległą gospodę, zkąd roje ciekawych głów wychylały się, i już pomimo pewnej odległości dawały się słyszeć hałasy, aplauzy, gwizdania, i urywane głosy wołały:

— Oho! jak książątka się bawią!... To u nich tam szlachtę jak psów za kark tormoszą.... hu! hu! hu! górą generalscy.

A dla tego partyę tę generalską zwano, iż Książę Wojewoda, acz urząd Generała Ziem Podolskich na starszego syna rezygnował, jednak i sam pod tym tytułem powszechnie był znany.

Wisłocki w porę puścił szlachcica, który, postawiony na ziemi, i nim się należycie umocował, chwiał się czas jakiś na niepewnych nogach.

Podstolic, idąc w myśli swojego pryncypała, burd wszelkich nieprzyjaciela, utrzymując przystojność w sejmikowym obozie, choć był raptus jednak nie zawzięty i rankoru nie chował, dalejże tedy ściskać szlachcica, a podniosłszy szerpentynę z ziemi, z rewerencyą oddając, prawił:

— Wybacz miłościwy bracie, żem nieco za gorąco z tobą postąpił, ale to już nie tyle za Lejbkę, który acz żyd, wielce Księciu Wojewodzie i nam wszystkim miły, atoli salwując twoje własne gard-

ło, bowiem byłeś tak rozwścieczony, iż mógłbyś go na miejscu położyć; wiadomo zaś waszmości, iż zabójstwo popełnione pod bokiem starosty.... a jeszcze jakiego starosty, co z tymi *hajdamakami* trzyma, czem pachnie? Jeżeli zaś obrazy jakąć uczyniłem, moja submissya okupić nie może i rankor mi za nią chowasz, to służę waści na rękę, ale nie dziś: raz dla tego że nam obydwóm czmera w głowach i nie na tem miejscu, tylko extra muros władzy starościńskiej, jutro równo ze dniem rozprawimy się.

Podczas całej tej lokucyi, Plichta stał jak osłupiały, a przychodząc powoli do siebie, tarł szyję i razem z innymi opamiętać się nie mógł, co znaczyło to raptowne przejście od niepomiarkowanej passyi do takich sentymentów. Szlachta, także poglądając wzajemnie na siebie, zdawała się w myśli stawić to pytanie:

— Na czem to się wszystko skończy?

Lecz niedaremnie Wisłocki słynął jako wielki dyplomata sejmikowy, a dla tego, podczas gdy szlachta całą tę okoliczność umysłem libacyami obciążonym ważyła, on ozwał się na nowo:

— Wszelako nim co do czego przyjdzie, zważyłem panie bracie, iż rozprawa waszeci ze mną jako pełnomocnikiem Księcia Generała, nie wprzód odbyć się może, aż usuniemy pewny ku temu impediment. Bowiem to losy oręża w ręku Boskiem, a chowaj Boże czego Książę Jmć gotów mi zarzu-

cić, że jego sustenaryuszów i debiterów sprzątam ze świata.

Nie dokończywszy tej mowy, do żyda zwrócił się:

— Panie Lejbka, pozwól mi wasan kawałek papieru, kilka tylko słów nakreślę.

Po czem, przeprowadzony przez uprzejmego gospodarza, do wnętrza domu udał się.

Szlachta zawsze oniemiała ze zdziwienia, nie pojmując przejść tych gwałtownych, z ukosa poglądając na siebie, zdawała się stawić kwestyę:

— Co to z tego będzie?

Jednak znając ferwor Podstolica, żaden jeszcze ust otworzyć nie poważył się, kiedy ten po paru minutach wrócił na krużganek z papierem w ręku, a przystąpiwszy do Plichty czytał:

— „Niniejszem niżej podpisany zeznaję, jako in vim udzielonego mi pełnomocnictwa od JO. Książęcia Augusta Czartoryjskiego Wojewody Ruskiego, Kawalera Maltańskiego etc., na rzecz tegoż jurisdatora mojego, od urodzonego Adama Plichty, Chorążyca Różańskiego, tenutę według kontraktów z tejże mojej mocy wydanych, i jak należy w grodzie Latyczowskim oblatowanych, tak za lat pięć zaległych jako i za rok teraźniejszy bieżący do datty 24 Junis Anno Domini 1765, w monecie kurs i walutę w kraju mającej do rąk własnych odebrałem, a z onej kwitując, takową z należytem poszczególnieniem w księgach percepty skarbu JO. Księcia wpisawszy, do kassy onegoż

wnieść jak w najprędszym czasie winienem. Czego jeżelibym niedopełnił, wszelkiego deficytu i szkody wyniknąć z tego mogącej, nie na jmć panu Plichcie, ale tylko na osobie niżej podpisanego, tudzież jego majętności tak ruchomej jako i nieruchomej, poszkodowani dochodzić winni.

Jan Wisłocki, Podstolic Podolski mp." [1]).

Wisłocki odczytawszy ten dokument, wręczył go zawsze jeszcze prawie nieprzytomnemu, i nie zdającemu sobie sprawy Plichcie, ktory bezmyślnie obracając papier w ręku, słowa przemówić nie mógł.

Tak trwało przez czas jakiś milczenie, a nikt jeszcze zagadki rozwiązać nie umiał, kiedy podsędek Krzyżanowski, choć niewielkiego animuszu, lecz przy kielichu do zwady pochopny, ozwie się z drugiego końca, a przedrwiwając:

— Widno że się waść za żydem ująłeś, bo żydowskim handlem urazę, nie krwią własną chcesz spłacić, ale tenutą ze szkatuły Księcia Wojewody, któremu takiego pełnomocnika można powinszować, wszakże nie pozazdrościć.

Zaledwo tych słów dosłuchał Wisłocki i już z podniesioną pięścią miał się puścić na przeciwnika, kiedy stojący za nim Lejbka nieznacznie ale z całej siły ścisnął mu ramię powyżej łokcia; był to zaś osobliwy znany mu środek na pohamowanie Podstolica—jakoż ten choć krew mu do głowy

---

[1]) Dosłownie spisano z oryginału.

silnie napłynęła, stanął jak wkopany na miejscu, i o ile było w jego mocy, głos od gniewu drżący hamując, do Plichty się zwrócił:

— Wiadomo jest waszmości, że prawa honorowe nie dopuszczają rozprawy pomiędzy debitorem a kredytorem, chyba że ten ostatni konsensu swojego na to udzieli. Ponieważ zaś z waćpanem jako debitorem Księcia Jmci, którego w tym względzie jako pełnomocnik reprezentuję, w imieniu mojego jurisdatora tego prawa udzielić mocen nie jestem, zatem, zanim stanęlibyśmy do rozprawy, chciałem oną inkonwenyencyę usunąć i prosić miłościwego pana a brata, iżbyś mi honor ten wyświadczył, za swojego mnie kredytora przyjmując, a długiem tym nie obciążając się, wypłacił go w miarę możności, kiedy Bogu się podoba wam poszczęścić.

— Wiwat! wiwat! Podstolic! precz z Krzyżanowskim zewsząd wrzasnęli.

Wisłocki wznosząc ręce do góry, podwyższonym głosem przemówił:

— Owóż właśnie miałem jmć panu Plichcie rzecz całą przełożyć, kiedy oto jmć pan Krzyżanowski zarzucił, że po żydowsku urazę pieniędzmi z wojewodzińskiej szkatuły płacę: na ten ostatni argument, pozwalam komu się podoba przewertować moje regestra, i gospodarskie raporta. Co zaś do tamtego na jaką szalę ważę urazy, to proszę waszmość pana Krzyżanowskiego pofatygować się ze mną tuż obok do próżnej stajni oczekującej na konie młodego Jmci Księcia, a już pal tam djabli

juryzdykcyą starościńską, choćby przyszło gardłem nałożyć, nie pożałuję monety.

To zmówiwszy drżącym od gniewu głosem, tłukł o rękojeść szabli, a nic już nie pomagał środek Lejbki, ciśnienie za rękę, bowiem Podstolic srodze się zaperzył.

Krzyżanowski coś tam mełł skołowaciałym od strachu językiem, na co Wisłocki nie zważał.

— Precz z Krzyżanowskim, wyrzucić go do *Hajdamaków!*

Zawołano hurmem, i na zastraszonego szlachcica obelgi, a nawet szturchańce posypały się.

— A co tam Plichta stoisz jak posąg, a pokłońże się trutniu do nóg dobroczyńcy swojemu, a na Ś. Jan jak Bóg w niebie, byłbyś już z żoną i dziećmi pod płotem! Co to jest, żeby zdrów chłop co do burdy skory, nie umiał na kiepską tenutę zapracować?... Nie śmiej godzić na taką zacną krew, bo cię tu na sztuki porąbię!.. Poproś pardonu za uczynioną burdę i basta!...

Stał się kweres nie do opisania, jedni tedy gięli Plichtę co sił do kolan Wisłockiego; drudzy szturchali biednego wystraszonego podsędka, który tem przetrzeźwiony, nie wiedział już co począć.

— Ano mój miłosierny bracie, przyjmij moję submissyę i ekskuzę za to, iż mojej gorączki nie pohamowałem, dasz mi zasie dowód prawdziwej łaski i nie chowania rankoru, przyjmując mnie za kredytorą.

Przemówił Wisłocki do Plichty, podnosząc go od kolan i tuląc w silnym uścisku.

— Wiwat Wisłocki! Wiwat Podstolic!

I jak z jednej strony wybuchem admiracyi nie było końca, tak znów z drugiej, oburzenie i złość przeciw podsędkowi wzmagała się.

— Darujmy tego ladaco hajdamakom; ale tylko w worku jak barana zanieśmy i rzućmy! —

Zawołał jakiś tam pomysłowy, a już i worek pod ręką znalazł się; a niewiadomo coby tam było, gdyby Wisłocki, wyrwawszy się z objęć Plichty, który go ściskał, a łzami zmywał bez miary, wdrapawszy się na stół nie zawołał:

— Panowie bracia! Przecie mi Plichta większą krzywdę przebaczył, a ja miałbym mieć rankor do jmć pana podsędka?.. I mamyż burdą powitać młodego Księcia Generała, którego zapowiedziane przybycie przez kuryera, lada chwila może nastąpić.

— Wiwat! niech żyje Podstolic i wszyscy tak mądrzy, i uraz nie pomni jak on!...

Wrzasnęło paręset piersi, jakby jednym głosem, a wysadziwszy Wisłockiego na barki, obnosili go po krużganku, a dalej wołali:

— Nieść go w tryumfie do *hajdamaków*, niech kpy obaczą jakiego to mamy promotora. Czyli podobnym się pochwalą? Dalej do wojewodzińskich, i w imieniu Podstolica stłuc ich na miazgę.

Że to w pijanych łbach od myśli do czynu niedaleko, już z niesionym na barkach Wisłockim,

we drzwi tłoczyli się; wojewodzińscy zaś naprzeciwko przeczuwając że to na nich pogróżka, jakoś także odpornie się szykowali.

Lejbka zaś załamując ręce napróżno klękał i wołał:

— Jaśnie wielmożni! wielmożni! miłosierni!.... Opamiętajcie się!...

Wszelako na niewiele to się przydało, bo już tylko szlachta deliberowała nad tem, jakby to ogromnego Wisłockiego przez ciasne drzwi bez szwanku przesunąć, gdy ten, dobywając ostatka głosu, co sił zawołał:

— Kto mnie kocha, stój!

— Stój! Stój! — powtórzyli wszyscy, i jak wkopani na miejscu się wstrzymali.

— I cóż z tego będzie? — pytał Wisłocki.

— To, że wszyscy do nas przystaną, a którzy nie przystaną, na bigos posiekamy.

— Raczej oni nas posiekają, a mnie pierwszego, który z tej wysokości obronić się nie potrafię, i słusznie, bo my jesteśmy agressorowie, i powód do burdy dajemy.

— Już to na ten raz jeden tylko waszmości nie posłuchamy, bo widzisz ich jak z nas przedrwiewają, i co tam na nas wykrzykują.

W istocie wojewodzińscy, to gestami nie przystojnemi, to słowy lżyli ich choć zdaleka.

— Ha co? przedrwiwają mówicie?.. Ja ich tu nauczę gwizdać po kościele!. krzyknął okropnym basem Wisłocki, aż szyby gospody zatrzęsły się.

— A więc puśćcie mnie — ryczał już dalej jak w gniewie. Ja niesiony nie wiele wart, ale niechno stanę na nogi, to zmielę ich na mąkę.

— Puścić! puścić Podstolica, niech nas prowadzi na tych hajdamaków!.. posiekamy ich na zrazy! —

I Wisłockiego z wielką ostrożnością i szacunkiem na ziemi postawiwszy, wołali:

— No prowadź, waszmość, my gotowi!...

Wisłocki stając niby w gotowości do pochodu, tarł tymczasem prawą rękę, mówiąc:

— Otóż mi waszmościowie ją dokochali, aż mi zdrętwiała... oj!.. oj!...

— To ten taki nieostrożny.... to on Jakób.... a mówiłem ci nie bierz się tak obcesowo, bo choć ta ręka tłucze mosanie jak kamieniem, ale zawsze nie żelazna.... A co waszmości? gdzie ból?... broń Boże czego..... Możeby wytrzeć mrówczanym spirytusem, u pana Lejbki znajdować się musi.

Zaczęła sobie szlachta nawzajem nieostrożność wyrzucać.

— Ej! nie, jakoś to przejdzie.

Coraz mocniej trąc ramię uspokajał Wisłocki. Nagle spojrzał do koła i rzekł:

— A ja wam powiem dla czego to się nam wyprawa nie powiodła, i moja ręka szwankuje?. — ozwał się rozpatrując po stołach.

— Ano, ano! dla czego?

— A to widzicie dla tego, że skoro się pije za zdrowie żywego, to sama przyzwoitość do dna wychylić nakazuje; a tem bardziej gdy ze zmarłym sprawa, a pije się za spokój jego duszy, to jest grzech i zły nawet omen nie dopić. My zaś wnieśliśmy za spokój duszy nieboszczyka Króla Jmci....

— Ach! Ach! dobry był pan!

— Dobry choćby dla tego, że de mortuis aut bene aut nihil. Lecz nie oto idzie, ale ponieważ umarłemu, który się za siebie nie upomni, wszelka rzetelność należy, że tego zabaczyliśmy, więc nie wiedzieć co tam zaszło między nami... a ot i to moje ramię.... oj... oj!....

— Ano trzeba nalane dokończyć, bo to się nie godzi.... A na przebłaganie, chybaby i nowe potem ponalewać?

— Nie wadziłoby.

Wychylono dawne kufle, z napełnieniem nowych Lejbka pospieszył, a kiedy i te wypito, znów szlachta na nowo rozgrzana przypomniała swojego ćwieka.

— A co, jak wasza ręka mości Podstoli?.. a możeby już czas zaczynać, żeby Książę Jegomość, gdy nadejdzie, zastał świeże zraziki.

— Zaraz, zaraz, już przechodzi, za chwilę będę mógł wywijać szabelką jak balwierz brzytwą. Odparł Podstolic, rękę prostując a potem niby od niechcenia dodał:

— Ot, wiecie co, godziłoby się wypić za zdrowie przyszłego nieznanego elekta, przecie tego opuszczać nie wypada, a tymczasem ręka wyzdrowieje, i dalej?

— Wiwat! niech żyje nasz Najjaśniejszy Pan! i z hukiem toast wychylono.

— Ale kto nim będzie?...

— Ha! w samej rzeczy, może to.....

— A chcecie jegomościowie wiedzieć, to ja powiem — przerwał Lejbka, zadowolony że owa szalona impreza na obóz przeciwny tak się odwleka.

— A no mów waćpan... Wy żydzi wszystko wiecie, nawet jak trawa rośnie.... mów! mów!...

— Kiedy wielmożni panowie każą, to ja mogę powiedzieć, nie o tym co będzie, ale o tym który nie będzie.

— Cha! cha! cha! — rozległ się zewsząd śmiech głośny. Ano, ano! mów waszeć kto nie będzie?

— Otóż powiem państwu, że ani ja, ani żaden z nas tu przytomnych nie będzie.

— Cha! cha! cha! to mi zuch Lejbka.

A śmiechem jeszcze głośniejszym i aplauzami dowcip żyda powitano.

— Dalibóg!.. gracko się spisał, wypijmy zdrowie Lejbki.

— Czyli się godzi, nie chrzczony? —

— Ej! pleciesz wasze, przecie Chrystus modlił się za żydów męczących go.

— Zresztą za zdrowie każdego, czy to żyda, mahometana, a nawet bałwochwalcy, pić można. Sam bowiem rozum dyktuje: że jak będzie żył, to się jeszcze może nawrócić, a skoro go djabli porwą, to Kościół Święty żadnej z niego pociechy spodziewać się nie może.

— Zkonwinkował mosanie!.. ergo zdrowie jmć pana Lejbki.

— Skoro już wielmożni państwo tacy łaskawi na mnie, biednego żydka, to ośmielam się prosić na mój sekt, przez mojego dziadka schowany do piwnicy, a nie powstydzę się ofiarować go.

Przemawiał Lejbka, z obnażoną głową kłaniając się na wszystkie strony, i natychmiast wybiegł, a po chwili z omszałymi gąsiorami powrócił.

Już tedy szlachta o przesądach zapomniała, kolejno żyda ściskając. A podczas, kiedy smakowali cedząc przez zęby, jak sekt pić przystało, Lejbka stał w kącie niepostrzeżony, a wzrokiem miłośnym jakby ojcowskim, objąwszy Podstolica, od czasu do czasu przykładając palce do czoła szeptał w uniesieniu:

— *Wisłockies hat kopf — Dus a kluger purytz.*

Kiedy tak delektują się sektem niechrzczonego gospodarza, nadbiega jeździec na zdyszanym koniu z wieścią, iż Książe Jmć zbliża się do miasta, i niebawem tu stanie.

Na to, jakby magiczne słowo, wszystko odmienną postać przybrało: Lejbka wbiegł do domu

i w jednej chwili stanął do niepoznania zmieniony, w kaftanie aksamitnym, pasie czarnym jedwabnym ze szczerozłotą fręzlą, a kołpak soboli w ręku trzymał. Każdy jak mógł naprędce okrzątnął koło siebie, wąsa, to czupryny przymuskał. I w mgnieniu oka uszykowali się według starszeństwa mając Podstolica na czele. Pachołcy tymczasem krużganek uprzątnęli i ład przyzwoity w nim zaprowadzili.

Korzystając z tej przymusowej nieruchliwości, wojewodzińscy, gestami, to słowami i krzykiem różne figle płatali; a w odwet im zaledwie jaki dziesiąty niecierpliwszy mruknął z szeregu pod nosem:

— Byłoby wam nie z miodem, żeby tylko nas niezabałamucili.

— Poczekajcie! co się przewlecze, to nie uciecze.

Podstolic zaś uśmiechając się z cicha, myślał sobie:

— Iż każden, który w razie potrzeby potrafi wzrosłych po dziecinnemu zażyć, niema się bać najbardziej rozsrożonej kupy.

Zaledwie wszystko do należytego porządku przyprowadzono, kiedy orszak jezdnych ukazał się na rynku. Orszak, jak na magnacki, wcale nie był okazały, a raczej coś z kawalerska i rycerska niż z pańska poglądał; na przodzie jechali trzej młodzi mężowie: środkowy wyróżniał się od innych suknią, lecz nie jej bogactwem, ale raczej szczególnym krojem: miał na sobie taratatkę sa-

jetową, na guzy złote spiętą, która środek pomiędzy ówczesnym kontuszem, a kurtką wojskową trzymać mogła. Na głowie kołpaczek aksamitny z niewielkiem czaplim piórkiem, do tego buty palone ze srebrnemi dużemi ostrogami na wierzch łosiowych rajtuzów. Jedna zawieszona u boku lekka karabela w jaszczur oprawna, wszakże wszelkich ozdób pozbawiona do ówczesnego stroju zbliżała się. Od towarzyszów ubranych podług surowej formy wojskowej, wyróżniał się jeszcze jeździec, wysoką rasą białego tureckiego bachmata, którego zdawał się obojętnie jakby jakie dziecko, atoli nie bez umiejętności i wprawy prowadzić. A jeżeli i była w tym jeźdzcu jaka fantazya, to nie wymuszona ni udana, a prędzej wprawą wojennego rzemiosła, w którem po cudzych krajach kształcił się, nabyta. Słowem w tych ludziach ani buty udanej, ani zuchwalstwa magnackiego, tak właściwego panom ówczesnym, dojrzeć nie można było.

Średni jeździec choć dochodził trzydziestki, i od trzech lat żonaty, a od dwóch instalowany na ważnym poście Generalstwa ziem Podolskich, lecz o jakie lat pięć, od rzeczywistego wieku młodszym się zdawał, a powagi i nadętości nie przybierał; i jeżeli o co się starał, to o uśmiech uprzejmy na twarzy.

Dwaj jego towarzysze przeciwnie, bo acz młodzi, posiadali oblicza ogorzałe przy ogniu obozowym.

Za tymi jezdnymi nieco opodal, mały zgrabny pacholik, zaledwie wyrostek, jechał na żwawym węgierskim mierzynku.

Ot i cała kawalkata, na widok której prędzej możne było domyśleć się zasobnego szlachcica, niźli magnata, mającego dziedziczyć po rodzicielce niezmierne dobra Sieniawskich. Wprawdzie o kilkadziesiąt staj za jezdnymi ciągnęło dwie bryki przy kilku ludziach, z bagażem podróżnym. Lecz wówczas bez tego rzadko któren, choć trochę możniejszy, w drodze się obszedł.

Skoro młody Książe Generał (syn Wojewody Ruskiego Augusta) zbliżył się do gospody, a na jego powitanie para setek głosów huknęła:

— Wiwat! niech żyje Książe Generał! jakby pomieszany tą salwą, rychło z pewną wprawą wojenną zeskoczył z konia, pachołkowi go wręczył, i z jakie sto kroków pieszo z odkrytą głową do gospody się zbliżał.

Wiwaty w tej gospodzie nie ustawały. Ale co dziwniejsza, że na widok przybyłego pana przeciwny obóz stracił butny i zuchwały charakter, a nawet nie jedno „vivat”, jakby *piano* wzięte na instrumencie, z tamtąd dolatywało. Albowiem szlachta, skoro już na sali sejmowej poszła na udry, a przez jednego zobowiązana, nie bardzo na drugiego pana oglądała się; wszakże, nim to nastąpiło, szlachcic każdego magnata szanował, gdyż dziś gryząc chleb jednego, często nie wiedział zkąd mu jutro ów się dostanie.

Zbliżywszy się do gospody, Książe coraz uprzejmiej się kłaniał, gdy był juz w ganku, każdego z osobna witał, a schylających się do kolan, do twarzy podnosił i po przyjacielsku ucałował.

Na mowę Podstolica, nieco napuszoną, a wynikłą z obyczajów onego czasu, odpowiedział płynnie a gładko, lecz wcale skromnie, i dziękował w imieniu nie swojem, ale ojca i do jego zasług łaskę braci szlachty odnosił.

Skoro się już rozgościł na hucznym przed chwilą krużganku, począł rozmowę stateczną, a jakby duchem wieszczym odgadł czem kogo zająć, i co komu będzie po myśli: to więc o gospodarstwie i jego ulepszeniu, dalej o potrzebach kraju, o poprawie wad etc., dyskurs tak stateczny prowadził, iż gotowi go byli słuchać do północka. A nie dziw,—gdyż był to młodzian bywały i w rozmaitych naukach dobrze wyćwiczony.

Nagadawszy się czas jakiś, skinął na pojętnego Lejbkę; ten wyniósł piękny ale wcale nie spory pucharek szczerozłoty *z Pogonią*, na takiejże tacy, a do niego parę flasz bardziej niż przed tem omszonych. Przy króciutkiej a zręcznej mowie, wniósł młody Książe zdrowie „łaskawej braci szlachty”—przytem do każdego tak trafnie przemówił, to strzelił miłym żarcikiem, to jakiś koncept wypalił, tak że im wszystkim raźno a swobodno było, jakby ze starym znajomym. Kielich zaś nim kolejkę okrążył, a na wzór Księcia z umiarkowaniem smoktany, parę godzin na miłej rozmo-

wie minęło, i że wieczór nadchodził, więc Książe poprosiwszy o pozwolenie, udał się na spoczynek do swoich komnat, po drugiej stronie gospody znajdujących się.

Po odejściu Księcia, szlachta z podziwem poglądała na się wzajem, czyli ich kto nie przemienił, że czas bez burdy i pijatyki zejść miło może, do wypitki więcej ich nie ciągnęło, tak zaś gorąco popierana wyprawa wojewodzińskich, wywietrzała z głów rozsądkiem ochłodzonych. Snać wionęło dobrym przykładem i na obóz przeciwny, bowiem wojewodzińscy skorsi do burdy i czarki, jakoś także spoważnieli.

Z kolei przechodzimy do drugiej gospody, która miała stać się celem wojennej wyprawy tak zwanych *generalskich* czyli inaczej *familiantów*, dla tego tak zwaną, że mieściła w sobie zwolenników partyi Czartoryjskich, pod denominacyą ogólną „*familii*" znanej.

Pierwsza gospoda co do powierzchowności mało się od drugiej różniła, może formą lub doborem barw, i jakimś lekkim odcieniem ozdób architektonicznych. Tak samo na froncie był ganeczek z daszkiem a na daszku szyld, równie pięknie odmalowany wystawiał kozaka, suto odzianego ze szklannicą w ręku tańcującego prysiudy. Dziwnem by się wydało, iż Czartoryjscy na swojej gospo dzie, choć bez ścisłej dokładności, herb swój wy-

stawili, a Potoccy — kozaka? Łatwo to wszakże do pojęcia, bo *Pilawę* Potockich, składającą się z półtrzecia krzyża, na domostwie żydowskiem wystawić nie przystało. A ponieważ Wojewoda posiadał liczne dobra na Ukrainie, więc to sobie z fantazyi za emblemat dla gospody, „hulaszczego ukraińskiego kozaka" — obrał. Ztąd zaś partya generalska, wzięła assumpt do szyderskiego przezwania adherentów partyi przeciwnej *hajdamakami*.

Co prawda, sejmikowy ferwor zawsze gęstymi kuflami podtrzymywał się; ztąd wszystkie takie sejmikowe gospody przewódców partyi, mało różniły się pomiędzy sobą. Bowiem i to często stanowiło dyplomacyę, iż kto lepiej karmił i poił, a gdzie weselej i huczniej było, tam i zwolennicy tłumniej się garnęli. Było to zepsucie, na sumieniu magnatów, promotorów partyi, ciążące.

Wszakże i w tem jeszcze mądra głowa sejmikowicza, jakto świeżo przykład na Podstolicu widzieliśmy, umiała w czas zapobiedz, zapamiętałych pohamować, i burdę odwrócić.

Wojewodzińska gospoda „pod kozakiem" — miała więcej rozpasany charakter, już przez to samo, że tam *głowy* nie było. Przewodnikowi tej partyi Subdelegatowi od młodej małżonki oderwać się było trudno, i przyjazd swój opóźniwszy, tymczasowe przewództwo zwierzył niejakiemu Jukowi dworzaninowi i ulubieńcowi Wojewody.

Ten Juk, dziwnie się nazywający, nie wiadomo nawet czy był szlachcicem, chociaż jakąś szerpentynę do boku przypasywał i ze szlachecka się nosił. Lecz raz jako kreatura możnego pana, a powtóre że była to figura potulna, każdemu schlebiać umiejąca, nadto facetus i jowialista umiał szlachtę zabawić i rozweselić, więc nikt go tam ani o indygenat nie pytał, ani dowiadywał się na którym sejmie był nobilitowany. Jednak z miejsca swojego podrzędnego ani zaimponować jak Podstolic, ani w karbach rozhukanych utrzymać nie mógł. Dla tego i gospoda ta odznaczała się rozprzężeniem i hałaśliwością. Sam Juk, przybrzdąkując na teorbaniku przewieszonym przez plecy, razem z żydkiem niechlujnym, garbatym, właścicielem gospody, uwijał się pomiędzy szlachtą i do kuflów zachęcał. Jak utrzymywano, miał w tem swój interes, i jakąś dolę od żydka za szafowanie traktamentem pobierał.

Za daleko by zaprowadziły szczegóły burd i hulatyk, na które, jako na obraz wstrętny, przykrego wspomnienia, lepiej zasłonę zarzucić. A także trudnem byłoby wyliczenie wszystkich partyi gnieżdżących się po rozmaitych gospodach w rynku.

Przykład szedł z góry, a na wzór magnatów zamożniejsza szlachta coś tam sobie roiła, nie już może za zbyt wysoko, żeby aż o koronie marzyć, jak czynili magnaci, ale miło to i pochlebnie było zabawić się w prowodyra, i mieć swoją klientelę

za którą magnat chociażby się pokłonił, a na równej potraktował stopie, i to już próżność połechtało; a także i posłować na sejmie było dystynkcyą swojego rodzaju nie poślednią. Tak tedy Szymon Bykowski, Starosta i Sędzia Trębowelski, zajął gospodę „pod Jeleniem" — Zacharyasz Jaroszyński, Podstoli Winnicki,— „pod Baranami" — parantelę i blizkich do siebie garnęli, co wprawdzie na mniejszą skalę odbywało się.

Było tam więcej podobnych obozów, a wszystkie na przestrzeni jednego rynku, w końcu którego znajdowało się domostwo długie, brudne, ku ziemi pochylone, odrapane z tynku, a jakby dla urzeczywistnienia podrzędnego swojego charakteru, za szyld wywiesiło skromny snopek słomy i ztąd mianem zasłynęło „pod Wiechą".

Gospoda ta służyła za przytułek dla biednej szlachty, która nie frymarcząc przekonaniem, a nie oglądając się na przegłosowanie i niechęć możnych, obierała drogę acz ciężką i kwieciem nie usłaną, lecz według sumienia, najprostszą.

Gospoda ta, jak ponurą powierzchownością, tak i nędzą wewnętrzną od innych wyróżniała się: w czterech brudnych, zasmolonych obszernych izbach do koła ścian rozrzucona słoma, stanowiła posłanie; w pewnych miejscach część onego oddzielona małym zydelkiem, jakby kopcem granicznym, czasową własność wskazywała. Między przedziałami nie wielka zachodziła różnica, każdy z nich bowiem, prostą huńką przykryty, u węz-

głowia miał wór ze słomą, lub z podróżnym rupieciem właściciela, za poduszkę służący. Na ćwieczku w ścianę wbitym, wisiał obrazek, krzyżyk lub różaniec, a obok na drugim prosta karabela z rapciem. Gdzieniegdzie tylko pstry kilimek domowego tkania, i skórzana poduszka miasto prostego wora, niepomiarkowanym zbytkiem imponowała.

Sami właściciele tych skromnych posłań i ruchomości, obsiedli ławy przy dużych stołach pośrodku izby wystawionych, a podzieleni na kupki, rozmaitym oddawali się zajęciom: jedni zajadali pieprzną rybkę żydowską, piwkiem zapijając, drudzy raczyli się wiśniaczkiem lub maliniaczkiem. W zajęciach i zabawach można było dojrzeć wiele rozmaitości: tu dwóch zapaśników w warcaby zgromadziło do koła siebie liczne grono ciekawych— tam cieszył się ktoś z niepraktykowanej dogranej w maryasza — indziej chciwi nowin, obsiedli jakiegoś udzielającego tajemnic polityki statystę. Nakoniec gorliwi chrześcianie, po kącikach odmawiali pacierze, lub półgłosem nucili godzinki i t. d.

Wszakże gospoda co do gwaru i hałasu, do sąsiednich nie była podobną, a mimo licznego zgromadzenia i różnorodnych zajęć gości, taka tam panowała cisza, że klapanie pantofli otyłej żydowicy Rywki, gospodę utrzymującej, swobodnem echem po wszystkich czterech izbach rozchodziło się.

Trudno wyliczyć, ile rynek miasta w duży kwadrat zabudowany zawierał przeróżnych obozów. Kto tylko wyjrzał po za drzwi jednej gospody, już go zaraz wszystkie inne obelgami i szyderstwem ścigały, a jedni na drugich wołali:

— A hej! familiant! generalczyk!

— Wojewodziński! hajdamaka!

Stronników Bykowskiego jeleniami, a Jaroszyńskiego — baranami zwano i t. d. A co do cichych gości, tej ostatniej gospody Rywki, „wiechciami"— od emblematu domostwa zwanych, ci już nie śmieli na rynku oczu pokazać, ale tylko tylnemi drzwiami z ciasnej uliczki na świat Boży wyjrzeć poważyli się.

Ktoś nieświadom rzeczy, patrzący na gospody rynku, pomyślałby iż każda z nich jest osobnym nieprzyjacielskim obozem, lub przynajmniej jedni drugim od ojca do syna nieubłaganą włoską wendetę zaprzysięgli, i najodleglejsi ich potomkowie nie uścisną sobie wzajemnie przyjaznej dłoni. Lecz jako żywo, byli to ludzie, różnością zdań i interesów czasowych podzieleni, którzy po ukończeniu jednego sejmiku aż do otwarcia nowego, znów związali się kolligacyą, sąsiedztwem, przyjaźnią, miłością, i znów jeden drugiemu był bratem, przyjacielem, podporą, obroną, jak to się zwykle pomiędzy ludźmi wydarza. A skoro drzwi izby sejmowej się zamknęły, po za niemi zostawały rankor, zwady i rozterki, a nie jeden, za antagonistę, wczoraj jeszcze za przeciwną partyą gardłującym,

uważany chętnieby dziś w ogień skoczył. W roznieceniu zaś tych sztucznych nienawiści, i rozdmuchaniu żarliwości w ich popieraniu, leżała właśnie cała zaletą sztuki sejmikowej.

One gospody powyżej opisane służyły za przytułek dla adherentów partyi ze szlachty przedniejszej i posesssyonatów; atoli po za tymi pozostawała jeszcze drobna czynszowa szlachta—wyrobnicy z roli wyżywieni, a na równi z prostymi chłopami pracujący,— wszakże wszyscy oni głos posiadali, a stanowić wiele, ba, w razie potrzeby sejmik zerwać mogli. Tę bracią szlachtę po prostu najmowało się, jakby na robotę, zapewniając im wesołe a wygodne przeżycie, a podwójny zysk od zarobku z roli.

Takie głosy nie mało się ważyły, bowiem wsie lenne szlacheckie, jak Wołkowińce Wołkowińskich, Kożuchów—Kożuchowskich, Hryszki—Radziejowskich, Czopowce — Czopowskich, Popowce — Popowskich i t. p., setkami lub i tysiącami kontyngens sejmikowy zwiększały.

Wszakże z tymi skromnie urodzonymi mniej się robiło ceremonii, bo i kogóżby na to starczyło? a po prostu obozowali pod gołem niebem, i z kotłów się żywili, a do tego beczka gorzały, piwa lub miodu, ferwor sejmikowy zagrzała, a wtedy za swoim chlebodawcą choćby na dno piekła.

Owóż i teraz po za klasztorem O. O. Kapucynów, który z gęstym otaczającym go lasem koniec miasta stanowił, na presztronnym miejskim wygonie

przedzielonym szeroką drogą na dwie połowy, założono dwa przeciwne obozy, poklecono naprędce szałasze, doły na kotły wykopano, a w nich ogień huczy; beczki z trunkiem rozmaitym wytoczono, do koła rojno, gwarno i tłumno snują się, hałasują, jedzą i piją każdy u siebie. Tu dopiero oba te pola na nieprzyjazne sobie obozy wyglądają. Bowiem z jednej i z drugiej strony, jakby w wojskowym obozie porozstawiano warty i pikiety broniące przeciwnikom dostępu. Niekiedy tylko kupki ludzi wybiegną na środkową drogę i dawaj łżyć się, tuzać, inni dopadłszy ich niby dla rozjęcia, sami do walki stają.

To inną razą wołają do siebie przez drogę:

— A co wam tam wojewodzińskim hajdamakom w kotłach warzą? Pono zatchłą świninę z Tulczyna?

— A jużciż, że ona lepsza od zdechłych szczurów generalskiej familii, z Międzyborskiego zamku!

I tym podobne prawiono wzajem dusery. Gdyby to koniec, ale niezależnie od tego płatano sobie psie figle. Nie jeden śmiałek skorzystawszy z niebaczności wart i pikiet, wkradał się do nieprzyjacielskiego obozu, a jadło lub trunek zaprawiał blekotem lub czemś odurzającem albo jalapą, i bywały przykłady, że przez to zręcznie osnute szyki sejmikowe pomięszał.

Owóż tego dnia kiedy partye po gospodach ucztowały, jak się wyżej opisało, w dwóch przeciwnych obozach zaszły groźniejsze wypadki.

Szlachcic z obozu wojewodzińskiego, nazwiskiem Tataryk, korzystając z ciemnego mroku, i nieczujności warty, zakradł się aż pod same kotły generalskiego obozu. Jakie miał w tem zamiary, i czy co do kotła wsypał? — niewiadomo. Lecz skoro go pojmano przynajmniej na gorącym uczynku niegodziwych zamiarów, zewsząd w obozie wrzawa powstała.

— Ha! gadzina wojewodzińska jadło chciała nam zatruć! przetrząść go, pewno ma przy sobie truciznę.

W okamgnieniu rozebrano szlachcica. Czy się co z niego posypało lub nie — ale zawsze setki głosów ferowało nań srogi wyrok, którego wykonania nie zwlekano.

— Łotra! psiawiarę! wrzucić w kocioł wojewodzińskim miasto zgniłej świniny.

— Tak wrzucić, niech mają ucztę. Je pies psa, gdy niema barana.

Nie zwlekając uderzyli na obóz nieprzyjacielski, a wziąwszy nad nim górę, wyrok ów smutny wykonali (autentyczne).

Bój srogi zawrzał z odmienną przewagą jednych nad drugimi. Co się natłukli suchemi razy i pocięli na ostrza, ale nadto padały strzały z rusznic, które myśliwi z sobą przynieśli. A że noc zaskoczyła walczących, więc po ciemku i swój na swego uderzał, a rzeź okropna się wszczęła.

Nadciągnął Starosta z milicyą i pachołkami miejskimi, ale jak tu w takim popłochu, a szczegól-

niej w ciemnościach zaradzić; a który gorliwy z przestrzegaczy porządku wdał się, to zamiast uśmierzyć, swoją osobą bitwę rozniecił, i guza odebrał. Kto wie na czemby się skończyło, gdyby Jezuici i Dominikanie nie wpadli na rozum wystąpienia z processyą, pochodniami, chorągwiami i krzyżem. Bój ucichł, guzy i rany czas zaleczył, ale biednemu zgotowanemu Tatarykowi nic już nie pomogło.

II.

Tak na deliberacyach a razem zabawach, hulankach a nie bez burd, minął tydzień przedsejmikowy. Lecz że u tych ludzi grzech z pokutą o maluczką miedzę graniczył, więc w wigilią otwarcia sejmiku, wszystko co w nim udział mieć miało, udało się na solenny nieszpor do O. O. Jezuitów. Wszyscy tłumnie zalegli konfesyonały; każdy bowiem pragnął do ważnego dzieła z oczyszczonem sumieniem przystąpić. Tak, iż O. O. Jezuici nie mając możności wszystkim penitentom nastarczyć, Dominikanów do pomocy zawezwali, rozumie się że tych tylko, którym zaufać można było, że daną sobie instrukcyę pojmą, i zastosować potrafią.

Już to, co prawda, partya tylko Wojewody Kijowskiego cisnęła się do Jezuitów, jako ich patronowi przyjaznych. Każdy bowiem giętszego sumienia partyi przeciwnej, z obawy, ażeby nie być zachwianym, u O. O. Kapucynów pokutę odprawował.

Dziś niepoznałbyś wczorajszej jeszcze hulaszczej i rozpasanej tłuszczy, a raczej pomyślałbyś, że to pielgrzymi do cudownego miejsca przybyli, tyle w nich pokory, skupienia ducha, choć żywcem brać do Nieba. A w mieście cicho jakby mak siał. Wszystkie partye przeciwne, jakby w jedną zlane. Ustały obelgi i szyderstwa, wszystkie oczy w dół spuszczone. Wszelako ktoby się spodziewał, że była to tylko cisza wielką burzę poprzedzająca.

Subdelegat Nieświastowski, zatrzymany przez słodycze świeżego hymenu, jak na takiego sejmikowicza przybycie opoźnił; jako zaś promotora partyi wojewodzinskiej popieranej przez O. O. Jezuitów, Jmć X. Rektor Popiel we własnem mieszkaniu ulokował go.

Subdelegat przed rozpoczęciem sejmiku, jako wprawny i wytrawny, gruszek w popiele nie zaspał, wszystkich kogo należało poodwiedzał, niechętnych zagodził, dawnych adherentów to tem to owem silniej skaptował, zachwianym sprawy sądowe przygotował, i nadzieję dobrego rozwiązania w przyszłości im ukazał, i zdawało mu się iż zastanie partyę swoją silniejszą, i jakby na gotowe później przybywał.

Tymczasem Juk, któremu czasowo prowadzenie rzeczy gotowej powierzył, niedozorem zamiejskiego obozu pokpił sprawę. Bowiem on nieszczęsny Tataryk na ohydnej zdradzie złapany, chociaż ją okropną śmiercią przypłacił, lecz nie dość na tem, bo wielu ze szlachty chcąc zrzucić z siebie

podejrzenie o namowę lub spólnictwo brzydkiego podstępu, do obozu generalskiego przerzuciło się.

Juk zburczany przez Subdelegata, nadto obawiając się srogiej zemsty Wojewody swojego pana, rzucał się na wszystkie strony, ażeby jeszcze do jutra, rzecz jeżeli się da, poprawić. Czasem i to się udawało, bo wiatr sejmikowy był zmienny.

Podstolic Wisłocki przyjaciel domu książęcego, pozostawiwszy u siebie młodą małżonkę na pierwszem zlężeniu, sam pośpieszył dla dopilnowania ważnej sprawy swoich dobrodziejów, lecz jako rozmiłowany małżonek, rozstawił pocztę kozacką z poleceniem, ażeby skoro rozwiązanie nastąpi, znać mu dano, i od Puław, gdzie główny pełnomocnik dóbr Księcia rezydował, dwudziestu takich kozaków w umówionych miejscach postawiono, i jeden od drugiego pismo odebrawszy, w czwał naprzód leciał, a po dopełnieniu tej powinności do domu wracał. Tak wówczas przy braku rządowych, możniejsi sobie poczty formowali.

Owóż podstępny i płodny w pomysły Juk, wiedząc o tem, przemyśliwał, czyli mu się na co nie zda do poprawienia sytuacyi własnem jego niedbalstwem pogorszonej. Z tą myślą po za miastem sznurkując sobie i zaglądając w twarz przybywającym, zoczył kozaka w barwie książęcej. Że zaś podobno i sam jeszcze niedawno barwę tę wdziewał, a stosując się do niej obyczaje i mowę znał dokładnie, zatrzymując tedy swojego konia w poprzek drogi kozackiej, ozwał się:

— Zdrowo brate, a z widki Bih nese?

Kozak oddawszy pozdrowienie, nie miał potrzeby całej rzeczy, i swojego posłannictwa zataić.

Od słowa do słowa niby od niechcenia po drodze zaprosił nowego znajomego do karczemki na czarkę. Kozak niby wzdragał się z początku i powinność nad gorzałkę przenosił.

— Jedna czarka nie zawadzi, a przytem wieziesz panu pomyślną wiadomość, to się ani spostrzeże w opóźnieniu jakiej minuty.

Kozak po namyśle przystał, tem łatwiej, że sam oczekując na stanowisku, lichy zapas spożył, i czczo mu jakoś było.

A że to jedna czarka za drugą leci jak z pochyłości, na trzecią nowy znajomy skusił w ten sposób.

— Zmachaliście bracie szkapę, jeszcze pan gotów się gniewać, ot okryjcie go derą, niech przeschnie od potu; napoimy go, podrzucimy siana, bo to zawsze lepiej gdy pan obaczy że o chudobę jego dbacie. A tymczasem szynkarz ma tu doskonałą rybę i wiszniak.

Tentacya dobrze podziałała na spragnioną kozacką duszę, i podczas gdy koń chłodził się w karczemnej stajence, jeździec z nowym znajomym w izbie przy misie i czaszy zasiedli.

Zawiązała się rozmowa przy czarze do podtrzymania nie trudna, i Juk w końcu zagaił:

— A jakże dobrze służyć u waszego pana?

— *Hirsze czym u did'ka* (gorzej niż u djabła), płaci batogami, a karmi powietrzem, tylko o konia dba,

— Patrzaj go! my nieraz narzekamy na naszą służbę u Wojewody w Krystynopolu, a nâm dają rocznie jurgieltu 25 czerwonych złotych, co dnia słonina, w niedzielę po dwie czarki i mięso. A dla żonatych jest ordynarya, a jak się panu pokłonić, to i chata z gruntem znajdzie się.

— *Hoj! hoj! To naj by to buło sto myl za Kijowom, ja by szcze piszki piszow.*

— A czy to tam tak trudno dostać się—wtrącił od niechcenia Juk.

— *Baraszkujte zdorowi*, odparł kozak z niedowierzaniem.

— Co to za baraszkowanie, kiedy ja właśnie werbuję dla mojego pana mołojców, a tyś mi się podobał.

Kozak zmierzył podejrzliwym wzrokiem szlachcica, a otarłszy usta:

— *Spasybi brate* i do odejścia się zabierał.

— Dokąd tak pilno.

— *Wże czas, pan Podstolic nie lublat czekaty.*

— Jeszcze czarka ostatnia na pożegnanie.

Kozak dał się namówić, a podczas kiedy wychylał czarkę, Juk odliczył z woreczka kupkę dukatów w złocie, i w garści je trzymając, ozwał się:

— A nie wierzysz że ja mam prawo werbunku dla mojego pana?

Kozak pokiwał głową.

Juk błysnął mu złotem przed oczy, kozak odstąpił jakby błyskawicą rażony.

— Oto miałbyś większą połowę rocznego jurgieltu na zadatek.

— *A jakże swojoho pano pokinuty, to win jak mene złowyt. szkuru zdere.*

— A cóż to ty nie wiesz, kto nasz pan Wojewoda, to łatwiej kamień z najgłębszego dna rzeki dostać, aniżeli od niego człowieka, który mu służy. Czy to u nas jeden taki. A gdy będziesz wierny, to i atamaństwo cię nie minie. Jeszcze czarkę.

Kozak nie wzbraniał się i słuchał. Rozmowa już doszła do punktu, że kusiciel wskazywał mu drogę i sposób dostania się.

Ztąd udasz się do Brahiłowa, drogą którą twój pan nie pojedzie. Oto masz glejt do ekonoma, który nakarmiwszy cię, na świeżym koniu do przyległej wioski odprawi, i tak dalej będziesz podróżował, a przy dobrej jeździe piątego dnia padniesz do nóg nowemu panu i powiesz że Juk cię przysłał.

Skracamy dalszą rozmowę, której skutek był taki, że kozak z dukatami i glejtem nie obzierając się po za siebie, czwałował drogą do Brahiłowa, a Juk z listem do Podstolica, niemniej szybkim krokiem do chatki, którą zajmował u mieszczanina na futorze pod miastem.

Za przybyciem, konia w stajni umieściwszy, sam do izby pośpieszył, a przy zamkniętych drzwiach, list niezapieczętowany rozłożył i co następuje odczytał:

„Jaśnie wielmożny mnie miłościwy panie i Podstolicu, a mój najosobliwszy dobrodzieju! Chwała niech będzie Najwyższemu, nasza jasna pani o godzinie pół do siódmej z rana, powiła tęgiego j. w. chłopca, który gdyby miał wąsy, byłby podobnym do jw. pana jak dwie krople wody. Oby rósł jw. państwu na radość i pociechę, my powolni służcy i podnóżkowie jw. państwa, Boga o to suplikować nie przestaniemy. Lekarze o zdrowiu jw. matki jakoż i jw. niemowlęcia dobrze ominują. W pół godziny post factum ut supra, Mykita cum presentis, wyprawiony na skarogniadym ze strzałką. Ośmielam się powziąć niezasłużony zaszczyt służby moje najpowolniejsze w pilną łaskę jw. pana pełnomocnika polecić jako sługa i podnóżek.

Serednicki, dyspozytor generalny klucza Puławskiego" [1]).

Że czasu nie miał do stracenia, Juk nie namyślając się długo, otworzył sepecik, mieszczący w sobie kancelaryę podróżną, a dobywszy co należało do pisania, kawałek papieru do formy listu przyciął, a pismo pokrywszy, do okna przytknął, dał po czystym papierze parę sztychów piórem, po czem pokręcił głową jakby ze sobą rozmawiając, potakiwał w znaczeniu niby:

— Rozumiem!

[1]) Spisano z oryginału.

Kilka zygzaków zrobił w powietrzu, sposobu pisania probując, nagle usiadł przy stole, przyciął pióro i lotem puścił je po papierze, a jakby ze wzoru następne słowa podobniuteńkiem do oryginału pismem skopiował:

„Jw. panie! Podobało się Najwyższemu, ciężko nas wierne jw. pana sługi utrapić, albowiem jw. pani raczyła wydać na świat jw. a nieżywego panicza, po czem czując się blizką zgonu, raczyła zażądać kapłana dla oczyszczenia jw. sumienia, i pragnąc jw. pana przed ową straszną peregrinacyą pożegnać, rozkazała jw. pana rychło zawiadomić, i o śpieszne przybycie prosić, i sam w. doktor J. O. Księcia Generała takowoż prośbę dołącza prognostykując, że jw. żywot jw. położnicy est in periculo. Błagając wspólnie z wiernymi sługami jw. paua Wszechmogącego Boga i SS. Pańskich o odwrócenie tego okropnego fatum, mam niezasłużony zaszczyt etc... *Serednicki.*"

Nie było się czemu dziwić, że Juk w to utrafił, bo jako manualista tajnej kancellaryi Wojewody, wszelki szryft znać biegle musiał i nie raz do podobnych praktyk był używany.

— A co, i głupi styl i kalligrafia naśladowane do niepoznania, wyrzekł do siebie z szatańskim uśmiechem zadowolenia, uderzając odwrotną stroną palców po papierze, a zacierając ręce dodał wesoło:

— Górą nasza! Bywaj zdrów Podstolicu, niech cię darmo Czartoryjczyki nie czekają. Zmartwi

się nieborak Podstolic, ale prędko się pocieszy, skoro ujrzy się ojcem, i zdrową małżonkę uściska.

Odszukał natychmiast jakiegoś prostaczka chłopa, który za kilka groszy podjął się ów list jako przez się na drodze znaleziony, Wisłockiemu wręczyć; — a sam przebrany w odświętne szaty z dobrą nowiną popędził do O. O. Jezuitów, gdzie sejmikowa szlachta już się zbierała.

Wisłocki tuż obok Kapucynów zajmował z kilkoma ze swoich niewielki dworek, i właśnie na miejsce obrad z niemi pośpieszał, kiedy ów pachołek, wysłaniec Juka pismo mu wręczył:

— Zkąd je wziąłeś—zapytał śpiesznie, poznawszy rękę swojego dyspozytora.

— Znalazłem na drodze — odpowiedział dobrze wyuczony chłopek.

— Pewnie kozak upił się i zgubił. Masz tu za fatygę mój chłopcze.

Rzuciwszy mu pieniądz, Podstolic z gorączkowym pośpiechem pismo rozerwał, a po odczytaniu pobladł jak trup i drżącym od wzruszenia głosem zawołał na sługi:

— Hej! zaprzęgać co tchu najlepsze konie do wolanta, a z rzeczami sami za mną podążycie.

Zwracając się zaś do otaczających go przyjaciół, którzy widząc jakiś ciężki frasunek, dopytywać serca nie mieli, rzucił im list wołając w rozpaczy:

— O ciężko mnie Bóg dotyka! Oby ją jeszcze zastać przy życiu! —

A zakrywszy twarz rękoma załkał na cały głos. Po czasie zaś, nieco uspokojony prawił:

— Bóg mi świadkiem, że trzeba było chyba podobnego nieszczęścia, ażebym zaufanie mojego dobrodzieja Księcia Generała zawiódł, ale widzicie sami czyli mógłbym mieć dziś głowę, w obec takiej groźnej chmury, która nademną zawisła. Radźcie więc sobie sami jak możecie. Mojem zdaniem dobrzeby uprosić Bukojemskiego, to jur zawołany, a choć na sejmikach nie bywa, jednak w obec ekscepcyonalnej pozycyi może go zdecydujecie, tem bardziej iż on przegrał teraz grubą sprawę z Wojewodą, to radby mu zapewne czemkolwiek odwetować.

Niebawem podano konie, i Podstolic, pożegnawszy przyjaciół, w drogę wyruszył.

III.

Zaświtał nakoniec wielki ranek sejmikowy. Na dziedzińcach obszernych konwentu O. O. Jezuitów, gdzie zazwyczaj jak surowej regule zakonnej przystoi, grobowa cisza panowała, którą od czasu do czasu przerywały kroki poważne zakapturzonego mnicha lub niewinna swawola żaków szkolnych, dziś, jeszcze przed wschodem słońca, rojno i gwarno, a szpilki byś nie wetknął, pomiędzy snujące się tłumy.

Ponieważ wielka świątynia, jako miejsce niebawem rozpoczynających się obrad, jeszcze nie była otwartą, a więc tymczasem w kilku kaplicach naprędce przerobionych z sal szkolnych, odprawiały się msze, i tam, pobożni sejmikować mający, do SS. Sakramentów przystępowali.

Dobrze to było onego czasu mieć wielebnych Ojców za sobą, bo choć to zakon był na pozór dla wszystkich jednako wylany, wszakże swoich ulubieńców wyróżnić i stanąć im w przygodzie umiał. Jakoż i na sejmiku trzymając z Wojewodą,

nie tylko że w oczekiwaniu jego samego, apartamenta mu Generała Zakonu przygotowali, Subdelegata w mieszkaniu X. Rektora pomieścili, i co przedniejsi z tej partyi przytułek w kollegium znaleźli. Nietylko zaś za pomocą konfessyonałów i wpływów duchownych partyę sobie przychylną wzmaoniali, lecz nad to wszyscy uczniowie konwiktu już pod wąsem (w onczas bywali tacy gryzący Alvara) pod karą duchowną, a w razie potrzeby i cielesną, do zasilenia tej partyi przyczynić się musieli.

Prócz tych niejako duchownych pomocy, wyświadczali wielebni Ojcowie jeszcze i inne niemniej skuteczne: raz że partya Ojcom miła przez tajemne wejścia wpuszczana przed uroczystem otwarciem wielkich drzwi kościelnych, przedniejsze i widniejsze miejsce zająć mogła, a nakoniec Ojcowie dozwolili na drugim obszernym dziedzińcu, mieszczącym służby klasztorne, traktament Wojewody, stoły z jadłem i beczki z napojem umieścić—wielka prerogatywa sejmikowa, której partya przeciwna była pozbawioną.

Subdelegat jak na sejmikowicza przystało, w odświętnych szatach, mundurze wojewódzkim,—jakto niegdyś na przyjęcie Wojewody jeżeli pamiętacie,—przededniem był już na nogach. Że zaś dnia tego pokpioną przez Juka sprawę miał do poprawienia, i bez tego zawsze gorliwą czynność podwoił. Obiegał tłumy szlachty, ściskał, całował, o zdrowie pytał, nie tylko samych, ale ich żon

i dzieci (notabene jak zawołanemu sejmikowiczowi przystało, po imieniu), przedniejszych do refektarzy O. O. Jezuitów, a innych do stołów pod namiotami na traktament zapraszał. Nie jednego z partyi przeciwnej w znanej sobie sprawie zagaił.

— A co to waszmość, przegrawszy w grodzie, poszedłeś do forum, i tam klapniesz..... Znam ci ja wprawdzie jeden niezawodny sposób ... hm!

— Aj! dobrodzieju, łaskawco!...

— Przecież to waszmość adherent Czartoryjskich. Hm! możni panowie, możni.... niech radzą.... Ale ja mosanie stanąłbym tylko na jednej pewnej akcessoryi i sprawa jak w worku.... ale....

Dalejże szlachcic submitować się i molestować, i stanęło na tem, że Subdelegat podjął się jego sprawy, a skoro się on podjął, to śmiało głoś wygraną. Szlachcic zaś kokardę żółto-niebieską do czapki przypiął.

One kokardki barwy herbowej Potockich po raz pierwszy na tym sejmiku pojawiły się.

Te były czynności, że je nazwiemy, serdeczne i dyplomatyczne; prócz tych pozostawały jeszcze prawne, a chodziło o to, ażeby uparcie trzymających się partyi przeciwnej, w moc prawa od głosowania usunąć; na co była siła sposobów: sprawy kryminalne niepokończone — nie zadość uczynienie wyrokom sądowym — kondemnata zapisana przez pozew zręcznie w czas przedsejmikowy położony i wiele innych bez końca, przeciw którym

upilnować się było niepodobna, a wyliczenie tych za daleko by nas pociągnęło. Nakoniec delacya osoby jako dyssydenta, lub o skryte wyznawanie obcej wiary, a nakoniec niedopełnianie obrządków katolickich—wszystko to poparte świadkami, a zręcznie przed kołem sejmikowe[illegible]yte, dobrze skutkowało, czego także Subdelegat nie zaniedbał.

Jedno z drugiem, wprawną ręką Nieświastowskiego kierowane, partyę jego wzmagało, i żołtoniebieskie kokardki coraz gęściej na partyi przeciwnej ukazywały się, — kiedy Juk przyniósł pożądaną wiadomość o podstępie z Wisłockim.

Zaraz tedy renegaci od partyi generalskiej puścili szmermele pomiędzy swoich, że Wisłocki nie chcąc popierać złej sprawy czmychnął po prostu:

— Bo zkądby tak prędko wiadomość o żonie miał, wszak orły listów nie noszą? — przekonywali jedni.

— Nie daremnie jmć pan Cześnik Kunecki porzucił „familią", która na zgubę naszą czyha.

A w istocie że Kunecki był nawet przed Wisłockim filarem partyi Czartoryjskich, lecz dochowując uczynionego juramentu Subdelegatowi, silnie nową dla siebie partyę popierał.

— A co to mosanie, czy my już takie hetki pętelki, iż nietylko Czartoryjscy ale i Wisłoccy drwić z nas będą?

— Jakby nie było, a zawsze lepsza sprawa z Wojewodą.

— Ba i jak jeszcze, przynajmniej karmi i poi, a Książe retoryką traktuje.

Mówili raczący się traktamentem Wojewody.

Jak dotąd fortel Juka dobrze się powodził, i sukces miał nie mały, bowiem partya przeciwna pozbawiona przewódzców, już tłumem do wojewodzińskich przystała, a zaledwie kilkunastu osobistych przyjaciół książęcych twardo się jeszcze trzymało.

Subdelegat, czując się w dobrej sile, już tylko przyśpieszał otwarcie kościoła, i rozpoczęcie przedsejmikowego solennego nabożeństwa, kiedy nowy a wcale niesrodziany wypadek, tak mu pomyślnie snujące się szyki pomięszał. Tą iście fatalną niespodzianką, jakby pojawienie się upiora z pod ziemi w czas godów weselnych, był jmć pan Bukojemski, Podsędek Zwinogrodzki. Co zacz był? — warto się i nam dowiedzieć.

Bukojemski, człowiek niepospolitej, jak na ówczas, cywilnej odwagi, z pomiędzy wielu potulnej i pokornej szlachty strzyżonej jak owce przez Wojewodę i jego jurystów, był jedyny, który ośmielał się procesować możnych i wszechwładnych na ówczas Potockich, obsadzających grody i Trybunały swoją klientelą, — co gorsza, jeszcze często gęsto wygrywać procesa. A może to był jedyny, którego Subdelegat nie mógł zjeść w kaszy na jurystowskich akcessoryach i wybiegach. Dla niepospolitego zaś rozumu i prawniczej jego przebieg-

łości, panowie go za panbrat traktowali, a nawet i czapkowali mu w razie potrzeby.

Pojawienie się Bukojemskiego w partyi przeciwnej, tem groźniejszem się wydało, iż on chociaż mieszkał w grodzie dla attentowania licznych processów, lecz pisząc swoje pozwy, relacye i t. d., sejmików zwykle unikał;—raz przed kilkudziesięciu laty na jednym się zjawił, i Potockim zalał sadła na skórę, dla tego i teraz w obec wielkich knowań, jakie wojewodzińska partya odbyć miała, wcale im nie był pożądanym.

Wprawdzie powierzchowność Bukojemskiego mogła stracić na przystosowaniu do niej przysłowia — „jak cię widzą tak cię piszą" — albowiem całą postawą swoją wabnego nie sprawiał widoku. Mały, krępy, niezgrabny, cały pokryty rudzizną, bo włosy i brwi, a nawet cerę twarzy miał ceglastą, do tego z fantazyi czy wymagań zdrowia, zimą i latem nie zrzucał lisiurki i czapki swoim właściwym krojem wymodelowanej, którą lisi ogon nad czołem zawinięty zakończał. Lecz tak się szlachta do tego oryginała przyzwyczaiła, iż w nikim ta cudacka postać śmiechu nie budziła, a raczej poszanowanie przyjaznych, a postrach nieprzyjaciół wzniecała. W ogóle nie pośledni mir u wszystkich pozyskał, dla rzadkiego rozumu, i głębokiej znajomości prawa, którą chętnie i bezinteresownie, w obronie uciśnionych szafował, osobliwie, jeżeli o wystąpienie przeciw magnatom chodziło.

Człowiek to był nieprzedajny a nieustraszony, i gorzką prawdę zawsze w oczy cisnąć gotowy, i teraz skoro obaczył szlachtę swojej partyi w dezercyi, przy beczkach wojewodzińskich, srogim gniewem będącym u niego na zawołanie zapłonął—a głosem zwykłym, choć ochrypłym jednak donośnym zawołał:

— A kogóż to ja mam przed sobą, szlachtę rzeczypospolitej czy nierogaciznę babrzącą w pierwszem lepszem korycie, która byle tylko w czem ryje pomoczyć miała, nie baczy zkąd żer płynie z ula czy z kloaki? A precz mi opoje i obżartuchy, bo choćbym i sam miał zginąć, to wam te żarłoczne pyski porozdzieram.

Po tych słowach zapamiętały, nie oglądając się na liczbę i siłę, chwycił jednego drugiego za kark, i od beczki odtrącił. Zapewne winien był mirowi, który u szlachty posiadał, że mu ta animozya na sucho uszła, a srodze potraktowani przez Podsędka, zamiast się jurzyć i stawić okoniem, przycichli, i w milczeniu dalej z pokorą żaków szkolnych słuchali surowej admonicyi.

— Opijajcie się jak bąki, i pęknijcie jak ten wół od wody, stokroć mi lżej będzie patrzeć na wasze trupy, niźli na żywych obrzydłych trutniów za marną kroplę gorzały, dobro własnego kraju zaprzedających. Pijcie, żłopcie łzy i krew braci, a w tych djabelskich stągwiach utopcie i głowy i serca i sumienia!.....

Prawił tak długo Bukojemski, a pomimo głosu odrażającego chrapliwością, szlachta słuchała go z uwagą, a od beczek odbiegłszy, już głowami kiwała i niektóre oczy łzami zachodziły; — a nakoniec jeden drugi zawołał:

— Ten kiep kto nie z Bukajemskim.

— Precz z tymi znakami.

I kokardy, niedawno przyjęte z rąk Subdelegata, ciskając na ziemię nogami deptali.

Nieświastowski widząc iż nie przelewki, a zdziałane dotąd w niwec się obraca, wysłał do X. Rektora ażeby z otwarciem kościoła powstrzymano się, albowiem rozpoczęcie sejmiku dla jego partyi nie dobrze rokowało. Tymczasem zaś na uboczu naradzał się z Kuneckim, i z innymi w sejmikowych praktykach biegłymi, jakby złemu zaradzić? — Przy tej okazyi zbuzował Juka za jego pomysł wydalenia Podstolica, mówiąc:

— Pokpił waćpan po dwakroć sprawę, gdyż zaprawdę za Wisłockiego Bukojemski, to jak mówi przypowieść: zamienił stryjek siekierkę na kijek.

Zburczany Juk pragnął własnym pomysłem rzecz popsutą naprawić, i nie uprzedzając Subdelegata na taki niefortunny wpadł koncept: zebrawszy kilku pijanych urwipołciów, a z nimi wświdrowawszy się w tłumy, acz i tak niewieliczki, do tego zgiąwszy się w kłębek zaczął udawać nawoływanie dojeżdżaczów, szczekanie psów, trąbkę myśliwską, słowem całe łowy. Że do wszelkich

figlów był wielki majster, podpiła szlachta nie zdając sobie sprawy, przypuszczając iż w rzeczy źwierz się jaki zabłąkał, do obławy przyłączała się. A jeden drugi pyta:

— Co?... gdzie?... którędy?....

Juk, sznurkując niepostrzeżenie, całą obławę na Bukojemskiego prowadził. Tak zaś się złożyło, że psy klasztorne, czyli z wypadku czy z umysłu puszczone i podłożone przez jakiegoś żartownisia za łowami podążyły, i nie widząc innej zwierzyny, na lisiurkę i czapkę Bukojemskiego ujadać zaczęły.

Śmiech często bywa heroicznem lekarstwem, a nie rzadko nad rozsądkiem i perswazyą górę bierze. Już tedy wołali:

— Kto z ogonem trzyma, a kto z głową?

I koło Bukojemskiego przerzadzać się zaczęło, tych zaś, co przy nim zostali, szyderstwem obrzucano.

— Ogony, ogony! — krzyczała szlachta.

Tak, iż już krucho koło Bukojemskiego było, a szukając ocalenia, wskoczył na kufę wojewodzińską opróżnioną, rzecz zaś całą spenetrowawszy, gromkim, dominnjącym ów hałas głosem, ozwał się:

— Owóż macie nowy przykład generozyi partyi wojewodzińskiej i czem ona wojuje!... Oto psami szczwa tych, którzy jej ambitnym zamysłom i imprezom nie sprzyjają i poddać się ślepo nie chcą. Wydostają na wierzch trefnisiów, ludzi

wątpliwego indygenatu (tu wskazał na Juka) — stroją ich po szlachecku, nawet broń do boku dodają, którą ci władnąć nie umiejąc, przy niebezpieczeństwie w psie paszczęki się zbroją. Idźcie wszyscy— zawołał głośniej— idźcie do tej psiarni pańskiej, a gdy utracicie co wam najdroższego, jako psom zgłodniałym, rzucą wam ochłapy. Tak! nie słuchajcie mnie, bom ja jest lisem ale po wierzchu. Aliści zaprawdę powiadam wam, że stokroć niebezpieczniejsi i zdradliwsi są oni lisem podszyci. Idźcie, gdzie was próżność i żarłoczność do pańskich otrębów ciągnie. Ja przynajmniej patrzeć na to nie będę!...

Po tych słowach chciał zejść z kufy, lecz go szlachta na barki chwyciła, i podrzucając w górę wiwatowała. Inni zaś zawołali:

— Precz z Wojewodą! Precz z Nieświastowskim! Wiwat Książe! Wiwat Bukojemski!..

Przyszło do szabel, szlachta hurmem rzuciła się na Juka, lecz ten zwinny, jak dał susa przez wysoki mur jeznicki, zniknął bez śladu.

Rzucili się na Nieświastowskiego, który nim się opamiętać zdołał, ktoś mu tam łeb szablą rozpłatał.

Zaraz wyniesiono ledwo żywego Subdelegata, lecz pomimo to, bój zacięty trwał ciągle. Jeden na drugiego nastawał, a wszyscy rozwścieczeni lub pijani, nie zdając sobie sprawy o co chodziło — wzajem się tłukli.

Bukojemski zawsze trzymany na barkach szlachty, napróżno silił się gromkim głosem nad wrzawą zapanować.

Jezuici biegali, kropili święconą wodą, na gwałt dzwonili, ale i to nie na wiele się przydało.

Aż gdy Starosta z milicyą miejską nadciągnął, acz szlachta liczniejsza jej się nie obawiała, jednak jakoś im to przytomność wróciło i znając że Starosta przez parantelę trzyma z Wojewodą, najprzód pomyśleli, ażeby przed zemstą prawa uchronić Bukojemskiego i gdzieś go w tym popłochu zręcznie sprzątnęli.

Każdy z tej i owej partyi, który do czego bądź poczuwał się, zmykał i już o sejmiku nie myślał.

Tak niespodzianie przez figle jednego trefnisia, rozchwiały się dwie partye, które przez tyle zachodu nie małym kosztem zawiązały.

Nim cały ten popłoch uśmierzył się, zaledwie przed samem południem, iżby przepisem kanonicznym zadość uczynić, msza solenna wyszła. O. O. Jezuici mając gotową przemowę za partyą wojewodzińską, po rozproszeniu jej już przemawiać za czem nie mieli. A dzień ten przeszedł na obyczajowem odczytaniu uniwersałów i odebraniu przysięgi.

Po złamaniu dwu tych olbrzymich kolosów, sprawy sejmikowe mniej już ogół obchodzące, rozbiły się pomiędzy drobne partyjki, które dotąd mniejsza szlachta prędzej dla dogodzenia fantazyi i bucie, a nie z nadzieją w przyszłość wiązała.

Pozostawali obozujący za miastem, lecz o tych pamiętać nie było komu. Po katastrofie z Nieświastowskim, i zniknięciu Wisłockiego, a następnie Bukojemskiego, nieprzyjaźń dwóch obozów przez nikogo nie podsycana, sama przez się upadła, i przed chwilą jeszcze zajadły antagonizm dwu stronnictw, zamienił się we spólną troskę o wyżywienie; bowiem zupełnie o nich zapomniano, a płatni dziennie jurgieldu już nie dostali.

Wyczekawszy tedy napróżno dni parę, czyli nowa im się gratka nie dostanie, głodni i chłodni do domów porozłazili się.

Partya generalska była całkiem opuszczoną, bowiem młody Książe przybywszy tu tylko dla powitania klientów z rozkazu ojca, przez tegoż powołany do Wiszni, gdzie sam stary Książe sejmik Województwa Ruskiego atentował, nie czekając tu otwarcia sejmiku, wyruszył.

Wojewoda Kijowski bawiący pod ten czas u brata swojego Starosty w Dżurynie, chociaż zawiadomiany o zaszłych wypadkach, na drugi dzień do Winnicy pospieszył, atoli osamotniony, tego rozmotanego kłębka bez czynnej pomocy Subdelegata nawiązać nie zdołał.

Panowie bowiem ówcześni w stosunku do szlachty byli niejako słońcem do ziemi, które ją grzeje i oświeca, lecz nigdy aż do zetknięcia z nią się nie zniży. Drobny szlachetka, w obawie olśnienia, nie śmiał podnieść oczu na magnata; ten zaś mógł być jego ciepłem czy światłem, jaśniej mówiąc

chlebodawcą i dobrodziejem, lecz chyba w mowie i piśmie — ale nigdy w czynie — *bratem.*

Ten właśnie oddalony stosunek, wyrodził z konieczności łącznik pomiędzy ową potęgą władzy i bogactwa, a w danym razie przed prawem nie mniejszą potęgą gromadnej siły;—tym zaś łącznikiem był sejmikowicz, dla którego pańskie progi— nie były za wysokie, a braterskie za nizkie.

Gdyby Wojewoda miał przynajmniej pod ręką Juka, który rozsiewając traktament i pieniądze potrafił by może cały sejmikowy kontyngens utrzymać i za pańską instrukcyą prowadzić. Lecz Juk jak łatwo wnosić z wyż przytoczonego, sprawca kłopotu, wiedział że jak pan za każdą zręczną usługę umiał sypnąć dukatami, tak za każdą niezdarność sypnąłby na kobiercu coś gorszego (co pono jemu jako wątpliwemu szlachcicowi niejednokrotnie zdarzało się) — uważał za bezpieczniejsze, do wysapania pańskiego salwować się ucieczką i na pierwszy impet gniewu nie narażać się.

Z tysięcy tedy sejmujących, zaledwie jakieś setne niedobitki nazajutrz obradowały. Spierać się i ścierać nie było z kim i komu, gdyż mała garstka pozostałych, nim oprzytomniała od wielkiej katastrofy przedsejmikowej, na wszystko ze wszystkimi zgadzała się. Ztąd i sam sejmik o ile gwałtownie się zapowiadał, zakończył cicho i spokojnie, jak żaden z jego ówczesnych kamratów w całym kraju, albowiem wszystkie inne były

arcy burzliwe. Jakoż i poselstwa udało się schwycić szlachcie do żadnej przeważnej partyi nie należącej, która po raz pierwszy a niemal i ostatni na widownię polityczną występowała. A stał się jak nie rzadko na świecie — pomimo głośnych zabiegów — *z wielkiej chmury mały deszcz.*

IV.

W najlepszej komnacie pomieszkania Jmć Xiędza Rektora, z widocznym przepychem dla przyjęcia dostojnych gości przystrojonej, leżał Nieświastowski, z głową otoczoną bandażem, nie do poznania zmieniony.

Kto widział przed kilką jeszcze dniami to ożywione energią i wolą oblicze, dziś cierpieniem i rezygnacyą napiętnowane, te oczy ciskające niegdyś iskry piorunowe, i pałające nczuciem, dziś przygasłe, a jakby martwą powłoką pokryte, — ten niezawodnie poznałby że już ztamtąd uchodziło życie, którego żadna siła zatrzymać by nie zdołała. Ręka tak niedawno jeszcze dzielnie kordem i piórem władająca, dziś bezsilna, bezczynnie opadła. Usta niegdy cycerońskiego namaszczenia pełne, dziś zawiędłe i zeschłe, zdawały się chwytać resztki uchodzącego powietra.

Patrząc na ten kolos, chwiejący się i tuż, tuż do upadku nachylony, doznałbyś takiego wrażenia, jak na widok gmachu, któryś wczoraj pię-

trzącym się ku niebu podziwiał, a dziś deptał po jego gruzach. Owóż dla czego śmierć, w której nic z resztą strasznego niema, tak nas przeraża, bo nam rozkład i nicestwo ludzkiej siły przed oczy stawi.

Do koła tego łoża boleści ugrupowały się same przyjazne postacie; tuż u wezgłowia, siedziała wierna małżonka spółzawodnicząc z chorym o marmurową bladość oblicza. Obok niej Wojewoda Kijowski posępny; we framudze okna stał Kunecki, a ile razy wyjrzał ukradkiem na łoże, szpiesznie ukrywał się przed wzrokiem obecnych, ażeby swojemi łzami żałości ich nie zwiększać.

Chociaż było kilku lekarzy, bo i znakomity włoch Lascani, wielce biegły w swojej nauce, i nadworni Wojewody, lecz że chory ich pomoc już odtrącał, a snać i oni przekonani że to się już nie na wiele przyda, w izbie przyległej w gotowości na wszelkie wezwanie trzymali się.

X. Rektor sam odbył z rana ostatnią ceremonię, i ażeby chorego nie turbować naprędce rozgrzeszył. Ci Ojcowie bowiem gorliwi w wierze, skoro interes nakazywał, umieli w razie potrzeby oną gorliwość mitygować. Prawda, że kogo kochali, to żyć z nimi, a nawet i umierać było dobrze. Dla tego i teraz wcale choremu nie naprzykrzali się.

Są cisze, i cisze na świecie; a tyle ich poeci przywodzą: cisza wiosny, wesela, miłości, szczęścia i t. d., wszelako najuroczystszą z nich jest cisza

śmierci, to jak cisza morska przed burzą zniszczenia; taka to właśnie zaległa ten śmierci przybytek.

Wojewoda zawsze ruchliwy i niespokojny, do gwaru nawykły, a nieprzyjaciel smutnych wrażeń, nie mogąc przenieść tego śmiertelnego milczenia, jak dziecko w ciemnej izbie, co dodając sobie animuszu mówić samo do siebie zwykło, tak i on przerwał to grobowe milczenie przemawiając do chorego.

— Cóż mój Łukaszu, czyliż cię nie cieszy, że droga wasza małżonka nadzieję ci blizkiego ojcostwa zwiastowała; pokrzep się więc na siłach, ażebyś się nowonarodzonym nacieszył.

Chory jakby z letargu zbudzony odgłosem mowy, wstrząsnął silniej głową, rozwarł szerzej powieki i pierwszy raz do koła spojrzał, a nabrawszy dużym tchem powietrza, dość głośno i wyraźnie powiedział:

— Bóg łaskaw, snać nie poczytał mi ciężkiego grzechu złamania ślubów zakonnych, bo pomiędzy drogimi sercu pozwala mi umierać. Zawsze jednako grzech ten poniosę przed sąd Boży i kara mnie za niego czeka. Niech przynajmniej na tyle ulżę grzesznemu sumieniu, iż nie zacięży na niem rozerwana przyszłość tej córki mojej po duchu, a dziś małżonki, której szczęście ty, drogi Jacku, trwalej byś zapewnić potrafił.

Domawiając tych słów, dał znak żonie i Jackowi, ażeby się do łoża przybliżyli, a kiedy ci tonąc

we łzach, woli tej zadość uczynili, tak dalej prawił:

— Łzy te najlepsze mi dają świadectwo o sercach waszych, w których dla mnie nie żywicie rankoru. Ty, miły Jacku, którego szczególnie pokrzywdziłem, bo przy nadużyciu prerogatyw opiekuna, dziewkę przyrzeczoną ci wydarłem.

Tu chory sam się zalał łzami tak, że go ledwie uspokojono, i z mdłości ocucono; wszakże, po raz ostatni nabrawszy sił nowych, tak prawił:

— Otóż, jeżeli pragniecie ulżyć co niebądź memu obciążonemu sumieniu, zaklinam was moi drodzy, połączcie się węzłem małżeńskim..... reszta w testamencie, który wczora sporządzilem.....

W tem miejscu blizkie konanie mowę mu przerywało, a tyle tylko miał siły, że ręce klęczących przy łożu, żony i Cześnika połączył; dalej próżno na zwięzłą mowę silił się, gdyż tylko oderwane wyrazy przeplatane chrypieniem z ust mu się dobywały.

— Widzę ta sama Matka Boska..... Tak Ojcze Definitorze przysięgam..... prowadzi kobietę, to moja Salka, trzyma syna.... Tak będzie syn.... golić mu głowę, w długie suknie odziewać.... zapisano w kronikach rodowych.... ma być wierny rodowi Potockich jako i ja do śmierci....

Chwycił konwulsyjnie rękę Wojewody chcąc ją do ust ponieść i..... skonał.

Choroba a następnie śmierć Subdelegata, który jako człek niepospolitego rozumu, zdrowej rady i wielkiego serca, nie pośledni mir nie tylko u własnej partyi lecz i u wszystkiej braci pozyskał, nie pomału wszystkich przytomnych zatrwożyła i rozżaliła. Sejmikujący, śmiercią tą tak niespodzianą przerażeni, obojętniej na sprawę publiczną spoglądali. Nareszcie zanadto hazardowne i burzliwe rozpoczęcie sejmiku, a ztąd skutki fatalne zniechęciły partyę wojewodzińską; generalska zaś, jak widzieliśmy, przez wyjazd Wisłockiego, i przymusowe chronienie się Bukojemskiego, puszczona była samopas. Nie dziw więc, że przy ogniu przez innych rozdmuchanym, nowe szlacheckie spiekły się pieczenie, i cale nieznani ludzie przy przewództwach partyi wystąpili. Wszakże nie trwałe były te sukcessa, i zazwyczaj takie partye z przekąsem nazywano *motylemi* i ich przewódców *motylami*, zapewne ich chwilową egzystencyę do krótkiego życia tego owada przyrównywając.

Utrzymują współcześni, iż Wojewoda Kijowski zamierzał urząd zdeponowawszy, jak prawo mieć chciało, posłować na sejm od Bracławskiego Województwa. Atoli nieprzewidziane wypadki tak zdarzyły, że posłem stał się kto chciał, a wcale do żadnej partyi nie należący — i tak posłowali na ten sejm: Bykowski Sędzia i Starosta Trembowelski, Porczyński Wojski Winnicki, Skarbek Starosta Kahorlicki, Kolumna Czosnowski Staro-

sta Ułanowski i kilku innych, żaden atoli z nich do partyi wojewodzińskiej nie należał.

Śmierć biednego Subdelegata przypadła pod ostatnią sessyę sejmiku i kiedy obradujący o niej dowiedzieli się, płacz powstał w izbie sejmikowej ogólny. Uwierzyć temu nie trudno, bowiem szlachta, dopóki owiana powietrzem sejmikowem, nienawidziła się, brat z bratem szedł ochotnie na noże, a jeden drugiego w łyżce wody gotów był utopić, o tyle po za izbą sejmową cała animozya znikała, dyplomacya wietrzała i podawnemu kumali się, bratali, swatali i miłość bliźniego na nowo w każdem sercu rozpalała się.

Teraz obrazem śmierci strwożeni, wszystkie własne niechęci w uczuciu żalu skupili; a to tem więcej, iż zgon Nieświastowskiego wielu osobiście dojmował. Był to bowiem mąż przy twardym harcie, miękkiego serca i niepospolitej głowy, umiał być pożytecznym, a nie jednemu w przygodzie stanął, i obyczajem szlacheckim, urazy po za progiem izby obrad pozostawiał.

Zmarły o ile był grzeszny jako człowiek? nie do nas ludzi sąd o tem należy. Lecz przewinienia jego jako Sejmikowicza, prawdopodobnie na sądzie ostatecznym nie na jego, a na czyjej innej szali będą ważone. Każdy bowiem z sejmikowiczów, jeżeli w czem zawinił, to najczęściej nie przez złą chęć, a prędzej ślepe poddanie się woli i bezwarunkowy podział przekonań jednego moż-

nego domu; a trzymając się go z pokolenia w pokolenie, ufając w prawość jego działań, w czystość zamiarów, niezachwianą miłość dla kraju, stawali się ślepemi narzędziami w ich ręku. A chowaj Boże nie przedajność i chęć zysku ich prowadziła (chociaż i tego były wyjątkowe, ale rzadkie przykłady).

Opłakiwali tedy wszyscy skon tego prawego męża, a najbardziej Wojewoda Kijowski. Stronnicy tego pana, widząc jako blady, sam do trupa podobny, nad martwem ciałem swojego przyjaciela (a poniekąd sługi), rwał włosy z rozpaczy i w łkaniu utulić się nie dawał, podziwiali dobroć i affekt pański, a nie jeden zaufaną przy nim pozycyę zmarłego byłby rad zająć.

Trudno to przeniknąć tajnie serca ludzkiego, nawet gdy puści wodze najczystszemu uczuciu, jakiem zda się być na pozór boleść przy stracie miłych sercu, najbardziej podejrzliwych dobrą wiarę zyskująca, i żadnemu zimnemu rozumowaniu nie podległa. I tak czyli kto kiedykolwiek śmiał poddać pod zimną rozwagę lub zwątpienie troskę frasobliwej wdowy omdlewającej nad mogiłą ukochanego małżonka? Dzieci zanoszących się od płaczu przy trumnie skąpego ojca, który nie rozwiązywał mieszka za życia? Synowca, ze strapioną miną prowadzącego kondukt żałobny najdroższego stryja? i t. p. A pfe! ktoś by mnie gotów posądzić o niegodziwy sceptycyzm. Zatem, oddalając od siebie zwątpienie Tomaszowe, wolę

na ślepe wierzyć w te wszystkie uczucia, a nawet żadnego wyjątku z pod tego prawa dopuścić nie ośmielę się.

Zaprawdę mógł szczerze płakać Wojewoda, bowiem jako człowiek, w Nieświastowskim rzadkiego przyjaciela utracał. Lecz stokroć większe straty jako polityk przenosił: począwszy od pierwszych znanych nam odwiedzin u Subdelegata, tego już na ten czas quasi pół zakonnika, którego przez zręczną dyplomacyę wyrwawszy z pietystycznych obłędów, na ślubnym kobiercu postawił. Nadto niespodziewanemu trafowi zawdzięczał, iż przez to samo Kuneckiego, ten silny filar partyi przeciwnej, na podporę swojego gmachu dyplomatycznego uzyskał. Tyle wiadomych nam zabiegów śmierć ta niszczyła. Co się zaś działo po za kulisami sejmikowemi, ile tam zużyto fortelów, jednań etc. ze strony obojga małżonków, przeliczyć nie podobna — a wszystko to marnie poszło.

Zaiste czas to był ważny, i plon zasianego ziarna zapowiadał się obfity. A kto wie przy szczęściu owe korony z pod kluczyka złotego Wojewodziny, mogły odrazu wskoczyć na głowę; a to tembardziej, iż po śmierci Augusta III uchwalono na sejmie konwokacyjnym, aby był król obrany z ojca i matki polaków, w wierze katolickiej zrodzony i żyjący pod równemi obywatelskiemi prawami, aby nadto ten, ktoby przekupstwem ujęty, za zagranicznym obstawał królem, za nieprzyja-

jaciela kraju był uznanym, i na rzecz skarbu pozbawionym majątku swego... [1])

— „Kto wie na co się to przyda?" — w obec tego argumentu mógł sobie myśleć przed sejmikiem Wojewoda. Z konieczności zaś na sejmie Bracławskim całą wagą oprzeć się musiał; raz iż ze wszystkich ruskich województw, Bracławskie prawie w połowie dobrami Potockich zajęte, najliczniej zaś osiadłe przez szlachtę, która przez rozmaite zawikłania i stosunki majątkowe w zależności od nich pozostawała. Inny jeszcze a nie mniej ważny był do tego powód, że wszelkie inne sejmiki za partyą silnej wówczas *famili* jawnie się zdeklarowały i tam już próżne byłyby tentacye na swoją stronę przeciągać. Na sejmikach zaś Wielkopolskich Czartoryjscy pobić by się nikomu nie dali.

Zaiste było czego rwać włosy, po utracie wszelkich illuzyi pokryć je koroną. Wszakże przy tym żalu nie dającym się ukoić, nie zapomniał Wojewoda o zemście: jużto z jego insynuacyi, usłużny Starosta Winnicki pilnie poszukiwał Bukojemskiego, lecz że tego szlachta po za obrębem władzy starościńskiej ukryła, a może i do innego województwa pomiędzy familię zamknął, zatem wszelkie poszukiwania nie na wiele się przydały.

Szukał tedy Wojewoda bliższej zemsty pod ręką na Juku, będącym całej tej gmatwaniny powo-

[1]) Konfederacya generalna z roku 1764 pod Tyt. 5.

dem i główną sprężyną. Ale ten w ciemię nie bity, wiedział, że go czekało ciężkie biczowanie, a po niem może i nieco przedługie rekolekcye, w lochach Krystynopolskich, wolał zatem wpaść jak w wodę; pan obiecał pięćset dukatów temu, kto zbiega dostawi, rozbieżono się tedy na wszystkie strony, ale na próżno.

Nie potrzebujemy powiadać, iż ostatnią posługę zmarłemu, jako przez się wielce miłowanemu, szlachta oddała ze wszelką poczciwością. Wojewoda zaś dla przepychu i okazałości niczego nie szczędził.

V.

Na Zbereżu, znanym nam zameczku niegdy Subdelegata, gdzie przed niedawnemi czasy na przemian widzieliśmy ciszę klasztorną, następnie spezę i paradę tak przy podjęciu Wojewody jak i wyjeździe samego pana; a we wszystkiem ład i porządek sprężystą ręką gospodarza trzymany. Dziś to przed niedawnym jeszcze czasem srożące się i wojownicze miejsce obronne, w przybytek wdowiego frasunku zamieniło się. Choć to i dni nie tak wiele upłynęło, odkąd niestało głowy, co temu rozkazowała, i silnej ręki do podtrzymania, a wszystko do koła jakby żałując swojego pana smutnie ku ruinie pochyliło się; wały osunięte już się z ziemią zrównały — lamusy co niedawno harde czoło nieprzyjaciołom stawiały, dziś jakby dwa dziady kościelne przygarbiły się u bram zamku, które same na osłabionych wrzeciądzach zachwiane, trzymanie warty wypowiadały; — most zwodzony niedbale opadł na fossę, a nad nią zawisł łańcuch rdzą przejedzony. Droga zdająca się gości nie

oczekiwać chwastem porosła; z całych niegdyś budynków gruz się już sypał.

A ludzie?... Chociaż zda się ci sami pozostali i w młodszych piersiach życie grało jeszcze, a w starszych dogorywało, jednak na każdem sercu zaciężyło westchnienie żalu i tęsknoty, a każdy za kimś się oglądał, jakby mu kogoś brakło. Panna Domicella rzeźwa i gadatliwa staruszka, swój czepiec biały a szerokoszlary na kornet żałobny zamieniwszy, na zawsze umilkła, a wzrok niegdyś żywy i ruchliwy ku ziemi opuściła, jakby tam na niej szukała, kogo już znaleźć nie mogła — miłego swojego krewniaka, na jej dziś już bezwładnem ręku piastowanego. Starzy dworzanie i słudzy, łzawe oczy ku Niebu wznosili, szląc tam zapytanie „Azali prędko z miłym się panem swym połączą?" —

Luboć to w rzeczy nędzna jednostka ten człowiek, uczeni zaś statystycy w ogóle na każdego zmarłego więcej niż jednego narodzonego wyliczają, zatem zdawać by się powinno, iż na zniknięciu tej małej cyfry nikt nie traci — bo ziemia nową zgnilizną się ulepsza, przeto jednak z onych jednostek niemasz tak mizernej, której wybycie ze świata nie odziałałoby chociaż na jakieś małe kółeczko, nie pozostawiło po sobie pamięci do chwili przynajmniej aż ją czas, wielki niszczyciel pochłonie, i w przepaść zapomnienia zarzuci.

Dom tylko Subdelegata zawsze bieluchny i poważny staruszek z pod czerwonego przykrycia zda-

wał się obojętnie spoglądać na powalonych do koła towarzyszy. Wszakże tylko na zewnątrz nie zmienił postaci, wewnątrz bowiem, ponure echa roznosiły po pustkach nieśmiało stawiane kroki rzadkiej służby, która się tam od czasu do czasu snuła. Nigdy uśmiech lub głośniejsze słowo nie obiły się o te ściany, w których głębi zastygły na zawsze dawne śmiechy, hałasy i wesołe okrzyki. Komnaty które jeżeli pamiętacie przechodził Wojewoda, izba w której z gospodarzem po raz ostatni zostawali—wszystko to oniemiało na zawsze, jakby grobem się stało, albowiem żal i ciężka tęsknota wszystko tam pochłonęły.

W jednej z narożnych i obszernych komnat, którą niedawno zastygłe, miłujące serce małżonka we wdzięczny i rozkoszny przybytek Hymenu zamieniło, stały obok siebie dwa łoża, a dziwna i rażąca sprzeczność pomiędzy niemi panowała: jedno osłonięte czerwoną adamaszkową kotarą w szczerozłote frendzle i kutasy, zdawało się uśmiechać i wabić roskoszą i miłością; a te stało nietknięte, jakby dawno zastygłe i zasmucone po spoczywającym na nim. Drugie podobne, miasto bogatej czerwonej kotary osłonięte kirem, łzami białemi usianym. A na niem z pod czarnego okrycia jakby całunu, przeglądało oblicze zeschnięte, trupią bladością pokryte. Jednak pomimo choroby i wyniszczenia, wdzięczne a wspaniałe kształty dawnej urody przebijały, tak jakby piękność żywego ciała na martwy marmur przeniesiona, któ-

rej ręka mistrza choć nic z piękności nie ujęła, wszakże życia wetchnąć nie zdoła.

W pośród tej przygasłej i martwej natury posągu, jedno tylko co życiem do koła strzelało, jak dwa rozżarzone węgle wśród ciemnej nocy, dwoje żywych ognistych oczu, zdawało się lać żywego światła promienie i ciemność do koła rozpędzać. A skoro blask ich padał na misterną kolebkę, nieopodal łoża stojącą, oczy zdawały się dobywać z głębi duszy uśmiechu, a blade usta jakby w modlitwie szeptały:

— O mój drogi niezapomniany Łukaszu, dałam coć przyrzekłam, odżyłeś w męzkim potomku, niechże choć duch twój czysty rozraduje się w Niebie, kiedy nam razem się cieszyć nie dano na ziemi tą spełnioną nadzieją.

I pod łzami rzęsnemi blask oczu zagasał, i cicho było w tym grobie żyjącej, tylko od czasu do czasu płacz niemowlęcia, lub cichy, jednostajny śpiew utulającej piastunki, to niemal podziemne milczenie przerywały.

Była to komnata raczej przybytek żałoby wdowy i sieroty po Nieświastowskim, któremu tej gorącej nadziei jego życia, celu jego marzeń, przedmiotu proroctw rodzinnych, objawień cudownych niedano oglądać za życia, i do ciepłej przycisnąć piersi.

We trzy miesiące po śmierci Subdelegata, Bóg go obdarzył tym małym pogrobowcem.

Żona po oddaniu ostatniej posługi zmarłemu małżonkowi, zamknąwszy się w tym przybytku żalu wdowiego, na świat zeń nie wyjrzała, i chociaż zewsząd płynęły słowa pociechy, bo i sama nawet Wojewodzina z niemi przybywała i przywoziła z sobą dwór cały, na horyzoncie którego tak jasno przed niedawnym jeszcze czasem ta gwiazda świeciła, jednak nic skamieniałego od żalu serca skruszyć nie zdołało. A wszelkie starania przyjaciół i biegłych lekarzy nie mogły przywrócić zdrowia, które żal z sobą unosił. Przyjaciele zaś widząc, że nad słowo pociechy żal głośniej przemawia, podali jej jedyne w tej mierze lekarstwo — samotność.

Cześnik Czerwonogrodzki, jako opiekun wdowy, i przepowiedzianego przy śmierci ojca, dziecięcia, był prawie nieustannym gościem, a raczej gospodarzem w zameczku. Na jego pieczy spoczęły zabiegi około domu i roli, a wszystkiemu sprostał ze zwykłą sobie gorliwością i w niczem zaufania nieodżałowanego przyjaciela nie zawiódł.

Co tam czuł w sercu dla niewiasty, której miłość była dość silną, ażeby go od dawnych przyjaciół i polityki, a może własnych przekonań odciągnąć.... przez tę pierś jakby z twardej stali ukutą, trudno dojrzeć było. Patrzył bowiem na ten skarb zmarłego, jak na łup świętą bronią przyjaźni na sobie zdobyty, jak na wykup dany niegdyś przeciwnikowi za życia—za to życie którego nigdy nie ważył, a teraz na usługi osieroco-

nych przez przyjaciela bez podziału poświęcał. Nie śmiał żywić i ani na chwilę zamarzyć o nadziei połączenia się z tą kobietą, za co przed rokiem jeszcze życiem szafować był gotów. Wolę zaś przyjaciela w tej mierze poczytywał za gorączkowe majaczenie konającego, o którego spełnienie nie tylko słowem, ale i myślą dopomnieć by się nie śmiał. Dobro własne na wolę Bożą i dobrych ludzi pozostawił, a przebywając z przyjacielskiej powinności w zameczku, ażeby nie stać się natrętnym jego pani w żalu pogrążonej, izdebkę sobie w czeladnej oficynie przysposobił, z panną Domicellą i z dworzanami zgasłego przyjaciela wspominał i opłakiwał. Wdowie wcale niebył natrętnym, a niekiedy wezwany stawił się i płakał z nią razem, słysząc to utyskiwanie.

— Biedny Łukasz opuścił mnie wierną żonę, to wdzięczne niemowlę, i was dobry panie Jacku najwierniejszego przyjaciela! —

Innym razem znów przeciągała doń białą a zimną rękę mówiąc:

— Nie dziękuję ci dobry Jacku za to, co dla wdowy i sieroty z zaparciem się samego siebie i własnego dobra czynisz, gdyż taką miłość bliźniego, zdoła tylko nagrodzić Ten, który nauką i przykładem wpoił w nas tę niezmierną cnotę.

Jacek podaną sobie prawicę ucałował, i to było największą nagrodą nieograniczonych jego poświęceń.

Tak od śmierci Subdelegata minęło pół roku na jego niegdy zameczku. Niemowlę wzrastało w siły, jakby te przez słabnącą matkę utracane nań się zlewały. Cześnik pilnował wszelkich spraw i gospodarstwa, a w chwilach wolnych żal swój po przyjacielu z Ciwunówną i dworzanami podzielał — kiedy nadchodził dzień przez zmarłego na otwarcie ostatniej woli przeznaczony.

Nie pomału zdziwiła się szczupła załoga zameczku, skoro jego pani ciężką dotąd niemocą do łoża boleści przykuta, na kilka dni przed onym terminem wstała na nogi. A chociaż blada i zmieniona, jednak przez jakąś nadnaturalną wolę, zdawała się dawne wdzięki i utraconą siłę odzyskiwać. Nie zaniedbała nawet strój wprawdzie wdowi, nie bez pewnej białogłowskiej zalotności przyodziać. Odzyskawszy zaś dawną właściwą sobie siłę i energię, krzątała się czynnie po domu, stosowne na przyjęcie licznych gości wydając rozkazy, które powolni i radzi dworzanie, spełniając gorliwie, w duchu zanosili dziękczynne modły do Nieba za cud nad ich drogą panią spełniony. Dom cały zdawał się odżywać; panna Domicella parę przestarzałych dykteryek odgrzawszy, dawno spędzony uśmiech na usta wywołała, i bieluchnemi jak śnieg szlarkami żałobny kornet zamieniła. A co pan Jacek nie posiadał się z radości; był pierwszym do spełnienia rozkazów, i młodocianą żywość odzyskał; a pytać głosem nie śmiejąc, co w chorej taką pożądaną zmianę

spowodowało, nieraz ją zdziwionym wzrokiem badał.

Wdowa, jakby pojmując to jego nieme wyrażenie podziwu, odpowiedziała:

— Dziwisz się dobry panie Jacku, że umarli z grobu powstają? — Nie to jest; niemocy mojej która mi do niedalekiego już połączenia z moim najdroższym małżonkiem towarzyszyć będzie, wcale nie pozbyłam, lecz przemogłam ją, albowiem mam dopełnić po raz ostatni świętego obowiązku gospodyni tego domu, który za życia swojego gospodarza gościnnością słynął. Po raz ostatni na ziemi mogę dać najdroższemu zmarłemu dowód posłuszeństwa przysiężonego mu przed Bogiem, przyjmując godnie tych gości, którzy na jego zaproszenie dla wysłuchania świętej dla mnie woli ostatniej dom niegdy jego nawiedzić raczą. On mój drogi zmarły zabrał istność moją ze sobą, a dziś swoim wielkim duchem to wątłe ciało ożywił.

Zasmucił się temi słowy poczciwy a przyjazny Cześnik, a niemógł im wiary nie dać, bo przyjrzawszy się jasnym oczom niewiasty, dostrzegł w nich więcej gorączkowego zapału i silnej woli, nie zaś tej młodzieńczej energii, która z nich kiedyś świeciła. Wszakże aby nie odbierać miłego złudzenia domownikom, w zacnem sercu i tę boleść razem z innemi troskami zagłębił.

Przygotowania wprawną i doświadczoną ręką prowadzone, szły właściwym torem, we wszyst-

kiem był wielki ład, nic nie było zapomniane i zaprawdę duch gospodarza patrząc z wysoka, radować się musiał, iż gościnność od przodków święcona, na jego spuściźnie nie wygasła. I kto pomyślał iż działo się to za sprawą sił ostatka gasnącej niewiasty? —

Nadchodził nakoniec ów termin, a przed nim na dni parę, ściągający goście i krewni Subdelegata nie mogli się nadziwić tak samemu przyjęciu, jako i uprzejmości młodej wdowy.

Spółdziałacze nieboszczyka niegdyś na arenie sejmikowej, nie mogli wyjść z podziwu i pozbyć tego złudzenia, iż to jest walny zjazd przed wielkim sejmikiem, i tylko poglądali na wsze strony, rychło li ukochany ich przewódca ukaże się.

Wszyscy dziwowali się pięknemu niemowlęciu, upatrywali w niem podobieństwo do ojca, do matki, to do obojga razem. To z postawy, to z jakiegoś ruchu pomyślne omena i prognostyki wyprowadzali. Nakoniec uprzejmością i sutym traktamentem zagrzani, zabaczywszy smutku i żalu, zdobyli dawną ochotę i szumno się stało, a nawet huczno, jak ongi za dni sejmikowych i nieopatrzono się, że tam kogoś brakowało.

Głosi przysłowie: że wojsko będzie bez jednego żołnierza — to prawda. Lecz już i temu nie zaprzeczycie, że i uczta siłą ochoty zagrzana, bez jednego biesiadnika obejdzie się.

Poczciwy pan Jacek wdowie w podjęciu gości gorliwie sekundując, nadrabiał miną i smutek swój

przygłuszał, a mimo frasunku w sercu tajonego animuszu dodawał i wszystko było honeste jak zacnemu domowi przynależy.

W wigilią dnia oznaczonego, Wojewoda i Wojewodzina z przystojnem otoczeniem zjechali.

I ze strony domu niczego, a ze strony łaskawych nikogo nie brakło.

VI.

Niepodobna powątpiewać, ażeby Nieświastowski, jako mąż rycerski i dobry chrześcianin, śmierci odważnie w oczy nie spojrzał, spisania woli ostatniej, mając czas po temu zaniechał, a z drugiej strony, jako biegły jurysta, żeby tej woli mocą prawa silnie nie poparł. Ta więc strona jego testamentu, najmniej na uwagę czytelnika zasługuje, i dla tego w krótkich ją zawrzemy słowach: sześciu córkom już wyposażonym meliorował wiano, a resztą, jako dorobkowym majątkiem, na rzecz małżonki rozporządzał, a za opiekuna dawał jej Cześnika Czerwonogrodzkiego. Wojewodę zaś Kijowskiego (jak się sam oryginał dokumentu wyrażał „pochodzącego z wysokiego i ponad wszystkie na ziemi zaszczytniejszego rodu, pod sławnemi skrzydły kilkunastu pokoleń którego, Nieświastowscy, mizerne pisklęta pierzyły się i lotu swojego słabego pod ich cieniem probowały etc...") na egzekutora testamentu uprosił.

Zakończymy krótko ze stroną prawną testamentu, która nie bacząc na czas mniej niż tygodnia ciężkiej choroby testatora, z pomocą jego przyjaciela pisarza ziemskiego Obucha Woszczatyńskiego, przy konserwacyi przyzwoitych form prawnych, niemal taki foliant zawierała, jak nasze dotąd opowiadanie. Zatem, chociaż ten ciekawy dokument mógłby się znaleźć pod ręką, jednak bacząc na cierpliwość czytelnika i tak już może nie szczędzoną, poczytuję za słuszne, pominąwszy prawne kodycile, przejść, że tak powiem, do duchowych, własną już drżącą ręką nieboszczyka skreślonych.

Idźmy porządkiem. Ponieważ w pierwszym paragrafie zmarły upraszał, ażeby przed odczytaniem dalszych, za jego grzeszną duszę w miejscowej kaplicy pomodlono się; Wojewoda zaś, jakby w przewidywaniu tego, lub może w poufnej przedśmiertnej z przyjacielem rozmowie o tej jego woli zawiadomiony — ażeby jej należycie wygodzić, i według swoich upodobań wszelkiej prozopopei dołożyć, nietylko przywiózł swoich ulubionych Bernardynów Krystynopolskich, lecz i swojego przyjaciela Jmć ks. Biskupa Kamienieckiego sprowadził. Dominikanie Latyczowscy dla uczczenia pamięci swojego niedoszłego professa także przybyli, i OO. Trynitarze z Brahiłowa, ażeby swojemu fundatorowi p. Wojewodzie wygodzić; ztąd nie brakło duchowieństwa, dla którego był to lusztyk i okazya obłowienia nielada; bowiem wów-

czas nie praktykowało się, ażeby wdowa frasobliwa, a do tego oprawna, starań około zbawienia duszy zmarłego małżonka zaniechała.

Kaplica zamkowa, staraniem wdowy, nie mniej Cześnika, w sutą żałobę obleczona i tysiącem świateł gorejąca, acz dość przestronna, jednak nie mogła pomieścić i połowy duchowieństwa, które tu intencyę swoją przyniosło; bo do tego i Jmć ks. Biskup nie mógł być bez assystencyi. Jako egzekwie pięknie się a solennie odbyły i powiadać nie ma potrzeby; znalazło się kilku mówców duchownych, a także i świeckich do rozpamiętywania cnót zmarłego, licznych zaś oczów do opłakania poniesionej straty nie brakło. Wojewoda krótką a rzewną przemową obchód ten żałobny zakonkludował. Nabożeństwo rozpoczęte prymaryą o godzinie siódmej z rana zaledwie konduktem około pierwszej zakończono, po czem w dużych salach i gdzie tylko można było stoły pod obfitą stypą uginały się; uprzejma zaś gospodyni, nie bacząc na rzewność i rozżalenie smutnem wspomnieniem wywołane, siłą woli odzyskała uprzejmość, i sama gościom swoim od pierwszego do ostatniego posługiwała, a z taką ochotą i gorliwością, iż nikogo z pod gościnnej opieki nie wyłączyła. Wszyscy zaś ztąd nie bez słuszności tuszyli iż Bóg w łasce swojej nad onym żalem ulitował się i łzy wdowie osuszył.

Po obiedzie, goście podochoceni rozproszyli się to tam to owdzie; stateczniejsi przy dzbanie dys-

putowali o materyach politycznych; gospodarze udali się na obejrzenie gospodarstwa, którego prowadzeniu przez wdowę i jej najbliższego opiekuna Cześnika dość wydziwić się nie mogli;—miłośnicy koni zajęli się oglądaniem pięknej stadniny, a każdy tam według ochoty i usposobienia rozrywkę znajdował; młodsi zaś kawalerowie, przy licznym fraucymerze Wojewodziny jej szukali — a żałobny poranek już zda się nikomu nie tkwił w pamięci.

Pod ten czas właśnie wdowa i rodzina zmarłego, pod prezydencyą egzekutora testamentu i opiekunów, zebrała się dla odczytania woli ostatniej Subdelegata, zawezwawszy do tego aktu co poważniejszych gości i biegłych prawników. Piękny to był skrypt ów testament, a do każdego ze sług słowo pożegnania, nie jednemu znów rada a zdrowa i zbawienna w jego sprawach; każdego zaś, najdrobniejszego pacholęcia nie wyjmując, hojnie obdarował. Nim zaś każdy wezwany swojego kodycylu ze łzami wdzięczności wysłuchał, zaledwie późnym wieczorem przy świecach przystępowano do odczytania ostatniego paragrafu, który do Cześnika był wystosowany i głosił co następuje:

„Do ciebie teraz zwracam jęk ostatni zbolałej duszy sercu mojemu najmilszy Jacku Kunecki!... Z przewinień, które przed niewyczerpane miłosierdzie Pana na sąd ostateczny poniosę, najcięższym grawaminem tłoczącym moje grzeszne su-

mienie, jest czyn względem ciebie, przez który ledwie żem ci nie podał okazyi do najcięższego grzechu mężobójstwa; a następnie omal nie przyprawiłem cię o śmierć męczeńską w ciemnych podziemiach; co zaś najboleśniejsza, iż skarb którego posiadanie już sobie zapewniłeś, wydarłem ci jako zbójca prawem mocniejszego. Owóż kiedy skon mój przybliża się grzech ten śmiertelny mam przed oczyma, i jakby smok o trzech paszczach ogniem ziejących pali stygnące moje wnętrzności. I chociaż ty mój najmilszy przyjacielu, poczynając sobie w duchu prawdziwie chrześciańskim, po bratersku, a wspaniałomyślnie krzywdy mi swoje odpuściłeś, wszelako nie bez obawy myślę, iż te, na sądzie ostatecznym szalę potępienia przeciążą. Lubo moje względem ciebie przewinienia, jako już smutnie dokonane, odwrócić się i zniszczyć nie dadzą, jednak pragnąc o ile w mocy ludzkiej złe powetować, zaklinam i błagam drogą małżonkę, a w chwili obecnej kiedy to czytać będą, naszą frasobliwą wdowę Salomeę Annę Dorotę trojga imion, urodzoną Korytkównę, córkę niegdy Wojskiego Słonimskiego, a mnie niżej na podpisie wyrażonemu na dniu 29 Septembris die festo dedicat S. Michaelis Archang. Anno Domini 1763 za dyspensą od powinowactwa córki chrzesnej, mocą stolicy Apostolskiej Jego Excelencyi Jmć Xiędza Biskupowi Kamienieckiemu Mikołajowi Dębowskiemu nadanej zaślubioną (o czem vidi fascic. III lit. M. pag. 7), ażeby taż małżonka na-

sza, już to bacząc na odkupienie win ciężkich moich i ulżenie grzesznej pokutującej duszy mojej, już to na dawny affekta, jaki słusznie żywić mogła do tak statecznego i ze wszech miar zacnego, a poszanowania godnego Jmć Pana Jacka Kuneckiego, któremu bez przyczynionych z mej strony gwałtów, już rękę oddać i dozgonny affekt zaprzysiądz była zdecydowana, ażeby tę imprezę, jeżeli wszakże Boża w tem i obojga wola, ponowili, a w terminie prawnym, jako dnia dzisiejszego da wam Bóg doczekać, nie chybiając w tem prawu, albowiem jak głosi statut W. Ks. Litewskiego, w rozdziale V, art. 13. „Chcemy mieć, aby małżeństwo święte w uczciwości było zachowane i dla wiadomości płodu ustawujemy, aby każda wdowa szlachcianka, po śmierci męża swego sześć miesięcy za drugiego męża nie śmiała iść, a która bliżej pójdzie, tedy miano swe od męża swego zapisane traci, a jeśliby wiana opisanego nie miała, tedy dzieciom pierwszego męża swego, a nie będzie li dzieci, tedy krewnym blizkim jego powinna będzie, gdy to na niej za pozwem do sądu ziemskiego dowiodą, winy zapłacić dwanaście rubli groszy" [1]). Nie przeto, abym miał ukochane córy moje w podejrzenie podawać, ażeby się na żonę ojca swojego z pozwami targnęły, boć one w bojaźni Bożej, a miłości rodzicielskiej chowane; aliści jako przez całe życie, tak i przy końcu one·

---

[1]) Rubel groszy wynosił złp. 30.

go, pragnąłem, ażeby we wszem i po wszę wieki, prawu krajowemu wszelki posłuch i poczciwość wyrządzano; dałby Bóg wszechmogący, aby dla pomyślności potomków naszych tak się praktykowało, i owoż na dzień expiracyi onego wdowiego terminu ut supra w przytoczonym artykule wskazanego i odczytanie tej mojej woli w łaskawych niegdy na mnie mizernego wielce miłościwych sobie uprosiłem".

„Nie mniej inne konsideracye, a być może własnych korzyści dotyczące, skłaniają mnie grzesznego do doradzenia onego związku pomiędzy wyż rzeczonemi: Owo jeżeli Bóg i Matka Jego Święta w wizyach, pobożnych predykcyach dały oczom moim bez grzesznego zaślepienia przyszłość przewidzieć i jakto jeszcze na obecnem łożu konania Bóg mnie nadzieją mężkiego potomka konsoluje, zatem chcę mieć, aby jemu skoro na świat przyjdzie, on dobry mój brat i przyjaciel Jacek Kunecki był drugim ojcem, i prowadził tą drogą cnoty i prawości, z której sam nigdy nie zboczył i niech mu będzie przykładem i głowę golić, w suknie długie odziewać..." Te wyrazy skreślone widocznie ręką odmawiającą posłuszeństwa, a dalej już prawie całkiem nieczytelne dodane wyrazy „...zaklinam, proszę w Imię Trójcy Przenajświętszej..." a jeszcze niewyraźniejszym podpisem zakończył [1]).

---

[1]) Odpis dosłowny z ówczesnego oryginału.

Ten wcale niespodziewany zwrot i zakończenie ostatniej woli Subdelegata, całej powagą prawa popartej, dziwne na przytomnych uczyniły wrażenie; sam Jmć Pan Pisarz Obuch Woszczatyński nieświadom tych ustępów testamentu, jako w tajemnicy własną ręką nieboszczyka kreślonych — chociaż od prawie pół wieka z urzędu pisarskiego, głosząc przed sądem Ziemskim zawiłe relacye, nigdy najmniejszej nuty w basowym donośnym głosie nie sfałszował, teraz czytał jąkając jakby zachrypł, to od czasu do czasu przecierał okulary, jakby wzrokowi niedowierzał. Skoro jednak powinności, której ani razu w życiu nie uchybił, dopełnił i według zwyczaju anneksa, co do formy prawnej własnemi argumentami poparłszy, zamilkł, i papier przed sobą położył.

Wszystkich przytomnych oczy zwróciły się kolejno to na wdowę, która, siedząc pomiędzy Wojewodą i Wojewodziną, od początku do końca ze czcią najgłębszą, i że tak powiem nabożeństwem, każde słowo ostatniej woli męża do serca kładła, na ten ostatni punkt nie zmieniając smutku i spokoju oblicza, powstała z miejsca, i zbliżając się do Cześnika, który oparty o ścianę, zdawał się z nią walczyć o białość twarzy, przemówiła głosem poważnym a solennym:

— Wola niegdy mojego Ojca i jedynego po Bogu opiekuna, a nakoniec małżonka, jest dla mnie we wszystkiem świętą i jeżeli tylko wy Wmość Panie Cześniku, bez przymusu zgodzić się na nią

możecie, ja z mej strony niezwłocznie wypełnić ją gotowam.

Po tych słowach przeciągnęła do Cześnika rękę białości marmuru, i jakby przez mistrza z najczystszej bryły wykowaną.

Wszakże Jacek zawsze drżący i blady stał nieruchomy, a chwyciwszy podaną rękę w swe silne dłonie, jakby niewiedząc co znią ma czynić, miasto do ust przycisnąć, pochylił się nad nią i skropił ją gorącemi łzami, których powstrzymać nie miał mocy. Wszyscy zadziwieni i pomieszani, napróżno przez długą chwilę oczekiwali rozwiązania tej niemej sceny, aż Wojewoda końca jej nieprzewidując, a chcąc tak widzów jako i aktorów z kłopotliwej pozycyi wybawić, ozwał się rubasznie.

— No, mości Cześniku, za taką rączkę, co najmniej na kolanach dziękować należy.

Poczem zgiął go do kolan wdowy, a następnie podnosząc zawsze jakby skamieniałego szepnął.

— Wstydź się wasze, Panie Jacku i wiedz, że kto chce być dobrym małżonkiem wprzód mężem hartownym być musi. Na głos zaś zwracając się do wdowy i gości dodał:

— Reszta w mocy Najwyższego i łasce Jmć Księdza Biskupa, którego nie wypuścimy, aż nam młodą parę wprzód zdyspensowawszy od zapowiedzi, połączy węzłem dozgonnym; albowiem jak mówi przysłowie ser tylko odkładany dobry; zwlekać tedy nie ma potrzeby. A teraz szanowna gos-

posiu czas by nas posilić, a naszemu miłemu lektorowi jmć panu Pisarzowi gardło odwilżyć, bo jak widzę osowiał z tej posuchy.

— Jw. państwo dozwolić mi raczą, że do wieczerzy, która ich oczekuje w gotowości, towarzyszyć im nie będę, bo jako niedyspensowana, czuję gwałtowną potrzebę wczasu. I waszmość panów szanownych również o to dozwolenie suplikuję; a zaś jmć pan Cześnik w usłużeniu łaskawym gościom wyręczyć mnie raczy.

Odezwała się wdowa do Wojewody i reszty towarzystwa, których Cześnik oprzytomniały już nieco, na wieczerzę prowadził; a kiedy przepuściwszy gości przed sobą sam się miał ku wyjściu, rzekła mu wdowa:

— Oczekuję was dziś jeszcze w tej komnacie, skoro już tam niczego brakować nie będzie i wymknąć się będziecie mogli; przybądźcie choć na chwilkę.

Tak to po wsze wieki bywało, ba i do naszych czasów dotrwało, że cudza bieda ludziom śmiech, i goście że tak ich nazwiemy, testamentowi nieboszczyka Subdelegata wcale nie źle czas przepędzali wpadając z niespodzianki w niespodziankę: bo to i celebra biskupia była rzadkością, dalej rozmaita zabawa, nakoniec testament, jakich dwóch nikomu w życiu napotkać się nie zdarzało, mocą którego nieboszczyk swatał swoją wdowę — a wszystko to przeplatane sutą ucztą i gęstymi kielichami, tak iż nie jeden podochocony szepnął do towarzysza:

— Ej bodaj to porządny nieboszczyk, nie prędko taki się nam zdarzy, co to mosanie i stypa i gody, przyjdzie tu z jakich parę niedziel lusztykować.

A skoro usłyszeli konkluzyę testamentu, zaraz jeden drugiemu szepnął:

— Oto mi mosanie poszedł pod ład wdowie, babom w to graj.

— Ej! dalibóg żebym był wiedział, że to się tak dobrze skończy, to jedną z moich córek byłbym wydał za nieboszczyka, bo jakkolwiek stary to już był dziad, ale wdowę oprawił co się nazywa i jeszcze jej statecznego męża wyszukał.

— Ba, gadaj co chcesz, a podwika zawsze podwiką — patrzaj ino jak tam się na gacha rzuciła; ej! nie daremnie on tu u niej gospodarował, musieli się zwąchać; i nareszcie któraż to z nich nie rada wdowi czepiec na ślubny wianek zmienić? — Tak tam czysto po ludzku na te nieprzewidziane wydarzenie poglądali ucztujący przy kielichu, obliczając przyszłe sperandy godów weselnych rychło przez Wojewodę przyobiecanych.

Tymczasem heroinę tej smutnej epopei po wyprawieniu gości na wieczerzę, dawna sztuczna siła w mgnieniu oka opuściła, gorączkowe rumieńce tak ją dotąd na pozór zdobiące, ustąpiły miejsca sinym plamom, cała twarz trupią bladością się oblała, i zaledwie sił jej starczyło dowlec się do sofy, na której na pół leżąc zdawała się być martwą i gdyby gwałtowny ruch piersi wezbra-

nych ciężkim chorobliwym oddechem o resztkach życia nie przeświadczał, niktby ją za żyjącą nie poczytał.

Cześnik tym czasem przewodzący uczcie, skoro dostrzegł że kielichy gęsto krążące nie potrzebowały już zachęty, zdawszy gospodarstwo na jednego z domowników na wezwanie wdowy pospieszył. Skoro ją ujrzał taką zmienioną, jaką od śmierci męża i w minionej chorobie nigdy nie była, cofnął się ode drzwi przerażony, jakby z zamiarem wezwania dla niej ratunku; co widząc niewiasta dała mu znak ręką ażeby się zbliżył, i obok siebie siedzenie wskazała; a wysilając resztki głosu ażeby być słyszaną, tak przemówiła:

— Mój dobry Jacku, nie zaprzeczycie mi, iż tak się tu dziwnie na tym padole nędzy splata, że jedni ludzie są jakby stworzeni dla przykrości i udręczenia drugich; ci zaś ostatni, ażeby im przebaczać i w poświęceniu dotrwać do końca: macie najlepszy przykład na mnie i moim nieodżałowanym małżonku, którzy staliśmy się dla was tylu cierpień i frasunków powodem; on zaś nieszczęsny w zaślepieniu swojem, lubo poczciwem, myśląc że wam jeszcze chodzi o to liche rzekome dobro, chciał przez wolę ostatnią narzucić wam ten szkielet i was dzielnego męża w sile wieku do takiego jak ja trupa przykować....

Cześnik rozrzewniony chciał przemówić; ona zaś dając mu znak ręką ażeby nie przerywał, dalej ciągnęła:

— Nię dziwcie się zatem, żem w obec zgromadzonych objawiła gotowość spełnienia woli mojego zmarłego małżonka, to jest moja święta powinność nietylko jako wdowy najlepszego z mężów, ale jako córki, albowiem był dla mnie więcej niż ojcem; on mi sierocie dał wychowanie, mienie i wszystko co dać może serce dobroczynnne i dusza szlachetna nie szukająo nagrody w próżności konsyderacyi światowej, ale w spełnieniu dobrego uczynku dla miłości Boga i bliźniego. Zważcie sami mości Cześniku, iż wola takiego dobroczyńcy i za grobem świętą być dla mnio powinna; wszakże upadające siły spełnić mi jej nie dozwalają.

To powiedziawszy przeciągnęła doń białą rękę, którą on gorącemi pocałunkami okrywał.

— Idźcie więc oświadczcie przytomnym, że mojej ręki nie przyjmujecie, niech nie oczekując godów weselnych, rozjadą się i dadzą mi spokojnie umierać. Wyznam wam szczerze, jako przyjacielowi, że mimo świętej cnoty gościnności, ten gwar nieustanny jest dla mnie do zbytku uciążliwym.

Nastąpiła chwila milczenia, którego żadne, pogrążone w własne zadumy, przerwać nie śmiało. Aż ocknęły ich dolatujące z izby biesiadnej głośne okrzyki:

— „Wiwat! za zdrowie oblubieńców, a da Bóg niebawem i nowożeńców Jacka i Salomei. Wiwat! wiwat!....

— Ja myślałam że moje imie już tylko w modlitwach za umarłych wspominanem będzie, i dla czegóż łączą je z waszem żywem; to może być dla was złą wróżbą. Idźcie mości Cześniku, powiedźcie co należy i wyprowadźcie tych krzykaczy z błędu.

A widząc że się Cześnik nie rusza, krzyki zaś nie ustają, dodała z łagodnością:

— Cóż nie idziecie waszmość?

— Nie, ja tego prawa zrzec się nie mam siły, wy raczej mnie odtrąćcie, od was wszystko przyjmę z pokorą i poddaniem. Mówił Cześnik powstawszy z pochyloną głową; a po pewnej walce z samym sobą z zapałem zawołał:

— Tak! mnie na to sił nie starczy, bowiem od kiedy was ujrzałem, ja was miłuję nadewszystko; wy dla mnie pierwsza po Bogu.

Ta mowa wywołała przygasłe rumieńce na twarz niewiasty, a zwracając wzrok pełen słodyczy na mówiącego ozwała się:

— Wasz affekt cenić umiem, i gdyby Bóg i wypadki nie rozrządziły moją ręką inaczej, byłabym wam wierną i powolną małżonką.....

— Przecie kochaliście Subdelegata — przerwał Cześnik nie bez utajonej myśli zelozyi.

— Jako ojca, a potem i małżonka; — bogobojna niewiasta chrześcianka nie zna żadnych miłostek, a jeżeli co w życiu umiłuje, to powinność i obowiązek..... Boleśno mi iż po raz drugi zawodzę wasze nadzieje i pragnienie waszego poczciwego

serca. Wyznam wam szczerze, gdybym mogła obudzić w sobie dawne siły, wrócić do zdrowia, nie wahałabym się wypełnić woli nieboszczyka małżonka, i z całą wiarą i zaufaniem, los mój i przyszłość w wasze szlachetne ręce powierzyłabym, a przez affekt i poświęcenie całego życia, starałabym się złe wam mimowolnie wyrządzone poprawić; atoli dziś, jednem czem dla was stać się mogę, to oblubienicą ducha, oddać wam nieograniczoną przyjaźń do zgonu, i ostatnie uderzenia gasnącego serca między was, a mojego jedynaka podzielić.

A powstając z siedzenia złożyła pocałunek na czole Cześnika i tak dalej mówiła:

— Mój dobry Jacku, najlepszy z ludzi, najwierniejszy z przyjaciół, czego mi dałeś niezbite dowody, oto są nasze zaręczyny duchowe, oto pocałunek oblubienicy na zakład wierności do grobu, a jako rękojmia, pozostanie ci syn mój, którego twojej zacnej opiece poruczam.

Cześnik pochwycił ręką za czoło na którem spoczął pocałunek wdowy, jakby go jakieś ognie paliły, i milczał.

Niewiasta zaś przerażona tem uporczywem milczeniem, zebrawszy sił ostatek prawiła:

-- Oddałam ci bez podziału moją duszę, ale cóż wam po ciele, na które już, jako na spodziewaną pastwę robactwo w grobie oczekuje?... Przy zdrowiu jak już powiedziałam, wasz affekt przyjęłabym, i dobrą chęcią nie wzgardziła; wola zaś

takiego dobroczyńcy, jakim był dla mnie zmarły i po za grobem świętą być powinna; was atoli nic nie wiąże, ażeby dobrowolnie w sile wieku przyszłość sobie zagradzać, i miasto miłośnych szeptów i uścisków oblubienicy, słuchać jęków konania, i Łazarzowy barłog boleści łożem małżeńskiem uczynić. Wyście człek mocny i w kwiecie lat, możecie przeto stworzyć szczęście własne, a przy niem godnej was białogłowy, macie z czego zapewnić byt rodziny, a z pożytkiem ją dla kraju wychować. Zaniechajcie zatem tych względem mnie zamiarów, i pozwólcie, że ręka umierającej przyjaciółki ze szczerego serca na te nowe drogi was pobłogosławi.

— Niech wam Bóg nagradza te dobre chęci, lecz dla mnie pod tym względem nie masz już innej przyszłości, albowiem przy pierwszem na was wejrzeniu, poprzysiągłem sobie w duszy, że żadnej innej prócz was dozgonnej miłości ślubować nie będę. Odparł Cześnik stanowczo.

— Nie łudźmy się jak dzieci; spojrzcie tylko na mnie, i powiedzcie sami do czego wam ten szkielet, chyba ażeby złożono mnie do grobu pod waszem imieniem? —

— Ha! w tem już wola Boga. Lecz kto jak ja jednę ambicyę, jedno pragnienie miał w życiu choćby na chwilę nazwać was słodkiem małżonki mianem, trzeba nie mieć litości, ażeby czarę zbliżoną do ust spragnionego gwałtownie odrywać — Przemówił Cześnik w głębokim smutku.

— Niech więc się dzieje wola Boga, mojego nieboszczyka Łukasza i twoja zacny przyjacielu, w którym jego bezradne sieroty znalazły ojca i opiekuna. I podała mu obie wychudłe białe ręce, które on z uniesieniem i uczuciem do ust przyciskał.

A ona jakby przez kaprys lampy gasnącej zajaśniała jeszcze całym blaskiem dawnego wdzięku i krasy; a wywoławszy uśmiech zalotny na schorzałe usta, z przymileniem zmówiła:

— Podaj mi ramię miły oblubieńcze, i zaprowadź do służebnych, sam zaś udaj się do gości, i ślub przyśpieszaj, jeżeli i na ten raz nie chcesz być zawiedzionym w swoich nadziejach.

Służebne oczekujące w antykamerze wzięły panią z rąk Cześnika, który do sali biesiadnej pośpieszył, a wdowa patrząc za odchodzącym modliła się w duchu:

— Dzięki ci Boże, moje biedne dziecię nie będzie sierotą.

Rozradowane oblicze Cześnika nad wszelkie wyrazy dla ucztujących wymowniejszem się stało, a o bliższe szczegóły nie pytając tłumnie go otoczono, wiwaty za pomyślny sukces posypały się i każdy po swojemu, a wszyscy hucznie i szumno ukontentowanie swoje okazywali.

Jmć X. Biskup na przełożenie Wojewody, chociaż nibyto gdzieś w pilnych sprawach spieszący, na dopełnienie aktu solennego zaślubin pozostać zgodził się — ba i nie dziw, bo w tych czasach

nie wiele miano Wojewodzie Kijowskiemu do odmówienia.

Sama Wojewodzina z dworem żeńskim zawczasu ucztę opuściła, a jako wielka znawczyni na wszelkiej spezie i ornamentacyi, sama przewodniczyła w przeistoczeniu świątyni żałobnej na weselną, a także przygotowaniu stosownych dla oblnbienicy strojów; i tak panów przy uczcie, białogłowy zaś przy pracy pierwszy kur zachwycił.

Pomimo wszakże pośpiechu, zaledwie na trzeci dzień przygotowania do godów stanęły: niedawno kirem żałoby obciągnięta kaplica, na raz gierlandami i wieńcami godowemi okryła się, a zdawała się być niemą tą samą, i na zmianę nie zwracać uwagi. Alboż to wam się zdaje i ludzie lepsi, a czulsi od kamieni — tylko do okazyi zastosują kłamliwe oblicza, i wedle potrzeby, to rozjaśnią je radością lub żalem skrzywią, a potem?... potem wyszydziwszy jedno i drugie, pójdą zakrzątnąć się około trosk własnego życia, otrą się o nowe wypadki i o dawnych zapomną; a świat się regularnie kręci na swojej osi, tych zrzuca do spodu, tamtych na wierzch wynosi, i rusza dalej a dalej, żartując z naszych zabiegów i wzajemnie odegrywanej wielkiej komedyi życia. Dawniejsi przynajmniej co do powierzchownych oznak, posiadali wyższość nad nami prościejszego ich okazywania. Co my dziś osięgamy przez krochmalenie halsztuków, naszywanie krepy, stary polonus czworakiem przewróceniem słuckiego pasa w jednej chwili dosięgał.

Owóż i przewrócili pasy na czerwono, biało, niebiesko, jak im do barwy sukni wypadało, a zachowawszy głęboko czarny kompartyment, zanurzyli w nim razem łzy i smutki, a przystojnie do godów stanęli.

Wdowa, luboć wszelkich starań do upiększenia jej i przystrojenia nie szczędziła Wojewodzina i jej fraucymer, i w rzeczy zdawała się wdzięk zeszłorocznej oblubienicy odzyskiwać, jednak zązsze poważna i godna, więcej poszanowania niźli admiracyi obudzała; a jeżeli pewien spokój na jej schorzałem obliczu dostrzegać się dawał, to nie trudno było odgadnąć, że ten był przez moc duszy i wysiłek zdobyty.

A gody, jak zazwyczaj gody były wesołe. Bo czyli kto jeszcze przy szumnej uczcie zapytał ile ona gospodarza kosztuje? — Czyli za progiem biesiadnym nie stoją wierzyciele,— a zpod marcypana nie przeziera suchar nędzy na przyszłość? — Tem mniej zapytają, co ci leży na duszy, byleś miał ręce hojne do zachęty, i usta otwarte do uśmiechu..... a potem?... gdy ci się noga powinie, przyjdą zapłakać z tobą, lecz sine qua non, jeżeli na wspaniałe łez otarcie starczyć ci będzie; bowiem świat miał na to zawsze dość rozumu, ażeby od nędzy wczas się odwrócić.

Cześnik, człek zacnej duszy, mimo że zadanie całego życia na onym ślubnym kobiercu zdobył, wszakże nie pysznięc się i nie dufając swoim zasługom, widział w tem wolę Bożą i losu zrządze-

nie; silne zaś i bez tego barki do dźwigania nowych ciężarów sposobiąc, a niespodzianem tem szczęściem nie zaślepiony, mężnego ducha do walki z nowem przeciwieństwem umacniał. A w sercach oblubieńców było błogo nie przez onę miłość namiętną i przewidywanie rozkoszy, lecz przez wspólne wzmaganie sił do podźwignienia ciężaru życia. Oblubieniec zaiste był mężem wielkiego hartu, na którym osłabłe ramię oblubienicy wesprzeć się mogło.

Opisanie ówczesnych godów jest to przejście od kielicha do kielicha, od huczka do burdy, a do niewczesnych czasem wybryków i facecyek, które autorowie powieści tak wistocie jako i zmyśleniu, zanadto przebrali — a wrzeczy iż się niema czem lubować i co wspominać, nie zatrzymamy się na tym opisie.

Owóż jak dziś, nie bacząc na poetyczną stronę, i pewne charakterystyczne znaczenie dawnych obrzędów i zwyczajów, gwoli modzie zagranicznej zarzuciliśmy je, a niemal pogardzili niemi; atoli w onych czasach niczego z obrzędu, zwyczaju, nawet przesądu i prognostyku, przy ważniejszych aktach rodzinnych nie zaniechano.

Ztąd i Wojewodzina, z powagi rej na onych godach wiodąca, nie bacząc na stan zdrowia oblubienicy, przybytek małżeński nowożeńców z możliwym przepychem przystroiła i mimo że Cześnik powściągliwy i delikatny małżonek, praw się swoich nie domagał, lecz dla zadość uczynienia zwyczajowi, wejść tam był przynaglony.

Skoro sami nowożeńce pozostali, biedna przed chwilą wdowa przez gęste łzy rzekła:

— O! mój drogi małżonku, człeku iście wielkiej duszy i niezmiernego poświęcenia, nawet nie mam tyle siły, ażeby przez uścisk gorący całą ci miłość moję wyrazić i miasto do łoża małżeńskiego, wstępujesz do kostnicy, a zamiast rozmiłowanej małżonki, masz przed sobą nędznego kościotrupa.

I łzami się zalała nieszczęsna chora.

Na ten czas Cześnik wziąwszy dziecię z kolebki, a tuląc je do mężnej piersi, w zapale zawołał:

— Oto jest święty łącznik niewinny, na który wszelkie miłośne zapały przelejemy. Śpij spokojna, ja czuwam nad wami.

— O! tyś mąż wielkiej duszy, i widzę żem znalazła w tobie więcej niż małżonka, bo anioła stróża słabej niewiasty i niemowlęcia. O! teraz Boże daj mi życie silne a długie o tyle, o ile dług niezmierzonej dobroci dałeś mi do spłacenia.

A chwyciwszy rękę małżonka wpiła się w nią długim pocałunkiem.

Cześnik tulił jej głowę do gorącej piersi, lecz po czasie obawiając się fatalnych skutków wysilenia dla chorej, próbował złożyć ją z lekka na poduszkach, wszakże głowa widocznie stygła, usta się konwulsyjnie wpiły w rękę, tak iż sam temu zaradzić nie mogąc, z miejsca zawołał na służebne, a gdy te wbiegły, zaraz i cudzoziemca, nadwornngo doktora Wojewody sprowadzono.

Ucztujący zasię biesiadnicy na alarm się zbiegli, i pokazało się iż pierwsza noc weselna była dla oblubienicy ostatnią.

Dziwno, a lepiej powiem straszno nie raz splecie się w życiu i w przeciągu dni paru egzekwije i gody, to znów niedopita i niedojedzona uczta weselna i trup na łożu małżeńskiem.... wszystko to zda się na razie trwogą przejmować, i najoziębłejszego sceptyka wprawia w zadumę. Lecz ten światek, to jak dobry kamień młyński co nań nasypiesz to zmiele.

Zasumowali się godownicy, wiele sobie zabawy rokujący, bo to bywało uczta weselna przy dodaniu ochoty trwała czasem i niedziel kilka, a przy prezencyi duchowieństwa, pogrzeb się prędko odprawić gotów.

— Powiadam waszeci, ozwał się jakiś ze smakoszów do towarzysza — żeby choć nieboszczka pożyła, póki tego tokaju w pękatych gąsiorach starczyło, a na stypę gotowi go nie podać, bo to wino purum weselne.

Każdy tam żałował w duszy wedle usposobienia, wszakże na łzach i oznakach powierzchownych nie brakło, i zaledwie krótki odpoczynek dostał się kompartymentowi pasów żałobnych.

Cześnik świeży wdowiec, stał acz bolejący, ale czynny i nieporuszony przy swoim obowiązku. A jako żalu głębokiego na zewnątrz nie podawał, tak i pociechy ztamtąd nie szukał; raz tylko patrząc na skrzepłe usta żony, których zda się po-

całunek ostatni zastygł mu na ręku, odparł zimno jakiemuś nie proszonemu pocieszycielowi:

— Mam czego chciałem, jak mi te drogie usta przepowiedziały: — „ażeby skarb ten złożono do grobu pod mojem imieniem."

Tu wprawdzie popsuły się szyki oczekujących na miejscu wspaniałego pogrzebu, bowiem Cześnik zwierzywszy czasowo opiekę nad dzieckiem jmć pannie Domicelli, ciało młodej żony jako swojej familiantki do rodzinnego grobu Kuneckich do Kormilcza prowadził; na ten zaś smutny obrzęd kilku tylko z poufalszych zaprosił; i Wojewoda jako swojej niegdy aliantce, towarzyszyć przy ostatniej posłudze ofiarował się. Reszta radzi nie radzi rozproszyli się szukać nowej okazyi, wesołej czy smutnej, byle okazyi. Mury tylko kaplicy na czasowe zwłok przyjęcie, z nieudaną obojętnością na nowo w żałobę przystroiły się—bo kamieniom wyższość nad ludźmi przypisać można, iż przynajmniej nic nie udają.

Cześnik oddawszy ostatnią posługę ukochanym szczątkom, powrócił na zamek Nieświastowskiego, i znów z mężnym duchem i niezłomną wolą, stanął pomiędzy dwoma obowiązkami, kołyską osieroconego niemowlęcia które za swoje uważał, i staraniem o jego mienie.

VII.

Przeszło lat sto temu, w niedostępnych borach litewskich, nieprzetrzebionych jeszcze postępową siekierą, a dla tego stanowiących odnogę Białowiezkiej puszczy, w ówczesnem Województwie Brzesko Litewskiem, pomiędzy Kobryniem a Dywinem, na polanie piasczystej, błotnistej, do koła gęstym i nietkniętym borem zewsząd osłonionej, zabłąkała się Litewska wioszczyna cicha a spokojna dla każdego co w niej się zrodził, a bezwątpienia smutna i ponura dla mieszkańca równin, dolin lub gór rozkosznych, który by tam zabłądził.

Jedna drożyna w głębokim i wilgotnym piasku wyżłobiona, wiła się pomiędzy pniaki, ba i zarośla, a posiadając koleje wyryte i przez czas utrwalone na miarę małych teleżek, przedstawiała pewnego rodzaju niebezpieczeństwo dla obszerniejszych lub zbytkowniejszych powozów. Środek zaś między kolejami, czworgiem nóg jednego konia w wilgotnym piasku utrwalony, nasuwał problema matematyczne do rozwiązania: jakby na tej wąz-

kiej przestrzeni parę bydląt pomieścić? — Że zaś nad tem zadaniem żaden dotąd Newton nie zastanawiał się, zatem jeżeli kiedy skromnym mieszkańcom wioski zamarzyło się o próżności lub paradzie zasadzającej się na przyczepieniu niezwykłej ilości bydła do jednego wozu, czynili to, koń przed koń, czyli jak po miejscowemu z prosta *szydłem* zwano. Tak też tam należało czynić każdemu, począwszy od Bernardyńskiego kwestarza, który rok rocznie do miłosierdzia dziedzica wioski kołatał, aż nawet do samego Wojewody, jeżeli go dyplomacya w progi szlacheckie zapędziła.

Że jako dnia nie bywa bez słońca, tak zaprawdę, wioski bez karczmy, a karczmy bez nieodzownego w niej żyda arendarza wówczas nie bywało; owóż to jedna z tych tradycyi, którą do dni naszych z pieczołowitością prawdziwie rodzicielską zachowaliśmy. A jeszcze znający nasze wioski i temu nie zaprzeczy, że z której strony do nich nie zawitasz, zawsze ci karczma na drodze; czyli zaś takowa stoi na początku, końcu lub środku wioski, zadanie trudne do rozwiązania; lecz to jest pewnikiem, iż z każdej strony stanie ci w poprzek drogi, i rad nie rad, jeżeli już nie zawadzić, to przynajmniej otrzeć się o nią musisz. Karczma tutejsza choć dość długa i szeroka, lecz w stosunku do powierzchni ziemi, przedstawiała zygzaki, jakieby tylko wąż olbrzymi w dziwne wijąc się koła i pierścienie mógł utworzyć. Z jednej strony wzdłuż widziałeś dach wysoki z szeroką bramą zajezdną,

nad której facyatą domorosły kunszt snycerski wyobrażenie jakichś przedpotowych bestyj wyrzeźbił; tuż obok dach się zniżał, i z zuchwałą spadzistością prawie kładł się na ziemię, ażeby o parę kroków dalej znów niemal pod niebo wystrzelić, a tak dalej idąc fantastycznemi zwojami, przy jednym koniuszku znów się z ziemią zrównywał, i od niej na jakie łokci cztery odskoczywszy, zdawał się stać już twardo i w równej mierze; w tym rogu już przedstawiał coś do mieszkania ludzkiego, albo jaśniej mówiąc do karczmy podobnego. Cztery okienka dowolnego kształtu z kawałków szkła złożone bez ram symetrycznych, którym czas i zmiany pogody kolory brudnotenczowe nadały, sterczały nad powierzchnią o całe parę łokci. Po środku drzwi walczące o wydobycie się z pochłaniającego je piasku i błota, gościnnie otwierały się dla przybyszów, chociaż bez uprzedniego pochylenia nikt ich nie przekraczał; a po doświadczonej wewnątrz gościnności, na czworakach do światła dziennego trzeba się było dostawać. Wszakże wchodził i wychodził tędy lud Boży, i dostawał czego potrzebował, a dość na tem, iż wielki skutek bywał osiągnięty, więc nad przyczynami zastanawiać się nie warto. Że zaś wspaniała niegdyś karczma była nieco podrujnowana, dziwić się niema czemu, skoro i sławną Palmirę ząb czasu nadgryzł tak niemiłosiernie! —

Żyd arędarz — ab uno disce omnes — tenże rudy Lejbka czy Mosiek, osiadły tam z dziada pradziada,

piastujący arendarską godność po przodkach, jakby prawem dziedzicznem, a sam przez się nie myślący o nieznanych w one patryarchalne czasy akcyach kolei żelaznych, o wekslach na Berlin i Hamburg i o tem podobnych marnościach świata tego, a na wzór dzielnych praojców w cichości ducha i pokorze wodą z wiejskiego źródła rozpuszczał wódkę z tej samej gorzelni, a o tytułach bankiera i negocyanta nie marząc, pojął Surę z drugiej podobnej karczmy sąsiedniego zaścianka, mnożył potomstwo na pożytek propinacyi, chwalił Boga boruchami i majufesem, ludek Boży rozpajał, i dobrze mu z tem było.

Owóż dzisiejszy Lejbko XII (gdyż tylu ich liczyła dynastya miejscowych arendarzy) w załojonej tak zwanej *cycełe*, formę ornatu posiadającej, z nieodstępnemi przy niej sznurkami, stanowiącemi amulet wschodni, lub włoską *gettatura* od wszelakich czarów i uroków, mając na głowie jarmułkę, która nie była podobna do jakiej bądź tkaniny, ale przez czas i używanie tłustą massę pzzedstawiająca, prędzej oblepiała niż okrywała jego rude włosy — teraz mając przy boku wierną swoję Surę nakształt Penelopy tkającej odwieczne niebieskie pończochy, a przy nogach sporą kupkę brudnych bachurów w piasku i błocie tarzających się, zasiadł na zydlu trójnogim o mur opartym, i wygrzewal się na słońcu. Ów zaś wczas pożądany jest mu wybaczonym, gdyż w tej chwili obecnej czynnym być nie mógł, albowiem cała pijąca

osada wioski, jako w dzień letni roboczy w pole pociągnęła.

Siedząc tedy i wygrzewając się, poglądał bacznie na jedyną piaszczystą drogę, śledząc czyli jaki maruder z pola na wódeczkę nie wykradnie się, bo co o dalszym gościu w tej głuszy, i marzyć było niepodobna. Naraz przykrywszy oczy dłonią, pilniej coś śledził w dali, to smokał radośnie, to w różne strony głowę przechylał, a nawet improwizowaną z kułaka perspektywą niepewnemu wzrokowi dopomagał, a nakoniec, jakby w tem śledzeniu doszedł do jakiegoś wniosku, zawołał śpiesznie a wesoło:

— Herste du Sure, gey gicher mit a kinder zamiete izbe, bring fon piwnices gugiel mit a świeże szliodkies, geht chorongiew mit a pan towarzysz.

Zaledwie Lejbkowa i parę starszych dzieci miały czas pośpieszyć na spełnienie rozkazu propinacyjnego władcy, kiedy ten nie przestając się wpatrywać na drogę, nagle pobladł, drżeć począł, a chwytając czarną massę pokrywający jego rudziznę, głosem zrozpaczonym zawołał:

— Gewalt! rozbijnykes, a werbunek!... Sure! gay mit a bachures tif im puszcze und blejb sztyl, ich werde kommen.

Nie mniej wystraszona Sura i bachury podążyły z matką, Lejbka zaś wleciał jak bomba do pierwszej izby służącej za wyszynk. Izba ta z wijącym się w zygzaki pułapem, jako i dach same

karczmy, a której zakopcenia i brudu opisać by trudno, za cały sprzęt miała pod ścianami wązkie, przez brud i czas poczernione ławy, i takież stoły, po środku wisiał świecznik żydowski z grubego mosiądzu o kilku ramionach; w jednym zaś rogu na wyniesieniu w kształcie kazalnicy, ogrodzona kratami niewielka przestrzeń na klucz zamykana mieściła beczkę z trunkiem, tudzież szklanne i proste blaszane naczynia i inne podręczne rupiecie szynkarza.

Kiedy wierna Sura, zbierając bachury gotowała się z nimi do ucieczki, Lejba drżącą ręką otworzył swój gorzałczany przybytek; a wiadomym tylko sobie szczególnym sposobem podjął w nim kilka desek stanowiących podłogę, i przez ten otwór w odkrytą dość głęboką jamę z gorączkowym pośpiechem tak wszelkie trunki, jak i inne szynkowniane przybory opuszczając, krzątał się jak mógł najśpieszniej, bowiem po należytem zachowaniu wszelkich ruchomości, zamierzał przez tę jamę, mający otwór drugi w odległej puszczy, z żoną i bachurami się połączyć, a śpieszyć się należało, bowiem już znany śpiew werbowników coraz ku karczmie przybliżał się:

„Przystań, przystań do werbunku,
Będziesz jadał tłustu kurku,
Schab z kapustą, z miodem kluski,
Szejn to służba u Król Pruski!
Wdziewał będziesz mundur suty,
Echt juchtowe *mit glanz* buty

I łosiowe *richtig* pludry,
A w *haarbeutel* chował kudły.
Będzie z ciebie *ganz* kawaler;
Co dnia w sakwę bity talar,
Lenung bargield laffa stała
W gardle wino i gorzała.
A gdy zsypiesz pełne wory,
I wzmożesz się na amory,
Czy mężatka czy to panna
Każda pokocha *landsmana!*
Naszego kula nie biera,
Ni raniony ni umiera
A po wojnie pan Generał
I Starosta w cztery wioski
Wiwat! Fryderyk nasz Król Pruski!"

Dość było już tej pieśni dla dokładnego poznania co zacz ta wojskowa kompania, której bliżej się przypatrzmy. Był to oddzialik złożony z piętnastu ludzi siako tako umundurowanych; na czele, w charakterze komendanta, kroczył, przekiwując się z nogi na nogę dla większej powagi czem sobie zda się animuszu dodawał, miernego wzrostu, w sile wieku mężczyzna; jakkolwiek jęgo pozór i strój były wojskowe, atoli zawiódłby się ten srodze, ktoby chciał z jego powierzchowności i odzieży odgadnąć do jakiej broni należał: głowę pokrywał mu zwykły ówczesny trójgraniasty niemiecki wojskowy kapelusz z galonem, a choć formy płaskiej, lecz tak napiętrzony, plumażami, kokardami i t. p. rupieciem, iż wysokością swoją niemal podwójną długość głowy przenosił; miał na sobie frak zwykłego pruskiego kroju, z długiemi i sze-

rokiemi połami, lecz barwy jego rozróżnić było niepodobna, tak go bowiem różne wstęgi, ozdoby, ordery, blaszki i szkiełka ze wszech stron zasypały, na prawem ramieniu miał szlifę wyższego stopnia z sutą fręzlą dobrze podszarzaną, nakoniec spodnie łosiowe obcisłe, a po wierzchu długie buty z palonej skóry, ze sutym kutasem i sążnistemi ostrogami.

Wszakże jeżeli czego mu brakowało do stroju, wszystko to powetował sierdzistem uzbrojeniem, a tak obfitem, iż dziwić się należało, jak jeden człek mógł udźwignąć na sobie taki arsenał; za nim wlókł się miecz szeroki a długi, który na wzrost możeby mu dorównał; prócz tego miał dragoński kordeląsik u boku i kinżał za pasem, obok dwu par ogromnych pistoletów; przez plecy róg duży myśliwski, a w ręku karabin dość spory. Mimo tego rycerskiego uwiuczenia, stąpał dość raźnie podskakując i on tu prym w wykonaniu onego marszu trzymał, przy dziwnym wtórze postępujących za nim czterech muzykantów z instrumentami nieco hałaśliwemi do głosu ludzkiego, bo bęben, tryangiel, żele i tamburyno z dzwoneczkami; prawda że była to walka zacięta muzykantów i śpiewaków starających zagłuszyć się wzajemnie.

Reszta kompaniii nie posiadała pięknej prezencyi komendanta; bo chociaż każdy uzbrojony był jaką taką rusznicą. Strój gemejnów także niby wojskowy ze zbyt zbieranej drużyny składał się,

gdyż nie tylko ze starych mundurów różnej barwy i krojów, lecz niektórzy z nich mieli czerwone rękawy przy niebieskim fraku, jedną nogawicę u spodni odmiennego koloru od drugiej; ten w butach nie zawsze całych, inny w jednym bucie a drugim trzewiku, lub w łapciach na miejscowych mieszkańcach zdobytych. Do tego stroju każdy prawie miał czapkę chłopską lub głowę płachtą związywał, gdyż kapeluszy z galonem udzielili innej komendzie, która otoczona przez nich razem postępowała, byli to zwerbowani lub pochwytani po drodze poborcy, a w liczbie tych najdowali się wyrostkowie, bodaj i dzieci; szło to tałałajstwo obdarte, bose, a odurzone trunkiem wykrzykując lub tarzając się; a jeżeli który przetrzeźwiał się, zaraz mu żołdak do ust manierkę z gorzałą przytykał i upadającą fantazyę podtrzymywał.

Owóż działo się to podczas siedmioletniej wojny; a byli to werbownicy Fryderyka Pruskiego, a ten chociaż Augustowi III, jako elektorowi Saskiemu nie raz dał się we znaki, jednak przez to w Polsce bezkarnie wojsko werbował, i nikt mu nie przeszkadzał, pomimo że dawniejsze konstytucye sejmowe zastrzegały, iż „*werbarze wywodzić się mają, że są w służbie Rzeczypospolitej, i kto nie ma listu przepowiednego, temu nie godzi się werbować.*" Atoli Polska stała wtedy otworem, jakby karczma zajezdna, gdzie każdy kto tylko chciał, plondrował; snuli się zatem werbownicy pruscy, a co gorsza nie jednokrotnie nadużyć i gwałtów do-

puszczali; albowiem nie poprzestając na samych ochotnikach, a tych w rzeczy nie wielu się znajdowało, i na upajanych wódką, zabierali gwałtem jakby w jassyr, i to nie tylko chłopów ale i szlachtę; napadali na domy, i jeżeli któren nie mógł się obronić, to go uprawadzano. Nie poprzestając na tem, zabierali niewiasty i dzieci i okup za nie wyznaczali, albowiem jurgieltu własnego nie mając, żyli rabunkiem, więc co po drodze zdobyć mogli, przywłaszczali. Do tego zaś już zuchwalstwa doszli, że sobie w niektórych miejscach kraju główne kwatery założywszy, ztamtąd bezpiecznie na plądrowanie po kraju rozsyłali oddziały. Nie napróżno zatem biedny arendarz wystraszył się i żonę z bachurami wyprawiwszy, swoją mizeryę ukryć się starał.

Wszakże pan komendant w ciemię nie bity, a znający wybiegi żydowskie, przeczuwając iż tam się obłowić może, na taki się fortel zdobył: rozkazał marsz zwolnić, i jak można najgłośniej śpiewać i bić w one krzykliwe instrumenta, ażeby w pewnem oddaleniu dawać się słyszeć; dwóm zaś ze swoich ludzi kazał z przełaju skoczyć i na karczmę niespodzianie napaść.

Już biedny Lejbka osunąwszy w jamę wszystkie swoje dostatki, sam się za niemi wybierał, i tylko co miał ślad tajemniczo zasunąć, aż tu dwaj werbownicy, zakradłszy się cicho, za pejsy wystające nad powierzchnią biednego Lejbkę na zewnątrz wyciągnęli.

— A du ferfluchter Jude! Ty się chowasz przed królewskimi werbownikami.

I dalejże obumarłego ze strachu żyda razami okładać. Wszakże nadciągnął na to komendant z resztą kompanii, a wyswobodziwszy żyda od gemejnów, przemówił zepsutą polszczyzną:

— No żydzie, wojsko pruskie Jego Królewskiej Mości, robi ci zaszczyt halmakować u ciebie, spodziewam się że dasz nam szczodry traktament. No żywo!

Żyd przez łaskawe usposobienie komendanta nieco z przestrachu oprzytomniał, a kłaniając się do ziemi zdjętą jarmułką, bełkotał:

— Łaskawa panowie chorągiew, ulitujcie się nad biednym żydkiem, ja sam od dwa dni nic nie jadłem, od kiedy moja Sura z bachurami pojechała na targ do Pińska — co ja jegomościom dam?....

— Czy tylko pewno nic nie masz? pytał komendant.

— Pod *chejrem*, *auf meine munes*, przysięgał się żyd.

— Ha! skoro nic nie masz, to ciebie zjemy. Ano chłopcy, naprzód trzeba zastrzelić zwierzynę ażeby skruszała, zawołał komendant, a na znak dany przez niego, gemajny uwiązali żyda do jednego ze słupów, pułap walącej się karczemki podtrzymujących; sami zaś, uformowani w szereg, podnieśli do góry rusznice, i niby oczekiwali komendy. Gdyby biedny żydek wiedział o niewin-

ności tej nienabitej broni, zapewne nie omdlałby tak ze strachu, iż był prawie martwy.

Komendant korzystając z tego położenia, na pół uśmiechnięty, bo w potrzebie bywał facetus, komenderował:

— Ein, zwei....

— Aj! gewalt! wielmożna chorągiew proszę na poczęstowanie—wołał żyd ledwie żywy, a odwiązany od słupa, spuścił się do kryjówki pod konwojem dwóch gemajnów, i ztamtąd czem Bóg dał z przymusowym uśmiechem, wielmożną chorągiew częstował, a czego nie dobył to i sami wzięli.

VIII.

Dworek dziedzica, czy pono zastawnika tego folwarku, chociaż od karczmy i wioski niezbyt odległy, ale że gęsty las przed niemi go ukrywał, dotąd o wkroczeniu tej siły zbrojnej nic nie wiedział. Obszerna polana pomiędzy dwu borami, wysokim mocnym częstokołem otoczona, siedzibę gospodarza wioski stanowiła; u bramy wysokiej nakowanej gwoździami, na dwu obszernych pniach, dwa stare swojskie niedźwiedzie siedziały poważne a nieruchome, i gdyby od czasu do czasu nie mruczały, wziąść by je można za dwa kamienne posągi. Zagroda to była obszerna, tak iż począwszy od skromnego a nizkiego dworku pańskiego, do najdrobniejszego gospodarskiego budynku, wszystko się w niej wygodnie zmieszczało: miałeś tam gumna ze stodołami, wozownie, stajnie, psiarnie, obory, chlewy, lamusy, składy rozmaite, a nawet małą gorzelnię i browarek, słowem wszystko co na dostatni dworek szlachecki przystało; o chwale też Bożej nie zapomniano, bowiem po

środku podwórza otoczona pięknym wirydarzykiem z krzewów i kwiatów starannie utrzymanych, ukrywała się gustownie zbudowana jakby cacko, modrzewiowa kapliczka, a na jej wierzchołku krzyż żelazny, przy sygnaturce, a nad drzwiami obraz karmiącej Matki Boskiej na blasze wymalowany. Obejście to jak na szlachecką zagrodę było dość rozległe, tak iż chcący się wglądnąć jako tako we wszystkie szczegóły, nie wiem czy i za parę godzin by je zlustrował.

Był tam ruch nie mały, bo ludzie zewsząd tędy i owędy krzątali się, jednak że każdy pracą zajęty, gwaru wcaleś nie usłyszał, a nikt tam głosu nie śmiał podnieść, bo rygor i posłuch, że tak się wyrażę, wisiał nad całym domem.

Sam dworek tak był cichy, iż zdawał się żyjących ludzi w sobie nie mieścić. Od ganku na czterech słupkach, tego niezbędnego ornamentu i przybytku wytchnienia dworków szlacheckich, duża sień do wnętrza prowadziła, z której po bokach na obie strony rozchodziły się rozmaite komnaty; drzwi zaś środkowe prowadziły do tak zwanej pańskiej kamery; była to izba dość obszerna o trzech oknach z widokiem na ogród; — sprzęty jej proste składały się z zedlów i sofek cycem pokrytych ustawionych pod ścianą wapnem wybieloną; którą zdobiło kilka świętych obrazów, a między niemi to ziele święcone, palmy, gromnice i inne świętoście, pamiątki pobożności lat wielu; — dalej wisiały duże klucze, to jakieś miary

gospodar wie, ówdzie wianki z obżynek i tp. przedmioty, wieśniaka gospodarza zdradzające. W oknach, między doniczkami kwiatów, mieściła się siła klatek z swojskimi ptakami, a tak różnorodnego zbioru i u ptasznika byś nie znalazł. Był tam kos żółtodzióby śpiewak melodyjny, szpaczek wesoły, gil świstak krzykliwy, przepiórka „pójdźcie żąć” wzywająca, szczygiełek krotofilny, chruściel vulgo derkacz, grzechotkę stróża nocnego udający, zabawna dzierlatka, czyżyk wesolutki i t. d. czego tam nie było, cała ornitologia, a wszystkiego po parze, bo gospodarz więzić nie chciał pojedyńczo, a zresztą i ten systemat amerykański osamotnienia jeszcze nie był znanym. Te ptaki co się w domu wylęgły już i do ręki chodziły, i zawołane po nazwisku jakby człowiek stawiły się. Wszystkie jednak tak znały mores, że póki pan nie dyspensował, silencium obserwowały jakby w klauzurze klasztornej; — a kiedy pan gwizdnął na jednego, drugiego, toż dopiero piękny chór leśny rozpoczynał się.

Pomiędzy dwoma oknami rozciągał się stół długi, cały księgami i regestrami założony; przy nim, na drewnianym prostym stołku, siedział mąż barczysty, dobrej tuszy, rumianej twarzy, głowę miał ówczesnym obyczajem podgoloną a przykrytą mycką granatową z żółtym kwastem z pod której gęste siwe włosy dobywały się; odziany był w kapotę z domowego drylichu, i pasem rzemiennym z klamrą opasany, na nogach miał buty czarne

jałowicze, zwykle przez gospodarzy używane; był zatopiony w zmudnem zajęciu rachunkami, co mu snać nie przypadało do smaku, bowiem gdy mu coś tam nie wypadało, miasto śledzić i dochodzić jak przystało na rachmistrza z cierpliwością matematyczną, on, to pióro rozerwał, to z całej siły kułakiem w stół uderzył, a za każdym razem zadrżała niewiasta w drugim końcu siedząca.

Niewiasta ta z samej powierzchowności przedstawiała typ, śmiało powiemy już dziś zaginiony kobiet dawnych szlacheckich, czerpiących siłę życia i zachowania do późna wdziękow młodości w nieustannej pracy i nieprzerwanem poświęceniu obowiązkom,—bo choć już czwarty krzyżyk kończyła, na twarzy jaśniała świeżość wiosny życia, wszakże na ten raz wyjątkowo bez młodzieńczego rumieńca, atoli znać było iż ten nie zagasł jeszcze, a tylko przed jakimś chwilowym smutkiem ustąpił. Połysk oczu choć nie wyzywający i nie namiętny, ale dobrocią i poddaniem się wyższej woli natchniony, mógłby służyć za wzór dla świętego obrazu. Włosy barwy hebanu miękkie i fałdziste, białym jak śnieg kornetem ucisnąć się nie dawały i to na czoło, to na roskoszne ramiona w fantastycznych zwojach spadały. Kibić i cała jej postawa silna i atletyczaa można powiedzieć, nie znamionowała otyłości przez eleganckie panie na edredonach i spężynowych kanapach przy próżnowaniu zdobytej, a raczej muskularność i siłę nieustanną pracą rozwiniętą. Ta niewiasta,

z utkwionemi oczyma w niecierpliwego rachmistrza, siedząc w kąciku u przeciwległej ściany, była zajęta zwijaniem nici w kłębek z dużego motka, który stojąca przed nią staruszka służebna, na dwu wzniesionych do góry rękach trzymała, pochylając je to wznosząc w miarę potrzeby. Wszakże obie nie zwracały całej uwagi na tę robotę, machinalnie i z biegłą wprawą ją odbywając — a zda się jakby ważniejszem dla nich było zajęciem, duża księga in quarto, z klamrami srebrnemi, na małym stoliku tuż obok nich rozłożona, w którą obie, gdy praca szła wartko, wzrok zapuściły; czasem któraś jakby od niechcenia palcem na księgę wskazała lub kartkę przewróciła; obie szeptały głosem na pozór dość wyraźnym, ale tak cichym, że brzęczenia muchy by nie zagłuszył, a tem mniej mógł dolecieć do uszu męża zatopionego w rachunkach, którego od czasu do czasu niewiasta siedząca, nieznacznie zdaleka małym krzyżykiem żegnała.

Parę przez nas opisaną składali gospodarze tej zagrody: naprzód Podstarosta Piński jmć pan Józef Janikowski i jego małżonka Anna ze Szczuckich; trzymająca zaś motek przed panią, staruszka jmć panna Agnieszka Gregorowiczówna, była to w części poufna sługa, w części powinowata rezydentka i przyjaciółka, a w istocie osoba jakie się dziś rzadko zdarzają, całkiem dla tego domu wylana, i nad jego wzrost i pomyślność innego pragnienia i celu w życiu nie mająca.

Cisza między tą trójką, przerywana niekiedy stuknięciem pięści rachmistrza lub głośniejszem ale zawsze stłumionem westchnieniem niewiasty, trwała już czas pewien, kiedy w tem w jednym kącie coś nagle zawarczało, niby zwierz jaki, lub rzekł byś ściana się wali, to znów jakiś rumor i grzechot, jakby we młynie lub warstacie; nieświadom rzeczy pewnoby się przeraził, lecz przytomne osoby nawet nie zwróciły na to uwagi, aż gdy po tej introdukcyi kilku minut, ze starego zegara kilku pokoleniom czas mierzącego, wysunęła się kukułka i kukać zaczęła, a tak głośno i wyraźnie, że aż ptaszęta w klatkach zabaczywszy zwykłej subordynacyi, wesołym śpiewem, każdy po swojemu jej wtórowały. Za pierwszem kuknięciem sztucznego ptaka, niewiasta zadrżała i znacznie zbladła, a wziąwszy krzyżyk mosiężny z różańcem i odpustami leżący przy księdze, szepcząc z gorączkowym pośpiechem jakąś modlitwę w powietrzu żegnała małżonka, który zawsze nieruchomy, kuknięcia palcami na stole wystukiwał, aż kiedy jedynaste wyliczył, powstał z miejsca, z nad stołu z kilku wiszących dyscyplin i harapników jedno karne narzędzie wybrał, pociągnął je w ręku i zmocował:

— Moja panno przygotuj tygodniową prowizyę dla syna, tylko bez defraudacyi jak kiedyś, gdyż w takim razie i wyznaczone jak wtedy do połowy uszczuplę. A wy z łaski swojej mościa Gregorowiczówno zechciejcie powiedzieć, ażeby mi się tu

natychmiast stawili Omelko i Bazylek z latarką i kobiercem.

Przemówił mąż zbliżając się do niewiast; a kiedy służebna dla spełnienia pańskiego rozkazu wydaliła się, a małżonkowie sami pozostali, żona zastępując drogę wychodzącemu mężowi do kolan przypadła, a konwulsyjnie całując je ze łkaniem łzami skrapiała:

— Bóg z tobą moja najmilsza, jedyna Haneczko! cóż się stało?...

Zmówił mąż słodkim głosem, podnosząc spłakaną kobietę i jakby niemowlę do piersi tuląc.

— Mój jegomość, miejże Boga w sercu, przecie to nasze dziecko!

Przez łzy zanosząc się od płaczu wyjęczała kobieta:

— Moja panno! Hanko najmilsza! rozpoczynał małżonek nie głosem zagniewanego, który ma srogi czyn na myśli, ale z łagodnym smutkiem, jakby frasobliwemu usposobieniu niewiasty wtórował — raczej powiedziałbym tobie aby Duch Święty twój sąd w tej sprawie oświecił i na dobrą drogę skierował; czyliż mnie poczytujesz za kata lub oprawcę lubującego się w zadawanych katuszach, osobliwie kiedy smutna powinność zmusza mię nad moją własną krwią pastwić się? —

— Pozwólcie was zapytać mój panie, czyli wy nie macie miłości ojcowskiej w sercu waszem?

— Właśnie że ją posiadam z Bogiem, a po chrześciańsku pojętą, bowiem powiedziano jest:

qui bene amat bene castigat; to znaczy że kto kocha, ten i karci w staraniu o poprawę i zbawienie duszy; a zważ to aśćka w rozumie swoim iż zawsze lżejszą jest najsurowsza kara ferowana wyrokiem trybunału rodzicielskiego, aniżeli z surowego dekretu na sądzie ostatecznym; wierz mi iż ja się nie delektuję jego cierpieniem, a karcę w sperandzie poprawy, która jeżeli nie nastąpi, stokroć wolałbym naszego jedynaka skon opłakiwać, — niżeli dać go światu na wstyd i hańbę nieskalanego imienia i kto wie?....

Niedomówiwszy, odwrócił się nagle, zapewne ażeby ukryć łzę pomimowoli męzką jego powiekę zwilżającą. Kobieta łzy także otarła, i czas jakiś przemówić nie śmiała, aż miłością macierzyńską przynaglona rzekła:

— Ino raczcie zważyć mój panie, iż kara to za zbyt surowa.

— Niewiasto! czyliż jeszcze kara surowa, że dziesięć niedziel do Serca Jezusowego przepości i przemedytuje?....

— Przecież to wilgotna ciemnica ten loch, z którego stare wina przeniosłeś w inne miejsce, ażeby się nie popsuły; a też niemiłosierne plagi co piątek, jabym je za niego przeniosła, a pewnie mniej by mnie bolało, niż ta świadomość że on takie katusze przenosi; i w rzeczy mój dobry panie, prawo często miłosierniejsze dla zbrodniarzy, i ci jeszcze do łaski uciekają się, a tyś rodzonym ojcem jest i azali się nie ulitujesz? —

Pierwszy to raz od ćwierć prawie wieku pożycia, w te słodkie i pokorne usta małżonki, miłość macierzyńska taką siłę oporu natchnęła, i on chociaż pan surowy a woli niezłomnej, jednak nie gorszył się i nie oburzał, a raczej litował nad zakrwawionem sercem matki, i miasto rozkazować, a posłuch i poszanowanie dla wszechwładnej woli wzbudzać, sam głosem powolnym jakby się uniewinniał, prawił:

— Moja Haneczko! *vir sapiens semper constans*, t. j. iż każdy mąż w postanowieniu swojem stałym być winien, a tem bardziej względem swoich dzieci czy to domowników i tych nad którymi Bóg mu władzy udzielił, bo inaczej stanie się jej niegodnym; powiedziało się i ślubowało iż dziesięć piątków przeniesie, a dziś ósmy, zresztą ręka ojcowska nie zabija; i chociażbym chciał być ci we wszystkiem miłym, lecz to stać się musi. Jedno na co będę patrzał przez szpary, jeżeli mu tam dodasz jaką prowizyę, a nawet zachowaj zręcznie małą flaszkę miodu, tylko lipca, a nie starego i to na spód koszyka, dziś nie będę lustrował porcyi, bo w istocie chłopiec coś przez ten post wyniszczał.

Po tych słowach, zdjąwszy wielki klucz ze ściany, już chciał prędko opuścić izbę, gdy niewiasta zanosząc się od płaczu u nóg mu zawisła wołając:

— Ojcze! mężu! to kara śmierci dla niego i dla mnie, ulituj się, zmiękcz surowości twojego gniewu, czyliż już w istocie Kostek nasz jest zbrodniarzem na tak ciężką karę zasługującym?

Dawniej głowa rodziny, chociaż stał mocno na stanowisku i wszystkim tak rządzonym jako i rządzącym dobrze się z tem działo, wszelako i ci władcy domowi mieli serce i uczucie, a jeśli silnie stawali przy swojem, to nie dla fantazyi i ambicyi, a raczej z zasady: toż się działo w sercu Janikowskiego, skoro się znalazł jakoby między młotem i kowadłem, pomiędzy rozkrwawionem sercem żony najwierniejszej i najulubieńszej, a powinnością głowy rodziny, której zadość stać się musiało; choć wiedział że z tej walki ostatnia ta strona wyjdzie zwycięzko, i mógłby ją ominąć, jednak jako miłujący małżonek, zaniechać jej i w sercu żony żalu ku sobie pozostawić nie chciał.

— Moja panno, bądźże ty sędzią ale sędzią surowym, a bezstronnym: mówmy między sobą prawdę nagą, a smutną, chociażby przyszło serca nasze zakrwawić. Tu mowę uciszył, obejrzał się na wszystkie strony i ciągnął głosem drżącym: Mówisz że on nie jest zbrodniarzem; zapewne, dotąd nie popełnił występku, który prawo gardłem karze; lecz w Kollegium O. O. Jezuitów gdzie Jmć X. Rektor jest moim powinowatym, pomimo próśb i darów trzymać go nie chciano; gorszył młodzież bluźnierstwem, bezbożnością i przykładem rozpusty; w palestrze obłatał boki woźnym i samemu panu Pisarzowi; tak że ledwiem go od grzywien i wieży *in fundo* nie bez znacznych ofiar dla honoru imienia odkupił; w chorągwi gdzie go oddałem już z tą dobrą otuchą, iż będzie z niego

porządny żołnierz, bo do korda i konia żręczny, posiekał na bigos towarzyszy i z kałauzu nie wychodził. Że zaś to gęba wygadana i do korda sprawny, suponowałem iż mi na sejmiku w Brześciu przyda się; ale gdzie tam, zamiast iść z naszym dobrodziejem Kasztelanem Trockim i jego partyę popierać, związał się z Śliźniami jogo nieprzyjaciołmi, burd ponarabiał i mało całej sprawy nie pokpił; a już jak ci wiadomo jmć pan Kasztelan chciał nam zastaw spłacać i z łaski tego kpa mogliśmy zostać pod płotem. Myślałem że chociaż do gospodarstwa przyłoży się i będzie mi pomocnym, ale gdzietam, na poprawę wniósł zgorszenie i obrazę Bożą do poczciwego domu, tak iż fraucymmer swój z samych podeszłych niewiast złożyć musiałaś. Czyliż jeszcze możesz się wstawiać ażebym mu folgował?... i czyli podobne pobłażanie, gdybym się do twojego żądania przychylił, nie obciążyłoby twojego sumienia jako matki? —

— Panie i małżonku mój jedyny, którego mądrej woli posłuszną być przysięgłam, niech się więc teraz jako i zawsze zadość jej stanie.

Zmówiła kobieta choć smutna i zafrasowana, jednak bez łez rękę małżonka do ust przyciskając.

— Owóż moja jedyna Haneczko, jesteś tą niewiastą mężną, jakąm cię zawsze być rozumiał, a słabość twoją chwilową i sam Bóg przebaczy.

Przemówił małżonek tuląc żonę do piersi, po czem sam jakby krzepiąc się duchem, usiadł na

ławie i czując potrzebę wywnętrzenia się, tak dalej prawił:

— Nie myśl aby i mnie było pilno do tej nieszczęsnej egzekucyi, a pomimo całej przykrości jeszcze powiem, gotów bym ją odbywać z sercem rozradowanem, gdybym wiedział iż to mu pójdzie na pożytek i poprawę obudzi; ależ to w dziewiętnastym roku życia tyle nabroił, czego nie jeden zatwiardziały grzesznik na ostatniej spowiedzi nie ma do wypowiedzenia; — i co tu dalej z nim począć, skoro te nieszczęsne piątki się skończą?... O bodajby nie wyrósł na obrazę Bożą, i hańbę poczciwego imienia! —

Opuścił stary głowę na piersi, i nad obojgiem smutek rozwiesił frasobliwe milczenie, którego, mimo wrodzonej niewiastom chęci pocieszania, małżonka przerwać nie śmiała, aż po niejakiem dumaniu ozwała się nieśmiało:

— A gdyby mnie pokornej białogłowie wolno było zdanie przełożyć? —

— O, mów, mów moja Haneczko, tyś mi nie raz dała dowody niezmiennego affektu i mądrości, boć człek za młodu przy potrzebach kraju za piecem nie siadywał, a tyś wszystkiemu przewodząc, naszego dobra nie uroniła.

— Otóż ja bym myślała, że teraz w sąsiednich krajach wojują, nasz zaś Kostek do wojaczki o ile sądzę ochotny, dać go do którego z wojsk zagranicznych, a tam, jak mówią, lepsza dyscyplina i karność niźli w naszych chorągwiach, Bóg zaś

łaskaw, i nie idzie zatem aby każdy z wojujących ginął, a może wyjść na człowieka.....

Zaledwie tych słów domówiła, kiedy wielki popłoch powstał przed domem, a nim gospodarz pośpieszył wybiedz, wpadła wylękniona Gregorowiczówna wołając:

— Chryste Jezu! werbowniki we wsi.

Podstarosta postąpił ku ścianie gdzie wisiały pistolety i szabla, a wkładając z zimną krwią broń na siebie, jakby na ostatnie słowa małżonki odpowiadał:

— O moja jedyna Haneczko! sam Bóg przez twoje usta przemówił.

Małżonka już tych słów nie dosłyszała i nie pojęła, a z przestrachu zawołała:

— Mężu, pójdę do kaplicy i zadzwonię na modlitwę, to się ludzie zbiegną.

Podstarosta tylko kiwnął spokojnie, ale znakiem rozkazującym ręką, że zwierzchność przy nim została i zmówił krótko:

— Zbierz córki i wszystkie niewiasty, a do nowego rozkazu, nie ruszać mi się z tej izby.

Po tych słowach, zdejmując róg myśliwski ze ściany, mówił jakby sam do siebie:

— Dzwonkiem kaplicy w niewłaściwą porę tylkobym niepotrzebnego alarmu narobił, a sam z moimi myśliwemi, temu szwabskiemu tałałajstwu dam radę.

Owóż co się stało: kiedy werbownicy do wsi weszli, i prosto do kárczmy się skierowali, ludność

wiejska, jako w dzień roboczy, złożona z dzieci i bab nie zdolnych do pracy, znając iż ci rycerze niczem nie gardzą, gdyż nawet dzieci chłopskie chwytali końcem uzyskania mizernego okupu, schroniła się do lasu, i znajomemi sobie drożynami do dworu po ratunek przybiegła, w czasie kiedy jeszcze mężni werbownicy Lejbkę dręczyli i rabowali.

Skoro przybyłym pan się ukazał, zaraz rozpoczęli treny i lamentacye na wszystkie tony, a że nikt nawet z przybyłych liczby dokładnej oznaczyć nie umiał, a już ją do setek podnosili, Podstarosta, nakazując Im milczenie, wydał natychmiast rozkazy, ażeby ze stosownem jadłem wszystkich tymczasem do spichrza zamknięto.

Pomimo wielkiej trwogi, posłuch w tej zagrodzie był taki, że nikt od pracy odejść nie śmiał, dwaj tylko ze służby w skutek poprzedniego pańskiego rozkazu, z latarnią i kobiercem w ganku zostawali. Po rozegnaniu motłochu, Pódstarosta zadął w róg wiadomym już sposobem, co oznaczało, że całe myślistwo, kto gdzie tę muzykę zasłyszał, wszelkie zajęcie porzuciwszy, stawić się było winno; jakoż około dwudziestu ludzi natychmiast przy panu stanęło, a ten im wydawał rozkazy:

— Grzesiu! (był to starszy dojeżdżacz z licznego myślistwa podstarosty) wybierz mi dziewięciu lepszych strzelców, sam będziesz dziesiąty, pobierzcie garłacze na ostro nabite i kordelasy, a po

dziesięć nabojów w ładownicę; na wszelki wypadek dwie sfory piawek (psy używane na niedźwiedzi) mieć w gotowości, dla mnie nabijesz dwa garłacze i pozostawisz tu pod ścianą; reszta ludzi nazad do roboty.

Grześ pośpieszał spełnić pańskie rozkazy, a Podstarosta na obejrzenie pozycyi udał się, a dostrzegłszy że stary karbowy Jazłowski, który jako niegdyś żołnierz i kolega wojskowy Podstarosty, a wierny sługa, sam jeden z licznej służby zdobył prawo samoistnego działania, coś przy bramie majstrował, zagadnął go:

— A co to mości Jazłowski robicie?

— Fortyfikujemy się jegomość; jak im bramę zatarasuję po mojemu to zdechną psie juchy i djabeł ich zabierze jak swoich, a nie zdobędą do sądnego dnia. Nie takich to my widzieli.

— Ano Jazłosiu, żeśmy nie takich widzieli, wstyd zatem przed tymi durniami fortyfikować się jak przed jakiem wojskiem.

— Ba, strzeżonego sam Bóg strzeże, jegomość.

— A także mówią: kto się bardzo strzeże do jamy się chowa. Otóż ja myślę tak tych błaznów wstępnym bojem przywitać, bo to uważasz waszeć szkoda mi nowej bramy i częstokołu, jak te durnie zaczną pukać to mi podziurawią, a jeszcze to pijane od Lejbki przybędzie, i gotowi mi którego z robotników postrzelić albo co podpalić; zatem zamiast tarasować i czas napróżno tracić, otwórz waszeć bramę na rozcież.

Jazłowski popatrzył na Podstarostę, jakby o jego zmysłach powątpiewał, wszelako z subordynacyą żołnierską rozkaz spełnił.

— Ot wiesz co Jazłosiu, pilnuj robotników żeby się nie rozłazili, a chowaj Boże na szwank nie narazili.......

— To już ja stary żołnierz w czasie gorącym niebezpieczeństwa, przy robotnikach..... przecie to i ze Szwedem się biło, i w różnych potrzebach.... rozpoczynał urażony wojak.

— Owóż dla tego żeś był w dobrych potrzebach, toć się nie godzi używać cię do tak lichej, i gdyby wypadkiem było źle koło nas, to przybędziesz z odsieczą.

Odparł Podstarosta dla uspokojenia wojaka, gdyż sam do tego niebezpieczeństwa wagi nie przywiązywał; sam zaś uchylił drzwi do komnaty gdzie kobietom zebrać się rozkazał, a ujrzawszy je klęczące przed obrazem i śpiewające pieśni święte, nabożnej zabawie nie przeszkodziwszy, broń odpasał ażeby czeladzi nie trwożyć i wszystkie kąty zlustrował, a każdego do pracy zachęcił i pobudził; że zaś Grzesiowi ze zbrojną komendą kazał się ukryć w dużej sieni, zatem cały ten dwór pomimo spodziewanego napadu, aspektu wojowniczego nie posiadał.

Jakkolwiek wszelkie przygotowania szybko sprawiono, jednak minęło parę godzin zanim chłopiec z rozkazu Podstarosty na czatach za komi-

nem ukryty, dał znać iż werbownicy wychyliwszy się z lasu prosto ku dworowi zmierzają; mylić się zaś nie mógł, bo droga jedyna prosto do dworu prowadziła, a z wysokości mógł ich policzyć nie więcej dziewięciu.

Podstarosta na tę wiadomość uszykowawszy swoją milicyę w sieni, po cichu wydał instrukcyę, jak się zachowywać mieli, a sam ukryty, przez okno wyzierał.

Werbownicy dochodząc do dworu, skoro ujrzeli bramę na rozcież otwartą, a dziedziniec pusty, jakby tam wszystko wymarło, suponując iż z babami lub tchórzami do czynienia mieć będą, zaintonowali swój marsz, uderzyli co siła w te djabelskie instrumenta, i z dobrą fantazyą wkroczyli. Podstarosta tymczasem z oka ich nie spuszczał, a że od bramy do samego dworu dotąd prosto napastnicy zmierzali, było że trzy minuty dobrego marszu; Podstarosta dopuściwszy ich na większe pół drogi, kiedy już na łatwy strzał znajdowali się, swoją komendę należycie uszykowaną przed ganek wyprowadził, i tak sprawił, że od razu wszystkie dziesięć gardłaczy na cel ich wzięły. Na ten niespodziany widok, fantazya opuściła napastników; szyki się pomięszały, muzyka ucichła, i stojąc pod strzałami, nie wiedzieli czy iść dalej, czy zmykać. Nakoniec dowódca odzyskując przytomność zakomenderował:

— Achtung! presentirt das Gewähr!...

Pijana i wylękniona tłuszcza, a bez tego w egzercyrunku wojskowym nie wyćwiczona, rozkaz ten spełniła niesfornie, a tak wymachiwali rusznicami, iż zdawać się mogło że do strzelania przygotowują się. Atoli Podstarosta nie umiejący po niemiecku, nie zrozumiał tej cale pokojowej komendy; wszakże z tych pijanych zamachów nie przewidując żadnego niebezpieczeństwa, odezwał się do swoich półgłosem:

— Postąp trzy kroki, trzymać na celu, ale nie palić bez komendy.

Do komendanta zaś zawołał z gniewem:

— Co ty mi szwabie z prezentami przychodzisz, ja cię nauczę.

Po tych słowach zwrócił się do swoich, jakby nową komendę miał wydawać.

Przestraszony komendant werbowników, białą chustką na znak pokoju zaczął wymachiwać.

— Rzućcie mi zaraz te wasze rusznice na ziemię, lub każę strzelać, a że co do jednego trafią, to jak mi Bóg miły — zawołał Podstarosta.

Komendant zaszwargotał coś do swoich, którzy wszystkie rusznice na ziemię złożywszy, stali drżący w pokorze jak owieczki ofiarne.

— Zamknąć bramę na klucz.

Do wykonania tego rozkazu stawił się stary Jazłowski, a przechodząc koło Podstarościego mruczał:

Dzielny z jegomości komendant, to wam by się godziło najpierwszej twierdzy w świecie bronić; co to za fortel strategiczny!...

Podstarosta rozkazał ludziom swoim broń pozabierać, a opatrując jej dezelacyę, ruszał tylko ramionami mrucząc:

— A no patrzcie, i z temi pomiotłami świat chcą zawojować; a to chyba waryaty.

Rozbrojony motłoch, rad że niebezpieczeństwa uniknął, wcale deszpektem wojennym nie frasował się, a niektórzy że ich trunek rozmarzał, najspokojniej do snu na ziemię ułożyli się. Komendant tym czasem uznał za stosowne przedstawić się swojemu zwycięzcy, i z głębokim pokłonem wyliczał swoje tytuły:

— *Obersterlejtenant erster Königlicher Preusicher Companie Justus fon Fetorowsky.*

— Co mi tam waszeć szwargoczesz mosanie Fetorowski, a do tego kiepsko się nazywasz? Oj co prawda, gdybym tylko wymówił jedno „pal", byłbym tu z ciebie i twoich porządnego fetoru wydobył. Ale powiedz waść, co tu porabiasz z swoją pruską komendą, bo aczkolwiek nasz Miłościwy Pan jako elektor Saski jest w wojnie z waszym monarchą, wszelako sejm z Prusami wojny nie uchwalił, waść zaś pogwałciłeś territoryum Rzeczypospolitej, a wiesz że taka sprawa gardłem pachnie, a jako marudera każę cię natychmiast w lochu osadzić, nim tam co więcej wyklaruje się. Pocóżeś

waszeć tu przybył i na mnie zbrojno napadł, lubo intencya niepowiodła się. Mów tedy co zacz i co tu porabiasz? — surowo zakończył Podstarosta.

— Komendant zwąchawszy że to nie przelewki, gdyż zwycięzca przy którym siła srożył się, łamaną polszczyzną odparł:

— Mój Pan, Najjaśniejszy Król Fryderyk Pruski, pokłon waszmość panu przesyła.

— A co mi waść pleciesz? Lubom jest szlachcic, a do korony jak każden inny zrodzon, wszakże prawa krajowe wszelkich dyplomatycznych stosunków jako indywiduum, bez powagi sejmu utrzymywać mi zabraniają; — ergo, jeżeli wasz monarcha, pragnie mi ten wielki zaszczyt łaski i pamięci uczynić, inaczej jak ze zwoleniem obradujących stanów przyjąć go nie mogę. Atoli nie o to tu chodzi, tylko co do asindzieja widzi mi się, żeś może jaki złoczyńca, zatem nim cię z twoją komendą do grodu dostawię, każę cię zabić w dyby i w lochu osadzić. Mości Jazłowski, pójdź sam tu — zawołał na przechodzącego karbowego.

Widząc tedy pan komendant że to nie przelewki, rzucając się do nóg Podstaroście zawołał:

— Jam to jest Justyn Fedorowicz syn niegdy komornika przy sądach granicznych kowieńskich, a waszmość pana miłościwego Podstarosty syn chrzestny, i kiedyś to jak mój nieboszczyk ojciec

trzymał przez zastaw Małosiewicze od pana Korsaka, szczyciliśmy się względami i przyjaźnią domu waszmość państwa.

— No proszę, Justek, a dalibóg poznaję, chociaż to temu lat blizko czterdziestu, jakem cię do chrztu świętego podawał. Ale ty nie tylko mój chrześniak, ale jakiś tam powinowaty mojej żony przez Ożgów... Powiedzże mi Justku, kij że cię djabeł opętał i w te szwaby zaniósł, ześ szlacheckiej godności wyparł się, a jakimściś Fetorem przezwał? — Prawił Podstarosta łaskawie.

— Bieda mię tam zapędziła, mości panie ojcze; owóż krótkie moje *curiculum vitae:* po śmierci nieboszczyka ojca, zostało nas jak waszmość panu wiadomo, jedenastu synów, prócz córek jako tako postanowionych, bo jedne zamężne, a drugie to w klasztorze, to na respekcie po dworach pańskich, i z nas też każdy gdzieś wedle staniku i możności przyczepił się; ci po palestrach, tamci przy gospodarce; mnie tylko jednemu stan wojskowy sądził się, jakoż zacząłem sługiwać po chorągwiach, to w tym to w owym autoramencie; nigdzie mnie jakoś żołd nie dochodził, tak iż nie było o czem dalej ciągnąć; aż oto rozpoczęła się wojna cudzoziemska, zwerbowali mnie i co prawda z tem mi nie zgorzej, bo i płaca i ranga wojskowa; prawda, że to człek musiał trochę występować i przeciw Najmiłościwszemu naszemu Panu, ale zawsze nie jako Królowi Polskiemu, ale Elektorowi Saskiemu.

— Wszystko to dobrze panie synu, boć przecie służba żadna nie hańbi skoro tylko przeciw swoim nie wojuje się; historya zaś nas uczy, iż wielu z naszych sławnych wojowników, z pożytkiem dla kraju sztuki wojowania u obcych nauczyli się. Jedno co się waszmości nie chwali, to ów werbunek będący rzeczą ciurów, a cale nie rycerską.

— Proszę wierzyć iż nie wdałbym się w to, gdyby nie owa okoliczność, że gdzie drzewo rąbią tam drzazgi lecą, i mnie tam parę razy pokłuto; rany zaś źle zagojone, do prowadzenia regularnej kampanii niezdolnym mnie uczyniły; i jako niby swojskiego w tym kraju, na ten niegodziwy werbunek posłano, i więcej się nabidowało, aniżeli zwerbowało. Ale cóż począć: subordynacya.

— Zawsze by lepiej swoim służyć; no, ale to się waszeci uwzględnia, że to niejako *non propter Jesu*, *sed propter esu*, to tylko kiepsko, żeś się waszeć wyrzekł godności szlacheckiej, i na jakiegoś tam fetora pezerobiłeś się.

— A już to proszę waszmość pana ojca, tam taki obyczaj, iż każdego na *fona* przerabiają i szlachectwo jego pokoszlawią.

— Ano jeszcze tam o tem pogadamy, a teraz rozgośćże się tu mój chrzestniaczku, jakby we własnym domu, ale zrzućże ten cudacki uniform, a przebierz się w moje suknie, bo moja Haneczka, a waści powinowata gotowa się ciebie zlęknąć.

Tu skinął Podstarosta na sługę i rozkazał mu odprowadzić komendanta jako już gościa do izby gościnnej i tam mu suknie dla przebrania przyrządzić; sam zas udał się do swojej kamery, z której bez ponownego rozkazu, białogłowy ruszyć się nie miały prawa.

IX.

Podstarosta wchodząc do kamery, zastał już niewiasty po dziękczynnej modlitwie za szczęśliwą konkluzyę trwogi, a zwracając się wesoło do żony, ozwał się:

— No moja Haneczko, pewnoś ciekawa końca tej katastrofy?

Podstarostowa zrobiła giest, ciekawość zdradzający, a małżonek żartobliwie cignął:

— A! to źle moja panno żeś ciekawa, bowiem ciekawość pierwszy gradus do piekła, a potem powiadają że z ciekawości ludzie siwieją, a szkoda by tych czarnych kędziorów.

— Ej bo jegomość zawsze żartobliwy — przerwała zawstydzona małżonka.

— No ale żeby złemu zapobiedz, powiem asindzce co była owa *horrida bella?*.. Otóż czy pamiętasz Justka Fedorowicza twego powinowatego? —

— A jakże, przecie to syn mego ciotecznego wuja ś. p. Komornika; z Justkiem jeszcze w łątki bawiliśmy się, ale od kiedy zaciągnął się do chorągwi, zginął bez wieści.

— Otóż ja go odpytałem, a zawsze facetus, i on to całą tę krotofilę werbunku wyprawił, niby to maszkara choć nie zapustna. Mościa Gregorowiczówno, jakoś nam się godziny pomięszały, bo i czas obiadu minął; wszakże co się przewlecze to nie uciecze, a pomiętajcie że nam przybywa jedna.... ba nawet dwie osoby do stołu. Zwalniam tedy wszystkie asińdzki z tego kałauzu, idźcie sobie na cztery wiatry.

Gregorowiczówna pośpieszyła zakrzątnąć się koło obiadu, a małżonkowie sami pozostali.

— No moja panno, czemu nie pytasz kto będzie drugim gościem?

— Zapewne który z towarzyszy Justka.

— Widzę na ten raz domyślność cię białogłowska zawiodła, albowiem nowego gościa sama sprowadzisz—i to mówiąc podał jej duży klucz, który już za pas włożył.

— Czy być może mój jedyny panie! — Zawołała ze łzami kobieta do nóg męża pochylona.

— Każże mu się przystojnie przebrać, i co najrychlej stawić się.

Matka śpiesząca na wybawienie syna, nie dała sobie powtórzyć rozkazu i śpiesznie oddaliła się.

Rychlej niźli się można było spodziewać, Podstarościc, piękny i zgrabny wyrostek z zasiewającym się wąsem, zdrów i barczysty chłop, acz na tę chwilę z przybladłem nieco obliczem, łzami pokutnemi nogi ojca obmywał, i z niemałem zdzi-

wieniem matki do wielkiego faworu ucałowania ręki rodzica był przypuszczony.

Nim uczta codzienna przez wojenne przygody opóźniona przyszła do nowego ładu, nadbiegł lamentujący Lejbka w towarzystwie Sury i bachurów, które na jego wybawienie zjawiły się, bowiem wieść o porażce i złożeniu broni przez waleczne wojsko, szybko po wsi rozniesiona postrach uspokoiła.

Skoro się Podstarosta o wszystkiem dowiedział, wpadł z góry na chrzestniaka:

— A to wstyd panie komendancie; to nie po rycersku, a czysty rabunek, do tego bez wypowiedzianej wojny dokonany; za co gardłem można przypłacić.

Biedny rozbrojony komendant, jak mógł submitował się, a na usprawiedliwienie zapewnił że sam do tego ręki nie przyłożył (co prawdą było) ludziom zaś w żołd nie zaopatrzonym wyraźnie tego zabronić nie śmiał.

Jakoż zaraz obszukano śpiących gemejnów, i zrabowane na żydzie wydobyto, a kiedy ten jeszcze piszczał, że mu cały zapas wysuszyli, Podstarosta go ofuknął:

— No to już ja tę szkodę biorę na siebie, i zdefolkuję ci ratę propinacyjną na przyszły kwartał; a zajedź jutro po parę beczek wódki, które ci gratis wydać rozkażę, a jak tam już rozwodnisz po swojemu, to przez cały rok będziesz miał czem chłopków moich rozpajać.

Tak jakoś w ten dzień Podstarosta wszystko łaskawie załatwiał, iż znając go surowym i nie zawsze dostępnym, nie tylko małżonka, ale i dom cały tej jego powolności dziwowali się.

Zawsze pożądany dzwonek obiadowy choć nieco opóźniony dnia tego dał się słyszeć nakoniec, a wszystkich członków rodziny, i poufalszych domowników do obszernej izby stołowej zgromadził.

Podstarostowa była wielce wesołej dyspozycyi, już to najprzód z wcale niespodzianego oglądania swojego jedynaka, potem że trwogi napadu tak się pomyślnie rozwiązały, a nakoniec rada witała Justka dawno niewidzianego krewniaka i towarzysza lat dziecinnych. Exkomendant werbunku pozbywszy się onego uniformu cudackiego i pudrowanej peruki z harbejtlem, wcale wdzięcznie wyglądał; wąs podmuskany, który i przy uniformie oszczędził, pięknie odbijał od twarzy ogorzałej i spalonej na wojaczce, co jej męzkiego, marsowego powabu nadawało; ruchy, choć nieco rubaszne żołnierskie i obozowe wcale całości kawalerskiej postawy nie psuły; a że jednego wzrostu był z ojcem chrzestnym, granatowa ferezya, której mu pożyczył, kształtną postawę młodzieńca zręcznie uwydatniała.

Jako człek bywały, a przez otarcie w świecie wymowny, wiele ciekawych rzeczy miał do opowiedzenia, tak iż wszyscy przytomni słuch natężali i zaciekawione ocze w narratora utkwili; a skoro z toku opowiadania dochodziło do wyda-

rzeń, kiedy opowiadający bohater znajdował się w niebezpieczeństwie, każdy oddech się tamował, serca biły gwałtowniej. Szczególnie młody Podstarościc, do niedawna więzień, wszelkie wrażenia z widocznem zajęciem podzielał, to drżał z zapału, to zdawał się rwać do czynu, i tylko przytomność surowego rodzica od głośniejszej manifestacyi wrażeń wstrzymywała go. Była tam jeszcze osóbka, która potajemnie drżała, to bladła na wzmiankę o niebezpieczeństwie, lub oblewała się silnym rumieńcem przy odniesionym tryumfie, a skoro na narratora nieśmiało piękne oczy podniosła, jakby rażona blaskiem słońca, zaczerwieniona w talerz je opuszczała: była to Joasia starsza córka Podstarostwa, istny wizerunek dotąd nadobnej matki, tylko o lat dwadzieścia młodsza od oryginału. Sam gospodarz, zwykle poważny i rzadko kiedy rozchmurzony, stanowił dziś wyjątek z pod zwyczajnej dyspozycyi, czego najlepszym dowodem było, iż kazał podać gąsior *herbownego*— tak się zwało wino przed laty jego własną ręką ściągnione i herbownym sygnetem opieczętowane; już z tego samego, a rzadko przydarzanego trafu, domowi dobrze sobie o usposobieniu gospodarza prognostykowali:

— Owóż to mosanie, rozpoczął wesoło gospodarz nalewając puhar, dobrze mówią iż nie masz złego coby na dobre nie wyszło; wszakże podwiki nigdy głębiej rzeczy nie spenetrują, i już przed przybyciem naszego dostojnego gościa a mnie

wielce miłego chrześniaka na śmierć się gotowały, a byłyby cię w święconej wodzie utopiły i różańcami zasypały; teraz zaś widzą przecie, iż nie taki straszny djabeł jak go malują; jakby to już służąc w cudzoziemskiej armii, nie można być zacnym i statecznym kawalerem. Otóż piję za zdrowie naszego wielce miłego gościa, dziękując Najwyższemu iż w braku innej konsolacyi, dał mi się przynajmniej chrzestnym synem pocieszyć.

Tu rzucił ukośne wejrzenie na rodzonego syna, ale wkrótce twarz rozpogodził i kielich wychylił.

Justek w obcem wojsku snać nie zabaczył domowej pokory, bo na podziękowanie kolana chrzestnego ojca z należną attencyą ucałował, a ten dalej wesoło prawił:

— No moja Haneczko, uściskajże krewniaka, jakto ongi przy łątkach bywało, a zresztą nie będzie w tem grzechu, boć on jejmości krewniak, a syn mój chrzestny, to już i twój w połowie.

Podstarostowa głowę całującego ją w rękę Justka objęła.

— Anoż dziewuchy, toż on wam także brat jakiś, możecie go równie uściskać—ozwał się rozochocony Podstarosta do córek.

Dwie młodsze, Magdzia i Dorotka, nie dając sobie powtarzać rozkazu, świeże buziaczki nowemu braciszkowi podały; lecz starsza Joasia zbliżyła się doń poważnie i twarzyczkę rumieńcem oblaną, a ogniem płonącą, to przeciągała niby ochotnie, to jakby ze wstydem odwracała, i od-

ważny w każdej innej imprezie kawaler, sam nie wiedział co z tem począć, jednak, iż rejterada nie jest cnotą żołnierza, głośny pocałunek na ślicznych jagodach złożył, ale i sam czegoś pobladł nieznacznie.

Cicha ta a skromna wiejska strzecha, nigdy takiego wesela nie doznała. Wieczór im przeszedł niepostrzeżony. Justek bowiem już jak domowy, a dyspozycyi jowialnej wesoły kawaler całe towarzystwo przez rozmaite krotofile ubawił: to uczył dziewczęta różnych cudzoziemskich tańców, na które się po obczyznie napatrzył, to im śpiewał piosnki przy cytrze i gitarze, bo i tego kunsztu od obcych nabył, i on który rano jako nieprzyjaciel miał wnieść w dom ten trwogę i zniszczenie, pociechą i radością go napełnił, i szedł na spoczynek jakby pod rodzinną strzechą.

Podstarosta tak się w gościu rozmiłował, że przededniem miasto obejrzeć gospodarstwo, przed izbą gościnną Justka przechadzając się jakby na czatach, na jego przebudzenie niecierpliwie wyglądał. Żołnierz nie dał na siebie długo czekać i równo ze słońcem był już na nogach, a skoro go ujrzał Podstarosta, ozwał się z udaną surowością:

— A no mości jeńcze, porachować nam się trzeba.

— Każecie na śmierć się gotować mości komendancie,—odparł, oddając wojskowy honor wyprostowany młodzieniec, wpadając w humor żartobliwy chrzestnego ojca.

— Ba, na śmierć jak na śmierć i to przyjdzie z kolei. Ale powiedzże mi waszmość, jakbyś na mojem miejscu postąpił?

— Kazałbym wystąpić tym dzielnym chłopakom z garłaczami, szwabów przywiązał do tego częstokołu, i „cel, pal”, rozstrzelał.

Podstarosta uradowany humorem młodzieńca, aż za brzuch chwycił się od śmiechu, a gdy już mu dał wolę, na seryo przemówił:

— Ale żart na bok, powiedzże mi mój synku, kiedy ty masz ordonans wracania; bo to widzisz wlazłeś między wrony krakaj jak i one; jakaby tam niebyła chorągiew której się służy, zawsze zawodzić jej nie można już to tak dla dyscypliny wojskowej, jako i gwoli honorowi szlacheckiemu. A jakichże to ludzi masz waść z sobą? —

— Terminu do powrotu nie mam żadnego; mnie bowiem, jako parę razy ranionego, a przez to samo do takiej gorącej wojny jak się tam prowadzi, przynajmniej na czas pewien nie bardzo przydatnego, wyprawiono dodawszy mi podobnych do mnie inwalidów, zalecając mi czy tam czego po drodze nie zwerbuję; po prostu mówiąc delikatnie nas się pozbyli niejako na maroderkę wyprawiwszy, bo u nich tam koło skarbu kuso, a łatwiej o człowieka niż o cwancigiera. Dali nam tedy abszyt nielimitowany, z tem że jeżeli się wyliżemy i powrócimy, to dobrze, a jeżeli nas djabeł porwie, to drugie dobrze. Moja zaś kompania cała się składa z ludzi tutaj powerbowanych z wy-

jątkiem jednego niemca. Poczciwy szwab, był u mnie luzakiem, a że się do mnie przywiązał, nie chcąc mnie opuszczać, na ochotnika ze mną powędrował.

— Hm! hm! mruczał zwolna zamyślony Podstarosta. — Owóż ten jeden szwab psuje mi szyki.

— Albo co?

— Widzisz waszmość, jako zwycięzca, chcę was w plenie zatrzymać przynajmniej dopóki z ran ciebie i twoich nie wyleczymy, moja baba zna różne sekreta i arkana lekarskie, a gdy weźmie cię w kuracyę, to już niezawodnie podreperuje. Choć mi waść na obliczu gładko wyglądasz, atoli nie wszystko złoto co się świeci, ze zdrowiem zaś niema co żartować, bo często mały szwank zaniedbany w kalectwo przejść może..... Nakoniec nie ma co z jeńcem dysputować, zostaniesz aż do uleczenia i kwita, — albowiem za tem przemawiają aż trzy powagi: zwycięzcy, ojca chrzestnego, a starego przyjaciela waszego domu—i twoi także zostaną..... Atoli co ze szwabem począć?...

— Woli jegomości ojca dobrodzieja, gdyby nie ze szczerej ochoty, to z praw jeńca wojennego poddać się muszę; co zaś do mego szwaba, o tego także nikt w kompanii się nie upomni; on także podziurawiony jak rzeszoto, i oddawna do profosów zalicza się; ma dwie passye: sześć dni w tygodniu szyć buty, a siódmego upić się.

— Kiedy tak, więc rzeczy wybornie się wyklarowują: twój niemiec zasiada przy warsztacie,

i obuwa mi całą czeladź na zimę, za co go słusznie wynagrodzę, a w święto dam wódki żeby się upił. Ludzie twoi, o ile któremu zdrowie pozwoli, pójdą do roboty, a chorzy pod komendę jejmości i waszmość z nimi.

Fedorowicz na znak zgody, rękę chrzestnego ojca z pokorą ucałował i od tego dnia pod miłosierną opiekę swojej krewnej przeszedł. Okazało się, iż odniósł kilka ran, które chociaż niebezpiecznemi nie były, ale że na prędce po obozowemu zasklepione, pilnego leczenia wymagały. Toż samo działo się z jego komendą, która rada była iż po długiej tułaczce na obczyznie, ciepły kąt i strawę między swoimi znalazła. Każdy zaś Bogu dziękując, o ile stać go było na siłach w gospodarstwie dopomagał, a zwycięzcy i zwyciężeni wzajemnie radzi sobie byli.

Nikt jednak nie cieszył się tak gościom jak Kostek, jedyny syn gospodarza; korzystając z każdej sposobnej chwili słuchał chciwie jego opowiadań o przygodach wojennych; że zaś rany Fedorowicza dzięki umiejętnym i gorliwym staraniom krewnej lekarki żywo się zabliźniały, nie zawadzały mu zatem wcale, uczyć Kostka musztry i różnych wojennych ewolucyi, tudzież fechtunku i różnej szermierki, a znalazłszy w nim pojętnego ucznia, sam się nieraz zapalał, i całemi godzinami rad się z nowym rekrutem egzercytował. Nie raz przy stole coś mu się podobnego wyrwało:

— Czemu to jegomość ojciec dobrodziej nie sposobi Kostka na żołnierza, gdyby się dostał na wojnę, zrobiłby świetną karyerę, a za grubą szlifę dla niego po paru potyczkach gardło stawię.

Serce matki na te pochwały rosło w cichości.

— Hm! hm! — zbywał zazwyczaj w takich razach Podstarosta i konwersacyę na inną materyę zwracał.

Gdyby się Justek zrodził w tym domu, lepiejby do niego nie przyrósł. Podstarostwo uważali go za syna. cała rodzina za brata, wszyscy za domowego; jedna tylko Joasia stroniąc od Justka na pozór, szukała go a skoro znaleźli się razem, zawsze jakoś spoważnieli, sposępnieli, dziewczyna zarumieniała się, a chłopak posmutniał.

Z parę miesięcy tak minęło, a leki Podstarostowej poskutkowały, bo tak na werbownikach jak i na komendancie śladu choroby nie pozostało. Wszakże nikt z przybyszów nie pomyślał, że jest świat inny po za gościnną zagrodą, bo każdy przy pracy był zadowolony swoim stanem; pierwszy Fedorowicz opatrzywszy się iż rzeczy tak dalej trwać niemogą, razu pewnego schylając się do kolan gościnnego ojca ze łzami prawił:

— Mój miłościwy ojcze i dobrodzieju! osierocony w młodych latach, nigdy nie zaznałem więcej opieki jak w domu waszmość pana ojca, za co składając najczulsze dzięki mam honor oświadczyć, iż czas mi już was pożegnać.

— Oho! a to co nowego, także to jeniec wojenny mówi „pożegnać, pożegnać?” Odparł stary z udaną rubasznością, którą smutek rozstania pokrywał.

— No ale cóż z sobą zamyślasz? Dokąd Bóg prowadzi? — dodał po chwili spoważniały.

— Gdzież jak nie do obozu... To już mój dom i jedyna rodzina, bo moim i tak za ciężko na świecie, ażebym im swoją personą ciężaru przyczyniał.

— A cóż to waćpanu szołdry i szwaby to już lepsza rodzina odemnie powinowatego, a co większa ojca chrzestnego?— Ofuknął starzec namarszczony.

— Ojcze jegomość! odezwał się Justek całując jego rękę z uczuciem. Wy sami jako całe życie pracujący, to żołnierz, to gospodarz, osądźcie najlepiej, czyli dłuższy pobyt w bezczynności pod waszą gościnną, a śmiało powiem rodzicielską strzechą, przystoi człowiekowi, mającemu już dziś z łaski waszej szanownej małżonki zdrowe kości i głowę na karku? —

Podstarosta chwycił oburącz głowę młodzieńca do rąk jego pochyloną i gorący pocałunek na niej złożył; poczem zdobywszy na ile go stać było odwagi, mówił niby obojętnie.

— Chcesz powracać? — A więc z Bogiem; ale co poczniesz z twoimi ludźmi?

— Owóż to sęk, bo to wszystko tak do waszego poczciwego domu przyrosło, że nie wiem co z nimi zrobić.

— A jakżeż będzie?...

— Zamelduję ich jako niezdatnych do służby i nie bardzo też skłamię, albowiem tak przywykli do wygodnego życia, cepa, pługa i innych zajęć, że do wojaczki ich nie namówisz; a nawet mój szwab nie da się z miejsca ruszyć, utrzymuje on bowiem, że nigdy nie posiadał w takiej obfitości materyałów tak do rzemiosła w dnie powszednie jako i do upicia się we święta.

— Hm! hm!.. — mruczał starzec w zamyśleniu, którego gość przerywać nie śmiał, aż po pewnym czasie głos zabrał:

— Dziwna ta wasza chętka do obcego wojska; i do czego to krew szlachecką kat wie za jaką sprawę przelewać. Cóż to kogo może obchodzić, iż się szwaby czubią, i szukać tam własnego guza, to dla mnie nie pojęte? — Prawda i to, że tu w naszych chorągwiach tylko nieład i rozpusta, panowie rotmistrze leżnie do niczego, a jeżeli użyją chorągwi, to dla zdobycia jakiego kaduka lub tym podobnej Boże odpuść prywaty. Namiestnicy wypasają się na żołdzie i porcyi żołnierskiej, a czegóż więcej żądać już można od towarzyszy i pocztowych mających takie przykłady przed oczyma?-. A coraz to gorzej, chyba tę plagę Bóg jeden odwróci.... Chociaż to prawda że dyscypliny, posłuchu a rzemiosła wojennego, u obcych nam się chyba uczyć, atoli nie idzie zatem, ażeby własne szeregi opuszczać. Ot kto wie, i nam może się przydać dobry żołnierz niebawem; wypadki poli-

tyczne dziwnie się komplikują, Król Jmć, daj mu Boże najdłuższe lata, ciężką chorobą trapiony.....

Zamilkł Podstarosta i znow zasępił się i zadumał, a potem rzekł stanowczo:

— Ba! kiedy już taka wola, czyń jak się tobie spodoba, a jeżeli masz wracać do swojej armii, to ci się postaram o zwerbowanych, żebyś się z próznemi rękoma nie stawił, bo by to było jakoś nieskładnie. Odtąd więc waszmość przestajesz być moim jeńcem, a teraz pokorny gospodarz suplikuję cię, abyś mu jeszcze dni kilka jako gość darował.

Justek wzruszony do głębi serca, ucałował rękę chrzestnego ojca na znak zezwolenia i rozstali się.

Przez cały dzień Podstarosta, dawny humor, który go od przybycia w dom chrzestnego syna nie opuszczał, utracił, a tylko miną nadrabiał. Lecz że nikogo nie zawiadomił o nowych zamiarach gościa, wieczór, dzięki jego humorowi przeszedł jak zawsze wesoło dla całego domu. Dopiero kiedy się udawano na spoczynek, Podstarosta szepnął do żony:

— Moja panno, nim się udasz na spoczynek, muszę z tobą pokonferować.

X.

Podstarosta, jak każdy prawie szlachcic, za młodu żołnierz, rygor i czujność wojskową w gospodarstwie zaprowadził, i z wiekiem słabnąć im nie dawał: nie było zatem nocy chociażby najsłotniejszej, ażeby przed udaniem się na spoczynek, najmniejszego kącika nie zlustrował, a nie przekonał się o czujności wart, stróżów nocnych i t. d.

Podczas więc kiedy małżonek udał się do spełnienia tej powinności, Podstarościna z niepokojem oczekiwała go w swojej sypialni: wiedziała bowiem iż każda taka konferencya, nieczęsto zapowiadana, miała za powód wydarzenie ważniejsze, radośne lub smutne, atoli zawsze wychodzące ze zwykłego trybu przydarzeń codziennych; dla tego zawsze przed każdą taką zapowiedzianą konferencyą, niepokój i trwoga gnębiły niewiastę, która i teraz zamiast puszczać się na błędną drogę domniemywań i odgadnień, przekładała w modlitwie czerpać siły na przeniesienie złego, jeżeli je los nadarzył, lub udzielenie dobrej rady na wypadek gdy o nią zapytają.

Podstarosta po odbytym patrolu, wszedł cicho do komnaty, tak iż zatopiona w modlitwie Hanna, jego kroków nie słyszała; długo stojąc nieruchomy, zdawał się napawać wdzięcznym widokiem wiernej towarzyszki życia, łaskę Bożą na dom i rodzinę przez modlitwę ściągającą, a w końcu odezwał się:

— Dobrze tak moja Haneczko, kto z Bogiem, On z nim.

Na te słowa, śpiesznie powstając z klęczenia, zbliżyła się do męża, i wzrok badawczy weń utkwiła jakby chciała wyczytać z jego twarzy, czyli ma stać się pocieszycielką smutku, czy powiernicą radości?.. Wszakże nie dostrzegłszy na drogiem obliczu śladów konsternacyi i frasunku, swobodnie wskazane przy nim na sofie miejsce zajęła, a małżonek rzecz zagaił:

— A wiesz panno, że Justek zamierza nas opuścić.

— Tak mu pilno?...

— Ba, ba, a to widzę że chciałabyś z nim, jak ongi, w łątki się bawić, przecie to już mąż dojrzały, a żołnierz, nie siedzieć mu u nas za piecem na gracyi — żartobliwie prawił mąż.

— Stateczny to i porządny kawaler.

— Rad jestem moja Haneczko, że o nim tak dobrze trzymasz.

— A któżby inaczej go sądził. Nieprzyjaciel nawet odda mu sprawiedliwość. Czy też uważa jegomość, jak nasz Kostek do niego się przywiązał,

a jaki się zrobił stateczny za jego dobrym przykładem.

— Czy tylko jeden Kostek do niego się przywiązał? — spytał znacząco Podstarosta.

— Równie jak i dom cały, albowiem przy statku jest wielce krotofilny i uprzejmy dla wszystkich.

— No snać prawdą to jest, iż nie masz prawidła bez wyjątku, gdyż dostrzegam że jedna Joasia nie bardzo go nawidzi, jakby ressentyment czy rankor ku niemu żywiła—wtrącił z ukrytem szyderstwem.

Na te słowa niewiasta, jakby na gorącym uczynku schwytana, zarumieniwszy się wzrok ku ziemi opuściła.

Podstarosta nie ustając w tajemnym zamiarze, dalej ciągnął indygacyę.

— A cóż ty moja panno na to?

— Trudno obwiniać dziewczynę — rozpoczęła z pokorą — że jej tam serce rozgorzało; zapewne lepiej ażeby się bez tego obeszło; lecz taka nasza dola białogłowska, że choć uczuje jaki affekt póki wolna, to z czasem jak jej los innego za wolą rodziców nadarzy, będzie mu wierną, i z poczciwością dochowa do śmierci obowiązki chrześciańskiej matki i małżonki...

Podstarosta spojrzał z miłośną dumą na małżonkę, a potem ozwał się:

— A czemu ma jej los innego nadarzać, a nie tego do którego affekt poczuła?

— To już w tem wola Boga i wasza — odpowiedziała Hanna wznosząc oczy ku Niebu, a po chwili dodała:

— Choć to może nie zgadza się z prawami gościnności, a z drugiej strony żal mi naszego krewniaczka jako kompanii dla Kostka, ale radam jest iż odjeżdża, niech się dziewczyna dłużej nie bałamuci.

— A gdyby takie justum medium wynaleźć, żeby się Joasia nie bałamuciła, a Kostek kompana nie tracił?.. Pomyśl nad tem moja panno.

— Napróżnobym łamała mój słaby niewieści rozum, bo w to bym nie potrafiła.

— Otóż widzisz moja panno, rzecz to jest najprostsza w świecie, i ja rozwiązałem to problema....

Nie dokończył Podstarosta, pomimo że na jego słowa żona całą uwagę wytężyła, a zmieniając ton na obojętny, spytał:

— A cóż wyprawa dla Kostka gotowa?

— Jak zwykle stało się zadość waszym rozkazom.

— A więc z kolei należy pomyśleć o wyprawie dla Joasi; oto jest na pierwszy początek, — co zmówiwszy, worek z pieniędzmi na stole położył.

Hanna otworzyła usta dla zapytania — atoli wtedy jeszcze mężów nie tak łatwo pytano, a zmieniając zapytanie na pokorę, odrzekła:

— Do woli waszej.

— Wiem już co do mojej woli, ale jako twoja rada moja jedyna Haneczko, i cóż ty na to; gdyby Joasię wydać za Justka?

— Tak, ale...... rozpoczęła niewiasta, jednak zakończyła z nieśmiałością:

— Dobrze jest skoro w tem wola jegomości.

— Dorozumiewam się moja panno tego twojego „tak" ale" i dla tego spytam z kolei, czyli pamiętasz jak to przed dwudziestą laty zaprowadziłem cię do mojej chatki na Sudyłkach? Było tam jak było, nie przestronnie, nie obfito, ale szczęśliwie; dwoje starszych dzieci tam na świat nam przyszło, a gdyby i drugich dwoje Bóg tam zesłał, a jeszcze dwa razy tyle, byłoby nam nie gorzej....— powiedział rozczulony małżonek, żonę do serca przyciskając.

— O bo z wami drogi panie wszędzie by mi dobrze było — wyszeptała miłośnie małżonka i uścisk się powtórzył.

— Owóż widzisz nie zły to folwarczek te Sudyłki i wyżyć z niego można, dla mnie zaś o mil parę odległy, jest dziś tylko ciężarem, albowiem rozrywać mi się siam i tam już na starość trudno, a ma się tam obławiać z obrazą Bożą Podstarości, niech lepiej własne dzieci mają z tego pożytek, puszczę im to w dzierżawę z dołu na dogodnych warunkach, niech tam pracują, gruchają, a Boga chwalą. Skoro zaś ja się dorobiłem na Sudyłkach, to i Justek tego samego dokaże, bo to chłop dzielny, a zna rygor żołnierski, to i gospodarz z niego dobry będzie. No a cóż ty moja panno na to? —

— Będę prosiła Boga, ażeby nasza Joasia tyle szczęścia w pożyciu znalazła, ile ja z tobą. Od-

parła niewiasta, i ze łzami radości na szyi męża zawisła.

Długo w noc gwarzyli sobie, i lata młode wspominali, a przy rozstaniu rzekł Podstarosta:

— No a co do Kostka, samaś mu przyszłość wskazała, bo nim wyprawę Joasi przygotujemy i gniazdko dla młodych uścielę, musi mi przyszły pan zięć tego szaławiłę Kostka w wojsku cudzoziemskiem instalować.

— Mój jedyny drogi panie! kogo Bóg poddał pod taką wolę jak wasza, już swojej własnej mieć nie potrzebuje.

Temi słowami zakończyła niewiasta konferencyę, z uczuciem przyciskając do ust rękę małżonka.

Od tej rozmowy, Podstarosta zawsze czynny i ruchliwy, jeżeli to być mogło, coraz czynniejszym się stawał, ze starym Jazłowskim i swoim faworytem Grzesiem, sam doglądał jakichś nadzwyczajnych przygotowań, ujeżdżano konie, odnawiano siodła, szyto wiuki i mantelsaki, broń czyszczono i ostrzono, słowem gotowała się jakaś wyprawa, do której prócz dwóch pomocników, nikt niebył wtajemniczony.

Przez czas kiedy gospodarz domu potajemne przygotowania czynnie a gorliwie prowadził, Justkowi pobyt u Podstarostwa, wprzód jako przymusowy jeńca wojennego, teraz w charakterze gościa uproszonego wcale się nie przykrzył: od rana już Kostek stawił się w gotowości i przystępywano

do musztry, którą ochotnie ekskomendant odbywał, raz ażeby pola nie zaleźeć i ręki nie ociężyć, czego przy żołnierskiem rzemiośle wystrzegać się należy, a powtóre, iż znalazł pojętnego ucznia, który wkrótce po pierwszych egzercycyach fantazyę nauczyciela zagrzewał; z ochotą tedy od rana do samego obiadu to ewolucye bojowe odbywali, robili bronią, strzelali do celu, to krzesali się w pałasze, fechtowali na espadrony i t. p. Podstarosta nieraz zeszedłszy ich niby znienacka na tej zabawie rad się przyglądał, a niepostrzeżony od syna, wodził za nim wzrokiem satysfakcyi pełnym. Nie raz też na uboczu Justka na pozór obojętnie zapytał:

— A co tam myślisz waszeć, czyby mój Kostek przydał się u was na jakiego tam ciurę.

— Ej to już discipulus supra magister, powiem jegomości ojcu na parol żołnierski, że nie jeden generał Kostkowi nie dorówna, to prawdziwa satysfakcya mieć takiego żołnierza pod komendą.

— To chyba w łaskawych oczach waszych, odpowiadając z udaną obojętnością zmawiał, tymczasem w duchu uradowany ojciec — Hm! hm! widno takie już jego powołanie żołnierskie; i cóż w rzeczy byłoby gdyby wszyscy ludzie do jednego rzemiosła sposobili się.

Jeżeli ranek szybko schodził Justkowi na praktykach żołnierskich, wieczór w kółku tej nowej rodziny jeszcze mu był pożądańszym, tam go bowiem oczekiwała miła zabawa, a milszy jeszcze

widok Joasi, którym do syta się napawał. Nie raz zabiło silniej serce w piersi rycerskiej na myśl rozstania, i dziewczyna, jakby odgadując te nieme trwogi młodzieńca, rumieniła się to bladła, i na tem w szlacheckich dworkach kończyło się na ówszas ono kochanie, z którego za naszych czasów postępu, jednym machem parę tomów wypływa z pod pióra — *mutantur tempora!*

Po dniach kilku onych przygotowań, Podstarosta, ze służebnym niosącym za nim jakiś zwitek, wszedł do gościnnej izby Justka, właśnie w chwili kiedy ten po umyciu miał wdziewać na siebie suknie; ekskuzował się jak umiał, iż tak się ojcu chrzestnemu przedstawiał, lecz ten wesoło zagaił:

— A właśnie chciałem waćpana zejść w takim momencie, ażebyś mi ten oto strój przymierzył.

Służebny rozkładał suknie na stole, i do przyodziania gościowi chciał dopomagać, lecz ten go uprzedził, i w jednej chwili stanął przed ojcem chrzestnym w granatowym kolecie z amarantowemi obszlegami, przy którym o dystynkcyi wojskowej, szlifie na jednem ramieniu nie zapomniano; w spodniach łosiowych, bótach palonych węgierskich, a biorąc od służebnego podawaną czapeczkę z czaplim piórem, trzymając w ręku, przed Podstarostą w głębokim pokłonie pochylił się, a nie śmiejąc słowami, pytał pokornym giestem co to wszystko znaczyć miało?

Miasto odpowiedzi, Podstarosta biorąc z rąk służącego pałasz zamaszysty, na złoconym pendencie, do boku mu przypinał.

— Owóż mości synu jest uniform nowej twojej kompanii, którą ci zwerbowałem, a kaducznie w nim wasze po marsowemu wyglądasz—przemówił, klepiąc po ramieniu i zaraz dodał:

— No a może zechcesz zlustrować komendę czekającą na pana Szefa w gotowości.

Po tych słowach, wziąwszy gościa pod rękę wyprowadzał z izby; skoro stanęli w ganku, zdziwiony Justek oczom swoim nie wierzył, bowiem nieopodal od domu, na dziedzińcu stało uszykowanych czterech jezdnych: na przodzie Kostek, za nim Grześ obaj w podobnych do komendanckiego uniformach, tylko bez szlify, oznaki oficerskiej godności; dalej stary szwab, który pomimo obfitości materyałów tak rzemieślniczych jako i gardlanych, dawnego komendanta opuścić nie chciał, wszakże pomimo ochoty munduru zmienić nie mógł, twierdząc iż bez równowagi harcapa i harbejtla na konia wdrapać się nie mógł. Wszyscy zbrojni jednakowo; zręczny karabin, przytroczony do siodła, w olstrach po parze pistoletów i miecze przy boku. Skoro ukazał się pan komendant, po wojskowemu go salutowano, luzak zaś zeskoczył z konia, a tak swojego, jak i drugiego owiuczonego dawszy do przytrzymania szwabowi, podprowadził do komendanta pięknego tureckiego bułanka, w rząd bogaty osiodłanego.

Justek zapomniał o wszystkiem, a poczuł odżywający w sobie dawny animusz wojskowy, i jednym skokiem na koniu się ocucił, zażył go zaś umiejętnie, bo chociaż służył Prusakom jako piechur, lecz jazda konna, to już we krwi szlacheckiej leżała — i zaraz tedy zakomenderował; zwinął, to rozwinął swój orszaczek jakby liczne wojsko, a zdziwił się niepomału jak wszystko pojmowano, i wykonywano bez uchyby, a zwracając się do Kostka, tuż przy nim jadącego, ozwał się:

— A to już nie kto inny tylko waść panie bracie ludzi tak wyszkoliłeś?... z prawa mi przynależnego, awansuję cię na podoficerą!

W sercu ojcowskiem, pierwszy ten choć za rychły awans syna, odbił się objawem połechtanej ambicyi, której jednakże po sobie nie okazał jako rodzic surowy. Atoli matka przyszywając po skończonej mustrze galonek do rękawa synowskiego, łzami go radości i dumy oblała. Cały dwór przytomny ewolucyom wojskowym wydziwić się im nie mógł, a biedna Joasia musiała dobrze trzymać oczęta, żeby z pod powiek za rycerzem nie pogoniły.

Skoro zsiadł z konia, a przestał być komendantem, Justek, rzucając się do nóg Podstaroście, ze łzami powiadał:

— Jegomość panie ojcze, a mój najszczególniejszy dobrodzieju! i któryż jest dom rodzicielski, ażeby syna własnego tylu dobrodziejstwami osypał, i czyli jedno życie starczy na wdzięczność.....

Nie dał dokończyć starzec, a podnosząc go i w głowę całując, odparł niby rubasznie.

— Chyba waść nie wiesz co powiadają: iż nie masz karesu bez interesu; proszęż cię tego mojego ladaco Kostka trzymaj w dobrych ryzach, a za pierwszym nieposłuchem lub krnąbrnością, prawem militarnem choć go rozstrzelaj, a za złe ci mieć, i pewno płakać po nim nie będę.

A zwracając się do syna i wskazując na Justka, dodał surowo:

— Oto jest dla waćpana nietylko komendant wojskowy, ale zarazem drugi ojciec, alter ego, na którego moją władzę nieograniczoną przelewam i bezwarunkowe posłuszeństwo dla niego pod błogosławieństwem nakazuję.

Syn nogi ojca w pokorze ucałował. Komendant zaś chwyciwszy Kostka w objęcia, zawołzł:

— Spodziewam się iż będziemy braćmi, a razem spełniając ściśle powinność rycerską, w zgodzie do śmierci dotrwamy.

Justek, chociaż tam para pięknych oczów do miejsca przykuła, jednak zwlekać mu dłużej z wymarszem nie wypadało, bo i Kostkowi na świat wyrwać się było pilno; — zatem tegoż wieczora, o zamiarach rychłego odjazdu gościnnego gospodarza zawiadomił; ten zaś na to:

— O! już to wiedziałem, że z wami wojskowymi to jak z koniem, co pot poczuje i rwie się; już asindziejowi wojaczka zapachła. A no kiedy tak, choć z przykrością, ale rozstać się trzeba. Owóż

tak jutro tu na noc przyobiecał mi bytność O. Gwardyan z konwentu Kobryńskiego, a po jutrze rozpoczniecie z Bogiem, i niech On was w łasce swojej prowadzi; radziłbym na nocleg do Kobrynia, bo nim konie się wdrożą, nadużywać nie wypada, a ja tam was przeprowadzę i zanocuję z wami, chcę obejrzeć jak to z miejsca pójdzie. Muszę waszmość z nową komendą oznajmić; masz dobrych ludzi, nie mówię o Kostku, to szaławiła i w ryzach go trzymać musisz, lecz zda mi się jak proch poczuje to się wdroży, bo mu wojaczka najlepiej ze wszystkiego przystaje do smaku. Grześ dobry myśliwy, a strzelec nie lada, wojny zaś ciekawy, sam się prosił na ochotnika razem z młodszym bratem Jankiem; ten nim się ostrzela, będzie wam tymczasem luzakował. Obadwaj dobrej krwi, synowie mojego starego Jazłowskiego, który prawie urodził się w obozach, więc to dzieci żołnierskie. Zatem przyznaj waść, iż to nie lada jaki werbunek.

— Zapewne, że z łaski ojca jegomości takiego żadna jeszcze armia na świecie nie widziała, bo i konie, rynsztunek i wszelkie zapasy; a co za chłopaków to już się nie powstydzę.

— A widzisz waćpan jaką to ja mam rękę do werbunku, i dla tego jeżeli byś kiedy chciał sobie zwerbować jaką poczciwą towarzyszkę życia, to mnie tylko weź za werbownika, a za sukces ręczę — znienacka zagadnął Podstarosta patrząc mu łaskawie w oczy.

— Nowy to a niewątpliwy dowód łaski jegomości ojca i dobrodzieja mojego, który życiem całem opłacić nie zdołam—odpowiadał rozrzewniony Justek, pochylając się do kolan ojca chrzestnego, a dalej ze smutkiem ciągnął.—Kula to żona dla żołnierza, a grób, jego małżeńskie łoże; nareszcie żołnierz ma tyle ziemi co pod stopami, gdzież więc żonę zaprowadzi? —

— To według waćpana logiki — odpowiedział niby zagniewany gospodarz — naprzykład Książe Wojewoda Wileński, który w miesiąc swoich posiadłości nie może objechać, powinien się zbisurmanić, i niezliczoną moc żon nabrać; nie mający zaś własnej ziemi, ma jakby mnich żyć w bezżeństwie i sterilisem schodzić ze świata; a zkądżeby u djabła drobna szlachta, towarzysze i szeregowcy brali się? Któż nie był i nie będzie żołnierzem w potrzebie, ale żadna przecie wojna nie trwa wieki, pobiją się i kiedyś taki przestaną, bo inaczej świat by się skończył. Idźże teraz powojuj tam jeszcze, nie masz bowiem całkowitego abszytu, i za dezertera gotowi cię poczytać; zapewne żeby cię może nigdy nie znaleźli, ale zawsze to nie pięknie, a wracaj tu do mnie, ja ci stateczną panienkę wyswatam..... Cóż ty na to? dodał nie odbierając odpowiedzi.

I na ten raz Justka żołnierska rześkość opuściła, ledwie piąte przez dziesiąte jakieś nieskładne frazesa wdzięczności bąkał.

— To już chyba waćpan masz coś upatrzonego na świecie, a może tam jaka grafini lub baronówna niemiecka? — badał nielitościwie Podstarosta.

— Żartuje sobie ze mnie ojciec jegomość, niemki nie dla nas, a gdyby tam serce i skłoniło się ku jakiej szlachciance, zawsze powinność zmusza nakazać mu milczenie — odpowiadał Justek z goryczą.

— Ano to dobrze, ale inni za ciebie mówić mogą; spodziewam się że nie odmówisz zaszczytu ojcu chrzestnemu, obrać go za swata.

— Nieśmiałbym utrudzać tem jegomości ojca, a do tego może jeszcze na rekuzę narazić.

— Czyż to przyszła bohdanka tak daleko, sto mil czy co, hę?....

— Nie tak daleko, ale.....

— Więc może w tej okolicy?.. zaczynam zgadywać; primo: jmć panna Joanna Janikowska Podstarościanka Kobryńska.... Co nie ta?.. to....

Justek jak długi do nóg mu się rzucił, Podstarosta podnosząc go, i rozczulony tuląc do serca powiadał:

— Nie tylko dobry z ciebie żołnierz, ale zacny i stateczny mąż, nie uszło to bowiem mojej uwagi, żeście wzajemnie z Joasią do serca sobie przypadli; lecz twoje poczciwe względem niej zachowanie, baczenie na cześć i spokój gościnnego a przyjaznego domu powinowatych, mnie starego za serce schwyciło, i nabrałem tej konwikcyi, że córki w lepsze ręce powierzyć nie mogę, osobliwie

iż wspólny afekt wzajemnie was ku sobie pociąga. Idźże chłopcze, wojuj tam szwaby, tylko pamiętaj łba bardzo nie nadstawiaj, bo mi się dziecko zapłacze, a da Bóg wrócisz cało, pobierzecie się; ona będzie tam coś nie wiele miała, a przy statku i pracy, których po tobie nie napróżno się spodziewam, nie zginiecie. A widzisz mości werbowniku, żem i ja nie gorszy, bom z werbownika zięcia sobie zwerbował. Wszakże późna to godzina, idź śpij spokojnie i niech ci się przyśni Joasia razem ze szczerem błogosławieństwem waszego ojca. Zakończył wesoło Podstarosta, i dziękującego u nóg przyszłego zięcia gorąco uściskał.

Nazajutrz Podstarostowie solennie przyrzekli Justkowi rączkę zapłonionej, ale tą razą i szczęśliwej Joasi i radość była wielka pod tą bogobojną a gościnną strzechą.

W dzień zaś na wyjazd naznaczony, Xiądz Gwardyan konwentu O. O. Bernardynów z Kobrynia, w domowej kaplicy odczytał mszę świętą, przy której Justek razem z oblubienicą, z rąk kapłana i przyjaciela domu otrzymali komunię świętą i poświęcone obrączki; za nimi cała rodzina i domownicy na intencyę narzeczonych do stołu Pańskiego przystępowali.

Trudno przypuszczać ażeby podobna okazya w one czasy kiedy jeszcze tajemniczych godów na angielski sposób nie znano, obejść się mogła bez uczęstnictwa braci szlachty, przynajmniej z sąsiedniej okolicy; stąd tedy uczta przy obfitości

stała się ochoczą, a każdy rozweseliwszy się zapomniał, iż biesiada to była pożegnalna, oddalająca matkę od jedynaka, a oblubienicę od oblubieńca nie wiedzieć na jak długo. Iż gospodarzowi animuszu gości przerywać nie przystało, a z drugiej strony, ażeby marszrutowi wojskowemu zadość uczynić, dopiero późnym wieczorem przy świetle księżyca, na przebycie małej milki na dzień ten przypadającej poczt Justka wybrał się. Cała kompania razem z gospodarzem oświadczyła się z gotowością przeprowadzenia rycerzy, których tak rynsztunkowi przyzwoitemu, jak i militarnej prezencyi wydziwić się nie mogli.

Nie poprowadzimy czytelnika ani w pochód, ani na wojnę, co zresztą i nas samych po za kres tego pisania dalekoby zaprowadziło; a więc jeszcze czas jakiś pod strzechą Podstarosty pozostaniemy.

Po odjeździe Fedorowicza, dom znacznie posmutniał; lecz obie niewiasty, matka z córką, tem się pocieszały w frasunku, iż uzyskały prawo wspólnego opłakiwania i wyczekiwania nieobecnych — każda swojego: a lżej im było na sercu, bo chociaż łzy zawsze cierpkie, ale tajone więcej mieszczą w sobie goryczy; i Podstarosta powróciwszy z pierwszego noclegu krzepiąc się niby na pozór, jakoś osowiał, — i zadumał się głębiej, bowiem już dwóch synów na raz myślą obejmował; niewiadomo zaś po którym więcej tęsknił, bo mu chrzestny szczególnie przypadł do smaku. Wszystko troje, kryjąc się wzajemnie przed sobą, nie raz

całemi godzinami na jedyną drogę wiodącą do dworku poglądali. Wszakże nakoniec wszystko zanurzyło się w pracy, i obowiązkach domowych, a weszło w karby codziennej powinności i czasem tylko skryte czyjeś westchnienie, o tem niezmierzonem przez czas oczekiwaniu napominało.

Od wyjazdu rycerzy, rok trzeci miał się już ku końcowi, a choć każdy we dworku w dawne karby powinności wszedł, jednak tajemnej tęsknoty nie pozbył: a Joasia blada i frasobliwa, poglądała na gotową wyprawę i napróżno wieści od wojujących wyglądała. I nie dziw, bo wieści na ten czas nie miały dróg przetartych jak dzisiaj. Czasem tylko Lejbka lub dyspozytor powzięli języka w miasteczku, że tych lub owych pobito, albo że zwyciężyli; ale tyle ludów w tej wojnie udział brało, że z pobieżnych wieści, coś stanowczego wyplątać było trudno. Cała zatem otucha tęskniących była w modlitwie, azali rychłego powrotu oczekiwanych u Boga nie wyproszą. Atoli już i wojna się skończyła, i o zawartym w Hubertsburgu traktacie pewne rozeszły się wieści, a wojowników napróżno wyglądano. Podstarosta do modlitwy o rychły powrót i ocalenie dodał sobie formułkę, którą w tajemnicy przed kobietami z piersi żalem tłoczonej wydobywał:

— A jeżeli inną była Wola Twoja o Panie, daj im wieczne odpocznienie.

Niekiedy na osobności zetknąwszy się ze starym Jazłowskim, który także dzieci na tę wojnę

posłał, szukał u niego pociechy, lecz i tam jej nie najdował, bowiem stary żołnierz z punktu filozofii obozowej rzecz tę traktował mówiąc:

— Ha, od czegóż wojna jegomość, żeby jedni cało wychodzili, a drudzy ginęli? — Kto tam wie gdzie licho siedzi, kiedy czasem i za piecem spotka; jeżeli Bóg ich zachował, to powrócą, a jeżeli zginęli, to poproszę O. Gwardyana skoro tu przybędzie, o mszę żałobną za ich dusze. Wszak kiedyś jeżeli sami dożyjemy, musi się to wyklarować, rozumem zaś nic człek temu nie zaradzi, i trzeba się zgodzić z wolą Boską.

Napróżno już mieszkańcy dworku szukali w modlitwie, samych sobie i ludziach pociechy, i tylko udanym spokojem nawzajem się zwodzili. A tu jeszcze serce rodzicielskie Podstarostwa zakrwawiała tajona tęsknota Joasi, nikło bowiem i marniało biedne dziewczę na oczach. Już niekiedy Podstarosta wyrzucał sobie swój pośpiech zmawiając w duchu:

— Ba! Justek dobry chłopak, ale zawsze pośpieszyłem ze zrękowinami, bo to dziewka sobie głowę sentymentem nabiła, a jemu tymczasem wojaczka pachnie.

Nakoniec we trzy lata od onego ataku werbowników na dworek, tak pokojowo ukończonego, a niemal dzień po dzień, bo także we żniwo, kiedy w porannych godzinach Starosta doglądał robotników, ku tej samej bramie, którą parę lat temu przed atakującymi na rozcież utwarto, zdążał

leniwo jednokonny wózek, przed którym gościnne podwoje znów się rozwarły; gospodarz zaś przysłoniwszy dłonią oczy, napróżno silił się przybywającego rozpoznać, a mruknąwszy sobie:

— Hm! któżby to w czas taki roboczy, chyba braciszek po kweście? —

Pośpieszył na ganek, uświęcone zwyczajem stanowisko do witania gości. Szkapa choć przynaglona razami woźnicy, ale znużona, lazła powoli, tak że przez ten czas Podstarosta wpatrzywszy się lepiej, mieniąc się na twarzy, mówił z niespokojem:

— Czy to być może?—czy mnie wzrok myli? —

Po tych słowach nie czekając dłużej na ceremonialny podjazd, opuścił gospodarskie stanowisko i na środek dziedzińca wybiegł na spotkanie wózka, na którym w peruce i z harbajtlem, on stary szwab, amator szewskiego rzemiosła i sznabsa, miejsce woźnicy zajmował, a na samym wozie słomą usłanym leżał Justek, do niepoznania zmieniony, prędzej umarły niż żywy.

Nim Podstarosta z piersi trwogą uciśnionej głosu wydobył, już kobiety dojrzawszy przez okno, a na czele ich Joasia, a drżące, blade i łzami zalane, wózek otoczyły.

Matka z niespokojnym wyrazem rozpaczy, załamując ręce, wymówić nie śmiała zapytania, obawiając się zabójczej odpowiedzi. Odgadł to przybyły, i o ile mu siły pozwalały wspierając się na ręku, szybko powiedział:

— Kostek zdrów, objął po mnie komendę i nawet wyżej awansował, do nóżek waszych się ściele.

Biedna matka w połowie odżyła i już tylko żałośnie spoglądała na przybranego syna; ten zaś postrzegając Jazłowskiego między zebraną dwornią stojącego, do niego słowa pociechy zwrócił:

— Wasze chłopcy także Bogu chwała zdrowi, odznaczyli się oba; starszy lejtenantem, a młodszy podoficerem; wszyscy ocaleli, na mnie się jakoś zmełło.

— Kat wie w jakim młynie i na jaką mąkę choćby przynajmniej w dobrej sprawie—machnąwszy ręką wtrącił Podstarosta.

— A mówiłem jegomości, że we wszystkiem wola Boża, a ludzki rozum nic tu nie dokaże — mruczał filozof obozowy Jazłowski.

— Bogu się podobało powrócić mi ciebie, a serce mi mówi, że u Niego zdrowie ci wyproszę! — Szeptała zaledwie dosłyszanym głosem Joasia czepiając się wozu, a te miłośne wyrazy, jakby balsam cudowny rumieniec na bladą twarz chorego wywołały.

Szwab tymczasem z wozu wydobywczy się, do ucałowania ręki Podstarosty przystąpił.

— O ty biedaku! a to co? zawołał czule Podstarosta, dostrzegając iż jedną nogę szczudłem miał zastąpioną.

— Oszczędzili mi obuwia i pracy, bo co jeden but to nie dwa — odpowiedział starzec stoicznie.

Zaraz tedy kobiety, jako wprawne do postępowania z chorymi, Justka z wozu dobyły. Czyli dodawać potrzeba, że pierwsze między niemi miejsce trzymała Joasia?

Skoro Podstarościna z Gregorowiczówną po bliższem opatrzeniu Justka, stanowczo zawyrokowały o niebycie wszelkiego niebezpieczeństwa, a nadto rychły powrót zdrowia swoim kunsztem lekarskim poręczyły, i smutek przeszedł a w radość się zamienił. Dla większej pewności Podstarosta zaraz wyprawił Jazłowskiego do konwentu O. O. Bernardynów Kobryńskich z prośbą o Xiędza, ażeby na intencyę chorego, codziennie mszy w kaplicy domowej słuchano.

Szwab teraz o jednej nodze, zasiadł jak dawniej przy warstacie na dni sześć, a siódmego także nie próżnował, bowiem ręce i gardło mu nie szwankowały.

A więc ze strony przybyłych jedna tylko radość w dom weszła. Drugie jeszcze trapiło potajemnie serca rodziców, co raz Podstarosta w konferencyi z małżonką wypowiedział:

— A powiedże moja panno, czy nie należało Kostkowi wrócić? —

— Sam go przecie jegomość posłałeś; niedziw że tentuje dalej wojskowej karyery—odparła nieśmiało małżonka.

— Już to moja Haneczko nie broń sprawy twojego jedynaka, bo przegrasz z kretesem: wojna skończona, nie ma co robić, szczególniej że w stop-

niu oficerskim snadno byłby przyjęty do której chorągwi, czy do cudzoziemskiego autoramentu, snać mu nie pilno do starych rodziców i rodzinnej strzechy; a co najgorsza, to taka obojętność dla kolegi i już prawie brata, któremu tyle zawdzięcza — i takiego opuścić w chorobie!... bo ot powiem czego się dowiedziałem, że biedny Justek dogniłby tam w niemieckich lazaretach, gdyby nie to poczciwe szwabisko, który nie opuścił dawnego komendanta, a jakąś tam odrobinę z łupów wojennych uciuławszy, kupił za to konia i wózek i tu go przywiózł..... Zacne niemczysko!.. choćby miał mi wypić całą gorzelnię, pewno mu nie wzbronię. Zakończył z zapałem; smutnie zaś kiwając głową, dodał:

— Ale co z pana syna nie spodziewam się pociechy; bogdajbym był fałszywym prorokiem, lecz widzi mi się, iż przybrany Justek będzie lepszym od rodzonego.

Ledwie parę tygodni od przybycia rannego minęło, a już znajomość sztuki lekarskiej domowych niewiast, rozumie się, przy pomocy mszy przez wielebnego O. Serafina z konwentu Kobryńskiego, odprawionych, przyniosły znaczną ulgę w stanie chorego; Joasia mniemała także, iż jej przytomność i starania, niemało się do tego przyczyniły;— ale chory widocznie odzyskując zdrowie, stał się na nowo duszą i ożywieniem rodziny, i nim zima nadeszła, już i Joasi znów po dawnemu różyczki na licach zakwitły, cały dom się rozweselił —

tylko ojciec i matka, dzieląc na pozór ogólne wesele, smutne myśli w głowach snowali.

Minęło dość czasu, a nakoniec zbliżały się zapusty, a biedny ranny do życia i sił wrócony, uczuł dopiero brak oporu na szerokim świecie i ujrzał, że przez młodość na wojaczce styraną, nic nie zdobył. Widział przed sobą oblubienicę pełną wdzięku, i miłości, sam pałał ku niej gorącem uczuciem, ale ujrzał się na raz bez strzechy i domu, a co gorsza bez przyszłości.

— Gdybyż przynajmniej, myślał nieraz, wojna, mogłoby się człowiekowi poszczęścić, zdobyć łup jakiś?.. A tu jak natoż pokój i na całym świecie miecze do pochew złożyli.... W sile wieku być na łasce ludzi?..

Gubił się w tych myślach młodzieniec, a smutnieć i niknąć zaczął; i już mimo wysileń, dawnej jowialności i humoru obudzić w sobie nie mógł; a próżno szczebiotała Joasia, starając się oblubieńca ożywić.

Wszakże zamiłowany w chrzestnym synaczku Podstarosta, wszystko czujnem okiem obejmował. Raz tedy zszedłszy go na osobności, tak rzecz zagaił:

— A cóż synaczku, kiedy ci się dziury załatały, czas by o nowych pomyśleć; ano dokąd teraz pójdziesz wojować? —

— Podobno Hiszpanie.... rozpoczął nieśmiało zagadnięty.

— Cha! cha! Czemu nie Abisyńczykowie, Chińczykowie etc. Co to u nas w tych młodych głowach się roi? A widzi się wam iż to jednemu żołnierzowi odwaga i męztwo potrzebne; a ja waści powiem, że do bitwy niekiedy chcesz czy nie chcesz, sam cię koń na szeregi nieprzyjacielskie poniesie, a choćby tam dusza wskoczyła na ramię, to jeszcze oględniesz się na wstyd ludzki, i na tysiące oczów na cię skierowanych — otóż to wojna. Nie mówię ja kiedy powinność obywatela cię wzywa, toć przynajmniej wiesz za co narażasz się i giniesz; atoli wojna jako rzemiosło, jak się to teraz praktykuje, to djabła warta, nająłeś się, to się bij, a niezdatny jesteś, to giń, będzie drugi. A czyli waść myślisz, iż to życie niejest bojowaniem i silną utarczką z przeciwnościami i losem, a gdzie człowiek zawsze musi trzymać podjazdy, ażeby go czujny nieprzyjaciel zła dola nie schwyciła, i jego armię najdroższą jakiej żaden wódz nie posiadał, bo żonę i dziatki nie rozbiła lub w jassyr nie zabrała. Owóż chcę waści jeszcze na polu tej strategii wypróbować; krótko mówiąc, dał Bóg dobry urodzaj w tym roku, wyprawimy sobie zapusty, i wy z Joasią pobierzecie się za parę niedziel, skoro tylko wyjdą zapowiedzie.

Justek całując dobroczynną rękę ojca, widocznie chciał argumentować, lecz ten na pozór gniewnie przerywając mu prawił:

— Tu mosanie nie pruska armia i waść nie jesteś komendantem, a dziewkę mi zbałamuciłeś,

więc ją sobie zabierz, a jeśliś o wojnę chodzi, to będziesz ją miał z gospodarstwem, robotnikami, etc., a choć tam ran i stopni nie zdobędziesz, ale nie raz cię głowa zaboli. Bądź spokojny iż darmo jeść chleba nie będziesz, masz parę folwarków o kilka mil jeden od drugiego, a wszędzie musisz mi się sprawić, bo ja nabojowawszy się z tem w życiu, chcę sobie odpocząć.

Jak tedy powiedziano tak się stało i w zapusty sute weselisko Podstarosta córce wyprawił. Jeszcze radość wzrosła, bo Grześ z bratem opuszczeni przez swego panicza, który w świat niewiadomo gdzie powędrował, a zatęskniwszy za starym ojcem, do domu wrócili. Stary wojak pomimo obozowej filozofii, dziećmi dość się nacieszyć nie mógł. Jeden tylko Podstarosta, taił w sercu boleść i gniew, iż syn go nawet nie zawiadomił listownie o dalszych zamiarach.

Zwierzając zaś boleść swoją zięciowi, był głuchym na wszelkie perswazye.

— Zda mi się że Bóg w tobie zesłał mi syna, tamten bowiem dla mnie stracony. Przemówił ze łzami głowę Justka do piersi tuląc.

XI.

Zaiste żadne panowanie świetniejszych nie miało początków, lepszej nie rokowało przyszłości, jak Stanisława Augusta. Zaledwie we trzy miesiące po elekcyi na sejmie koronacyjnym (3 Grudnia 1764 r.), Warszawa zajaśniała jakby stolica całego świata. Był to może jeden z liczniejszych i okazalszych sejmów z całego panowania; mniemani bowiem *Piastowie* niedawni jeszcze pretendenci do korony, zaniechawszy rankoru do szczęśliwszego od siebie elekta, lub utaiwszy niechęć do pierwszej lepszej sposobności, zbliżyli się do tronu, który tyle przedsiębiorąc reform i ulepszeń, świetną przyszłość dla dobra kraju zapowiadał, inni nie mający roszczeń ambitnych, ściągali się ażeby zawiązkom wielkich dzieł się przypatrzeć; nakoniec magnaci radzi byli okazyi, ażeby zajaśnieć bogactwami i przepychem; inni ściągnęli za drugimi, jak to się zwykle po owczemu, a co prawda i po człowieczemu dzieje i wszystko do uświetnienia sejmu przyczyniło się. Bowiem nietylko

szlachta i magnaci tłumnie zgromadzili się, a nadto rozgłos przedsięwziętych zmian i ulepszeń wielu, jako to : organizacyi wychowania publicznego, upiększenia miasta i innych reform zaprojektowanych, wielu cudzoziemców, a między nimi ludzi znakomitych do stolicy ściągały. Najwięcej reforma wojskowa, i przygotowujące się założenie szkoły rycerskiej zwabiły cudzoziemskich wojskowych różnych broni i stopni. Że zaś po niedawno ukończonej siedmioletniej wojnie na pokój się zanosiło, wszyscy tedy czyniący z wojny rzemiosło, jakich się wielu w on czas spotykało, ku otwierającej się karyerze pośpieszali. Zatem prócz krajowców, ulice Warszawy pstrzyły się od przeróżnych mundurów.

Dobrze po północy, kiedy już dawno czapstrzyk otrąbiono, i gaszenie ogni z wież miasta obwołano, a w rzeczy nikt z bogatych rozkazu wykonywać niemyślał, bowiem kolebki i karety, to wyczekiwały przed znaczniejszemi domami na rozbawionych panów, lub już ubawionych przy blasku licznych pochodni do snu rozwoziły—w oddalonej stronie miasta na jednej z ciasnych a licznych wtedy uliczek, które sprawiedliwiej przesmykami nazwać by można, gdyż zaledwie dwaj piesi minąć się tam mogli. Przy teraźniejszej słotuej porze, uliczka o której mowa, pozedstawiała jedną dużą cuchnącą kałużę, na której odbijało światło latarni, a niosący ją, wyszukując starannie rozrzuconych wcale nie symetrycznie kładek,

ze służalczą pokorą, oświecał je jak umiał najlepiej dla postępującego za nim, snać swojego pana. Doszli już w ten sposób do środka kiedy naprzeciwko na kładce, którą właśnie latarnik miał dla pana oświecić, ukazał się inny przechodzień. Latarnik mimo woli w tył się cofnął, tak iż dążący za nim snać zamyślony, spotknąwszy się o niego omal z kładki nie potoczył się w kałużę, lecz odzyskująo równowagę, stanął mocno na nogach i gniewnie zawołał:

— Ośle do niczego, nawet przyświecać nie umiesz.

— Ktoś idzie naprzeciwko i nie ustępuje z kładki.

— Ano ty tam, precz z drogi! — zawołał pan, a po chwili widząc iż przejście zawsze zatamone, surowiej wykrzyknął:

— Nie słyszysz trutniu, z drogi!..

— A ty pszczółko, jeżeli niechcesz na trutnia trafić, to siedź cicho w ulu, i nie włócz się po capstrzyku; droga zaś tak dobrze moja jak i twoja.

— A pchnijże mi tego śmiałka w błoto i idź dalej — zagrzmiał z rozkazem do sługi głos drżący od gniewu.

Latarnik zamierzył się na przechodnia drągiem — lecz nim miał czas go spuścić, sam własną bronią przez przeciwnika zręcznie wychwyconą, dostał parę silnych razów po głowie, tak iż z jękiem w kałużę się powalił i błotem własnego pana obryzgał.

— Jaż cię nauczę ladaco rozbijać po ulicach, wrzasnął pan zajadle i z dobytą bronią na przechodnia rzucił się, lecz miasto trafić w niego samego jak zamierzał, trafił na inną broń, która o jego odbiła, i jakby tem zdziwiony, stanął nieruchomy na miejscu i mruknął do siebie:

— Jakiś oficer cudzoziemski bo przy szpadzie.

— Taki zapewne jak waszmość, który także nie przy pałaszu — odburknął w podobnym tonie przeciwnik.

— Racz waszeć cofnąć się na odwrót te kilka kroków do końca ulicy, i dać drogę bo mi pilno— miarkując niecierpliwość ozwał się po chwili pierwszy.

— A kto waszeci powiedział, że mnie nie pilniej? nareszcie stoimy po środku przesmyku, i obydwóm nam jedna droga,

— Mnie cofać się nie nauczono, burczał gniewnie pierwszy.

— A mój dziad i pradziad tego nie umieli, zkąd więc ja mam umieć?

— Nakoniec skończyć się to jakoś musi! —

— Tak jak wszystko na świecie i sam świat jak powiadają.

Nastąpiło milczenie; wszakże przez ten czas oczy przeciwników przebijając ciemność nocy, śledziły wzajemnie za swojemi ruchami, azali w nich podstęp jaki nie ukrywał się.

— Skoro waszmość tak twierdzisz, więc ażebyśmy tu końca świata nie oczekiwali, poprobujemy

naszych szpad, czemu tem bardziej rad będę, że broń ta dotąd mało znana, i odkąd jestem w Warszawie zażyć jej nie miałem okazyi; pod tą atoli kondycyą, iż pierwszy pleyzerowany drugiemu miejsca ustąpi. A jeżeli wola, dobędziemy tego ciemięgę mojego sługę z błota, niech nam przyświeca; jednako jakby na szczęście padając latarni nie zgasił. Ozwał się pierwszy tonem wcale nie gniewnym, a niemal uprzejmym.

— Do usług waszmości — odparł drugi kłaniając się z galanteryą.

I obaj jak mogli jęli pomagać nieszczęsnemu latarnikowi do wydostania się z kałuży; poczem ustawili go na uboczu w bramie jednej kamienicy, i przymocowaną do drąga latarnią przyświecać sobie rozkazali.

Po przyjętych ceremoniach, i rycerskim zwyczajem uświęconych pokłonach, bój się rozpoczął, a po równym szczęku wzajemnie odbijanej broni, znać było wprawnych graczy. Po kilku minutach szermierki, pierwszy jak to ówcześni czynili, szczególnie kiedy bój z fantazyi, a nie dla urazy toczono, ozwał się z galanteryą.

— Wybacz waszmość iż miałem nieszczęście dotknąć go.

— Ja także proszę waści o ekskuzę, wnet za nim drugi przemówił, i obaj opuściwszy broń krok wstecz cofnęli się.

— A niechże waszmość Bóg sekunduje, co to za wyborna włoska *riposta.* Przecie to przez lat

pięć uczęszczałem w Paryżu do szkoły sławnego fechmistrza d'Ambroisi, i niewiem czy przez ten czas napotkałem dziesięciu ten sztych tak dokładnie znających. Powiem waszmości, to karyera w ręku taka umiejętność—z zachwytem pierwszy zawołał, a już i śladu złości w tonie nie było.

— Wolne żarty waszmości, bo to tak jak mówią, trafiło się ślepej kurce ziarno, a na honor, waszmość daleko wyższy gracz nade mnie — odparł z grzecznością drugi, szpadę do pochwy chowając, poczem zaraz z kładki ustąpił, i po kolana w kałużę zanurzając się dodał:

— Według naszych kondycyi, krok waszmości przynależy, który mam zaszczyt mu ofiarować.

— To co zaś nowego, przecie obaś my pleyzyrowani.

— Lecz ja pierwszy, zatem wedle kondycyi ustąpić winienem.

W obu zaś tych głosach, nietylko poprzedniej animozyi ni gniewu nie było, a owszem jakaś pewna sympatya przebijała się.

— O co z tego nic nie będzie, i przed posiadaczem tajnika takiej doskonałej *riposty*, nie śmiałbym kroku postawić.

— A ja się na to nie zgodzę, bo inaczej stałbym się waszmości debitorem honorowym przez niedopełnienie warunków naszej rozprawy, i dla tego gdyby mi przyszło oczekiwać tu końca świata, nie ruszę się aż waszmość przejdziesz swoją drogą.

— Jak widzę przedni z waszmości człowiek panie kolego, a więc jeszcze przełożę nową kondycyę; zgadzam się na wszystko, jeżeli mi nie odmówisz zaszczytu przyjąć kielich za wasze rycerskie powodzenie. Znam tu w blizkości pewien sekcik, którego nie powstydzę się.

— Przecie waszmości pilno?

— Ej! wprawdzie ktoś tam czeka, ale to nie dyplomatyczna sprawa, a tak samo jutro ją załatwię; jeżeli tedy pozwolisz kolega, zabiegnę na momencik po drodze powiedzieć żeby nie oczekiwali tam. Po tych słowach rękę do byłego przeciwnika przeciągnął.

— Zgoda!... odrzekł tamten ściskając podaną prawicę, a potem z troskliwością dodał: Ależ waszmość dobrze ciąłem, a to krew....

— Czy to krew na to, ażeby ją trzymać w sobie i czekać żeby na apopleksyę zadusiła. A potem i waszmość to dobrze rozumiesz, żem z tego wyszedł tanim kosztem, bo tak dobrze mógłbyś mi szpadę w brzuch wpakować; aliści pomyślałeś sobie według starego przymierza, ręka za rękę. Nareszcie powiem ci panie kolego że przelałbym krwi dwa razy tyle, żeby takiej *riposty* raz jeszcze spróbować; musisz mi dać lekcye, ale tylko na rapiry z muchami, bo jak widzę o waszmość niebezpiecznie się ocierać;.... a teraz chodźmy panie kolego.

— Pozwólcie niech waszą ranę opatrzę.

— Czekaj kolego, na wolniejszem miejscu, gdy wyjdziem z tej cieśniny.

Jakoż stanąwszy na większej ulicy, przy świetle latarni służącego, wzajemnie sobie rany opatrzywszy, chustkami poprzewiązywali: pierwszy otrzymał pleyzyr w rękę przy wielkim palcu, drugi był wyżej łokcia draśnięty. Przez całą drogę rzecz toczyła się o onej *riposcie*, której pierwszy był ciekawy.

Po drodze pierwszy wpadł w otwarte drzwi jakiejś kamienicy, a zaledwie parę minut zabawił; poczem puścili się na rynek ku gospodzie „pod Okrętem", słynnej na one czasy, a utrzymywanej przez niejakiego Raba [1]). Chociaż to już pora była opóźniona, a do dnia bliższa i całe miasto spoczywało, jednak kamienica roiła się ludźmi, gwarno było i huczno.

Skoro ten którego dotąd pierwszym zowiemy, wskazując drogę towarzyszowi wszedł do wnętrza, najprzód do dlugiej izby sklepionej, a zakopconej od wiszących po ścianach prostych kaganków. Tam po kątach stały ławy obok dużych stołów, a przy nich raczyły się z cynowych dzbanów i blaszanych kufelków liczne kupki ludzi; byli to po większej części wojskowi niższych stopni, a nawet subalterni oficerowie i mieszczanie; a głośno tam było i wesoło, dawały się słyszeć to piosenki, to wykrzywiania, a nawet i swary jak zazwy-

[1]) Dziś Fukiera.

czaj przy dzbanie; atoli za ukazaniem się dwóch przybyłych, na widok pierwszego wojskowi wyprostowali się jak struny, a jedni drugim gestami przychodnia wskazując uciszywszy się, z miejsc powstawali, a każdy głęboki mu pokłon oddał, na który honorowany zaledwo głową kiwnął nie zdjąwszy nawet kapelusza, i wprost do drugiej izby skierował się.

Dążący za nim towarzysz, a przed chwilą jeszcze adwersarz, zaciekawiony niepomału, a może i zaniepokojony nieco, iż z jakąś ważną personą niewczesną wszczął burdę uliczną, jednym rzutem oka jego powierzchowność zbadał: był to mężczyzna w sile wieku, barczysty a kształtnej budowy, twarz miał piękną wyrazistą i wesołą, bez żadnego zarostu, głowę krótko ze szwedzka wystrzyżoną pokrywał trójgraniasty kapelusz o czarnym pióropuszu bez galona; na sobie miał kubraczek aksamitny czarny hiszpańskim krojem, takież obszerne szarawary w długie żółte andaluzyjskie bóty wpuszczone; na pasku zaś rzemiennym czarnym o gładkiej szmelcowanej klamrze, wisiała u boku szpada, którą przed chwilą obnażył. Zastanowiło to nie pomału jego towarzysza, iż mimo braku na nim wszelkich powierzchownych oznak wyższego wojskowego stopnia, oddawano mu honory, na które snać jako do nich nawykły, mało zwracał uwagi—ten więc, zwany przez nas drugim, postępował za dostojnym towarzyszem trapiony ciekawością, a razem niepokojem—azali nie wpadł w jaką kabałę?—

Drugą izba, wązkim tylko przejściem od pierwszej oddzielona, była równej z tamtą wielkości, wszakże porządniej oprzątnięta nakształt zakonnego refektarza, miała ławy szersze, i stoły takież dębowe; po środku wisiał pająk o kilkunastu jarzących świecach, a takież światło gorzało i przy stołach, gdzie kupkami raczyli się panowie z omszonych gąsiorów szkła czeskiego, a gdzie niegdzie srebrnych puharów; a znać iż to byli wyższej sfery ludzie, a pomiędzy nimi i kilku orderowych panów. Za wejściem przybyłych, rum jako i w pierwszej izbie zrobił zię, wszyscy na powitanie powstali, z tą tylko różnicą, iż lubo z rewerencyą, wszakże wielu z większą poufałościa witali, a zewsząd dało się słyszeć:

— JW. Generała! JW. Podstolego!

— Czołem mości Generale, prosimy do naszej kompanii.

— Racz JW. Pan nas zaszczycić, pijemy za zdrowie waszych potrójnych nominacyi.

I kłaniając nizko wszystkie kupki emulowały, czyją inwitacyę personat przyjęciem zaszczyci.

— Tam do djabła, wdałem się w coś niepotrzebnego, i ja szukając karyery, rozpoczynam od plejzerowania Generała i Dygnitarza, któremu wszyscy się kłaniają?

Tymczasem kilku z poważniejszych otoczyło Generała, a jeden staruszek poufale go pytał:

— Ale cóż to mości Generale, masz krew na ręku, już nowe jakieś ekscesa?

— Ej! gdzie tam panie Wojewodo, wcale nie, to my z towarzyszem po ciemku wpadliśmy na kupę kamieni i tam zadrasnąłem.

— Tak, podrapaliście się trochę, zawsze z waści burczymucha, jak za młodu, i nigdy się nie ustatkujesz. A co zacz? — szepnął ciszej, wskazująo na *drugiego*, który nie wiedząc gdzie się dostał, z pokorą drzwi się trzymał.

Tak zagadnięty Generał, dopiero przypomniał o towarzyszu, i znalazł się w niemałym kłopocie, bo prócz admiracyi do onej sławnej *riposty*, nic zgoła o nim nie wiedział. Spojrzał tedy bystro na jego uniform, a nie zająknąwszy się, bo to nie było jego zwyczajem, żywo odparł:

— To mam honor waszmość miłościwym panom przedstawić mojego kolegę dystyngowanego oficera pruskiego..... Tu mu jednak imienia zabrakło, i nieznacznie trącił kompana, który, nie tracąc fantazyi, sam jakby kończył własną prezentacyę podchwycił:

— Konstanty Janikowski, do usług JW. i WW. mnie wielce miłościwych Panów.

— Konstanty Janikowski — powiedział za nim Generał, a po cichu powtórzył sobie razy kilka to nazwisko, jakby się go uczył na pamięć.

W tem miejscu i czytelnik niech się raczy dowiedzieć, iż on którego dotąd „*drugim*" zwaliśmy, był nie kto inny, a tylko on, niegdy pokutnik lochowy, a potem zwerbowany żołnierz, nasz znajomy Kostek, ten sam zawsze dziarski z fantazyą

chłopak, a jeśli mu co przybyło: to lat ze trzy, doświadczenie wojenne, wąs męzki, i duża kresa na czole wcale go nie szpecąca.

— Janikowski, czy nie syn Józefa?

— Podstarosty Kobryńskiego?

— A toćmy z ojcem na jednej ławie w kollegium Połockiem w skórę brali.

— My zaś powinowaci przez Orzeszków, z których jedna......

— I my powinowaci, bo przy Królu Leszczyńskim byliśmy z nim razem w Gdańsku.

I t. d. posypały się przyznania kolligacyi, pokrewieństwa, koleżeństwa. Dawniej to bowiem kraj był jak duża strzecha, pod którą rodzina się chowała, i rzadkie bywały wypadki, ażeby szlachcic w liczniejszem gronie nie był jak w domu.

— Znać zaraz dobrą krew, a asindziej jak widzę, także pod piecem nie siedziałeś, bo i szlifa oficerska w tak młodym wieku.

Tymczasem Generał gościnę przyjął, i kupki in gracyam tak zacnego gościa połączyły się razem, a każdy tam swój gąsior przynosił, i na lepsze się wysadzał. A już kiedy usiedli, któryś tam Janikowskiego zagaił:

— A opowiedz nam waćpan co o wojnie, bo to rzeczy ciekawe?

I dalejże tedy pytać go i na wszystkie strony manewrować, a czasem znienacka i sam Generał, jako to dobry taktyk był, trudniejszą mu kwestyę

rzucił; a gdy się ten ze wszystkiego sprawił, poglądał nań z wielkim afektem.

Do czasu statecznie się szlachta bawiła rozmową i słuchaniem, a jak zaczęły krążyć kielichy, już w głowie i na ustach to i owo szumiało, wnoszono po kolei zdrowia i już garncowym puharem, bo gdzie tylko do pijatyki wmieszał się Generał, inaczej kończyć się nie mogło. Między innemi zdrowiami wniesiono zdrowie posła Bracławskiego Bykowskiego,—skoro zaś jedni skończyli i jubilat podziękował, Generał wniósł na nowo:

— Za zdrowie i pomyślność jmć pana Szambelana Jego Królewskiej Mości! —

Wszyscy oglądali się do koła za Szambelanem, bo w rzeczy żadnego z tym tytułem w kompanii nie było, i sam Bykowski powstając wołał na całe gardło:

— Wiwat! niech żyje Szambelan Króla Jegomości!

— Waść mnie insultujesz! zawołał do niego w gniewie Generał, a stuknął w stół, iż wszystko naczynie pospadało.

— Ależ mości Generale! wniesiony toast za waszmością powtórzyłem gardła nie żałując i jeżeli o to chodzi, choćby sto razy powtórzę.

A głos podnosząc wołał po kilkakroć:

— Niech nam sto lat żyje Szambelan!

— Więc jestem urażony, i proszę ażebyś mi się waść sprawił eo instante.

— A tak! ja bardziej urażony, i suplikuję pana Generała, żeby mi pierwszeństwo pozostawił. Wtrącił się do kłótni Janikowski, a mrugał na Generała ażeby mu nie przeszkadzał.

— Powiedzcie ichmościowie w czem przeciw was zawiniłem, bo *ut sum sodalis marianus* do żadnego grzechu nie poczuwam się. Eksplikował się dobrodusznie szlachcic.

— Skoro waść tego nie pojąłeś toś kiep! A teraz jeżeli nie ja to waść jesteś obrażony i spodziewam się, iż sprawa między nami w odwłokę nie pójdzie. Zawołał zaperzony Janikowski.

Po tych słowach poskoczyło kilku szlachty, a stając po stronie posła, krzyknęli:

— A ty szwabie obrzydły! szołdro! piernikarzu niemiecki! Nauczymy cię tu gwizdać po kościele! Zaraz jmć pan poseł z tobą się rozprawi, a potem z nami póki cię nie posiekamy na bigos i twoim niemcom na frysztyk nie poszlemy. Wszyscy ile nas tu jest sekundujemy Bykowskiemu!

Generał, który kipiał z passyi, ale wstrzymywany błagalnemi gestami Janikowskiego hamował się, teraz zbliżając się do niego powiedział, a podnosząc głos żeby być od wszystkich słyszanym:

— Ja zaś spodziewam się panie kolego, że zaszczytu sekundowania nie odmówisz mi.

Widząc zaś iż tamci zajęci byli około swojego, a niektórzy na przygotowanie miejsca boju udali się, rzekł mu z cicha:

— Czy oszalałeś panie bracie? bo pomimo żeś od nas nie odstawał, pijany zda się nie jesteś, żeś wmieszał się do mojej zaczepki, a ręczę że tyle wiesz co i oni, o co mi chodziło? — Ja, to co innego, mam ząb do tego Bykowskiego, bo nam na Bracławskich sejmikach bruździ.

— Raczy mi pan Generał wybaczyć, ale widząc go ranionym w rękę.....

— Alboż waść nie raniony, jaki mi frant? przerwał łaskawie Generał.

— Nie przeczę, lecz tylko lekko w ramię, które mniejszą gra rolę w pałaszu, gdyż zapewne inaczej te szaraki bić się nie umieją. Pan Generał zaś pałaszem mógłby sobie pięść pleyzerowaną nadwerężyć, i nie tylko naraziłby się, ale jeszcze chowaj Boże jakiego szwanku nabawił, gdyż to miejsce dla rany niebezpieczne.

— Mości kolego, zapisuję to na wieczny między nami rachunek; postąpiłeś sobie po kawalersku, albowiem w tej chwili czuję, że mi dłoń dolega i nie wiem, jakbym się wziął do pałasza; za gorąco ozwałem się trochę — ściskając prawicę młodzieńca, przyjaźnie przemówił generał; poczem dodał:

— Ano, skoro tak się stało, to rad będę widział czyli waćpan równie po mistrzowsku sprawiasz się w pałasza. Ale patrzajno! czy my łby poprzepijali, a ty nie masz pałasza? Wszakże temu zaraz zaradzimy, bo mój latarnik uzbrojony; a już to taki mój zwyczaj, że gdy sam jestem przy szpa-

dzie, to jemu pałasz przyczepiam i vice versa, ażeby żadnej okazyi nie tracić.

Po tych słowach, wybiegł zaraz do drugiej izby, gdzie jego sługa z żołnierzami raczył się, a przypasując pałasz Janikowskiemu, rzekł:

— Daj Boże w dobry czas. A powiadami ci Damascenka, kraje obrączkowe jak słomę, i warta twojej ręki.

Tymczasem dzień na dobre się zrobił, a szlachta miejsce spotkania przygotowała; było w tej winiarni oprócz większego dziedzińca, małe obmurowane i zewsząd zakryte podwórko, które z przyjętego zwyczaju miejscem dla podobnych praktyk służyło. Skoro tedy sekundanci dali znać że wszystko gotowe, udali się tam zapaśnicy.

Ledwo adwersarzy złożono, a już poseł zaczął po staroświecku krzyżową sztuką.

Janikowski tylko zlekka obracal damascenką wcale nie wysilając się, a stojący za nim Generał mruczał za każdą razą.

— Co za pozycya! co za lekkość ręki, a niechże cię gęś kopnie panie kolego! Dotąd lepszego gracza nie widzialem jak mi Bóg miły.

Janikowski nie natężając się stał sobie obojętny jakby odpoczywał: Bykowski zaś ciągle krzyżowo machając już prawie omdlewał. Generał zawsze za swoim szermierzem, nie spuszczał go z oka, a lubując się nim, jakby matka dziecięciem, szepnął mu:

— Szlachcic gotów wymachać się na śmierć, jeżeli możesz, tnij go lekko po uchu, to będzie rzecz allegoryczna, naśmiejemy się.

Ledwo tych słów domawiał, kiedy Janikowski zwrócił jakoś szczególnie damascenkę, i krew z ucha Bykowskiego pociekła; ten zaś może nie tyle z bólu ile ze strachu i zmęczenia, osłabł, i pałasz opuścił. Nie potrzebowali sekundanci ich zasłaniać, bowiem w całej tej rozprawie Janikowski ani animozyi, ani zapału nie pokazywał. A dokonawszy tego, stał na miejscu z opuszczonym wprawdzie pałaszem, jakby czekał według przyjętego zwyczaju na rozkaz sekundauta, lub na innych adwersarzy, którzy się przed chwilą odgrażali.

— Gdyby mi wypadało, tobym cię uścisnął kolego! Co za lekkość ręki, śmiałość, pewność siebie. Czekajno, musisz tę scenę na rapiry przed Królem Jmcią odegrać, to zrobi twoją karyerę.

Tymczasem posadzono Bykowskiego na stołku i wezwany cyrulik krew mu tamował; cięcie zaś było z umysłu tak lekkie, że strach pacyenta przeszedł, tem bardziej po tem przekonaniu, że mały tylko kęs ucha postradał, odzyskał humor, bo i z natury był jowialny, a zwracając się do Generała i jego towarzyszy pytał:

— Teraz kiedyście mnie już oszelmowali kat wie za jakie licho, niech przynajmniej wiem w czem przed wami zawiniłem?

— Jegomość spernowałeś naszą dobrą chęcią i affektem, bo skoro wnieśliśmy jego zdrowie, waszmość miasto podziękowania jak przystało, huczałeś nieprzyzwoicie, jakbyś tego nie słyszał. Owóż snać ślepy los kierował ręką mojego kolegi, że właśnie skarał tę część ciała, która zgrzeszyła, nie przyjmując do słuchu powolnych chęci braterskich — odpowiadał Generał.

— W imię Ojca i Syna..... a niechże mi drugie ucho odrąbią, jeżeli za wiwat mój, łaskawie wzniesiony najszczerszem sercem nie podziękowałem, świadczę się bracią szlachtą.

— Tak w istocie za pierwsze zdrowie jako posła Województwa Bracławskiego, ale kiedy piliśmy za Szambelana Jego Królewskiej Mości, waszmość zbyłeś nas żartami, jakbyś chciał szydzić z tej godności, którą do nominacyi na Generał-adjutanta sam miałem zaszczyt piastować, — mówił niby urażony Generał.

— A niechże mnie Bóg nie kocha i Matka Jego Święta, jeżeli choć krztę z tego co mi waszmość prawicie, zrozumiałem, chyba od onego draśnięcia w gorączkę mnie rzuciło. Zaś od kiedym żyw żadnego szambelańskiego urzędu nie spełniałem ani ja, ani o ile pamięcią zasięgam, żaden z moich przodków; a nawet co zacz Szambelan wiadomo mi nie jest, czemu oto łaskawi sąsiedzi i przyjaciele, a niektórzy z nich koledzy od dzieciństwa, przeświadczyć mogą.

— Skoro tak waszmość twierdzisz, to sam zauważ, czyli mogłem się spodziewać, ażeby człek ze wszech miar stateczny i poważny, jakim jesteś jegomość, wdziewał signum urzędu, którego nie posiada?

— Ale jakie signum mości Generale, przecie nic na sobie nie mam, żadnego distinctorium. Po tych słowach, macał się z przodu po sukni.

— A taż kokarda z tyłu?

— Ano to sobie modny ornament, jak mi tłumaczył żydek, u którego dzisiejszego rana kontusz nabyłem, ażeby się przystojniej u pana Marszałka nadwornego pokazać.

— A to właśnie signum szambelańskie od mniejszej parady, skoro klucz się nie wkłada.

— Na miły Bóg, mości niemiecki oficerze — zawołał przerażony Bykowski, zwracając się do Janikowskiego — jeżeliś miłościw, odetnijże mi rychło, tym samym pałaszem co ucho, owo szambelańskie czy szatańskie signum, za które już mnie na pół oszelmowano, bo jeszcze kto mnie całkiem oszelmować gotów!

Janikowski nie wiedział co począć, ale Generał uśmiechając się skrycie, dał mu znak, ażeby wolę posła wykonał, co gdy ten uskutecznił, szlachta dopiero w śmiech, a Bykowski, cały skłopotany podczas tej operacyi recytował:

— To huncfot żyd, widząc że mi ten kontusz wpadł w oko, bo do barwy papuziej naszego munduru wojewódzkiego podchodził, zaczął mnie do

nabycia namawiać, a ja go tedy pytam: „A może to oznaka jakiej dygnitaryi ten fontaz, gdyż ja jestem tylko sędzią grodzkim a posłem? Ny, odpowie ten łotr, to właśnie oznacza pana posła, że to on wszędzie nawet i z tyłu, ma wielką wagę, za to trzy dukaty więcej kosztuje; bo teraz taka sejmowa moda." Zapłaciłem szelmie trzy dukaty wyżej i ot co za nie kupiłem.

Tymczasem i sygnum Janikowski odciął nie mniej zręcznie niż ucho, to zaś ostatnie z swojej strony, cyrulik należycie załatał, i wszystko ku lepszemu skłoniło się. A że szlachta rozweselona, a może i spenetrowawszy grę Janikowskiego, której nikt sprostać nie czuł się dość silnym, wszystko w żart obróciwszy, kielichem sprawę zakończyła.

Ledwie o południu szlachta się rozeszła, wprawdzie niektórych powynoszono, a skoro Janikowski sam z Generałem pozostał, przystąpił do niego i rzecze:

— Teraz pozostaje mi panie Generale złożyć mu dzięki za użyczenie tej doskonałej broni, jakiej jeszcze w życiu w ręku nie miałem, a razem zamienimy bandaże, bo za moją prostą szmatę, którą rękę pańską obwiązałem, dostała mi się bogata chustka koronkami obszyta; a przy tej okazyi racz jw. pan przyjąć moją submissyę i ekskuzę, iż przez niewiadomość dostojeństwa zacnej persony, tak wiele konfidencyi dopuściłem się.

Zmówił Janikowski z należytą sumbissyą, poczem chciał już szablę odpasywać i bandaż z ramienia odwiązać, lecz Generał powstrzymując go, przemówił:

— Wcale nie po koleżeńsku argumentujesz mości Janikowski, bowiem nietylko dzisiejszych przydarzeń ani ci za złe brać nie mogę, lecz nadto cieszę się z nich, iż dostarczyły mi okazyi poznania kawalera z wielkim animuszem, i w kunszcie wojennym wykształconego. Co tedy do szabli, racz ją zachować z tej racyi, iż niezawodnie w zręczniejszem dotąd nie znajdowała się ręku, i najdować się nie może; jest ona szacownym darem niegdy wielce na mnie łaskawego Jmć Księcia Karola Kurlandzkiego, a stosowniejszej destynacyi dla tej drogiej pamiątki uczynić nie mogę; szablę tę na wieczną pamięć dostojnego dawcy „Karolką” przezwałem. Chustki zaś pozostawimy jako znak przymierza na przyszłość, że przy krwi rozlaniu nasza znajomość się zawiązała, wierzaj mi zaś waszmość, iż krew jest lepszą konjukturą przyjaźni, niżli beczka soli razem spożyta, bo to czasem nie z jednym zjesz beczkę całą, a ostatnią szczyptą zakrztusisz się; krew zaś mosanie jest płyn szlachetny, który wszelkie złe intencye obmywa i w szczerości ludzi łączy.

— Cenię sobie wysoce łaskę jw. Generała, i dar ten wspaniałomyślny, chyba z życiem mi wydrą; na wieczną zaś rzeczy pamiątkę, chciałbym renominować tę szablę dostojnem imieniem jw. pana, atoli......

— Że z waszeci wojak niepospolity, tom miał sposobność dowodnie skonwikować,— prawił wesoło Generał—teraz zaś widzę, że i dworak z waści nie mniej subtelny, gdyż dopiero spostrzegam moją niezręczność, iż waszmości przedstawić się zaszczytu nie miałem. Owóż jeżeli łaskaw jesteś przechrzcić tę szablę, która z łaski twojej śmiesznej krotofili stała się nam powodem, to nazwij ją „Branicką”, ingratiam powolnego sługi waszmość pana i brata mojego Franciszka Ksawerego Branickiego, który przedstawić się ma zaszczyt. Zakończył Generał z głębokim pokłonem.

Janikowskiemu trochę się markotno zrobiło, że wprawdzie przez niewiadomość, z takim wielkim personatem, ulubieńcem króla, któremu wszystko wielkie naówczas się kłaniało, tak lekkomyślnie a zapan brat sobie postąpił; wszakże nadrabiając fantazyą, oddał pokłon głębszy i mówił:

— Teraz nadto mi nie pozostaje, jak zaskarbiając sobie wysoką łaskę jw. Generała, złożyć moją submissyę i pożeganie.

Po tym komplimencie miał już odchodzić, kiedy Branicki ozwał się:

— A dokąd panie kolego?

Zamilkł na chwilę Janikowski zagadnięty znienacka, gdyż w rzeczy nie bardzo wiedział dokąd dąży, a więc po małym namyśle, odparł krótko:

— W świat.

— Świat szeroki panie kolego, a ma cztery strony; więc w którą mianowicie, jeśli spytać wolno?

— Na wszystkie cztery panie Generale, gdzie oczy poniosą.

— A czemu już nie w piątą?.. Ot jeślić się podoba panie kolego, przystań do mnie na adjutanta, natychmiast w komissyi wojskowej wyjednam permutacyę twojej rangi cudzoziemskiej; a dalibóg nie będzie ci gorzej jak u tych Prusaków. Tylko pod kondycyą, że mnie nauczysz tej włoskiej *riposty*, i odbijania młyńca... No zgoda?

— Na rozkazy jw. Generała — odparł dobitnie Janikowski, salutując po wojskowemu.

Generał spojrzał na niego z satysfakcyą, podobało się mu bowiem, że obok zręczności i fantazyi kawalerskiej, których na nim samym i w spotkaniu z Bykowskim złożył dowody, znał subordynacyę wojskową; a ozwał się zadowolony:

— Pierwszy tedy ordonans panie adjutancie: pójdziemy do mnie przespać się; ztamtąd poszlemy do gospody po twoje matelzaki, i już się nie rozstaniemy, chyba że ci się chowaj Boże nie podobam; a potem pomyślimy o przystojnem wyekwipowaniu, bo muszę cię Królowi Jmci przedstawić.

Któżby się mógł spodziać, że taka płocha swawola związała na długie lata dwóch awanturników z różnych sfer towarzystwa, wszakże jakby dla siebie stworzonych.

I tak ów Kostek, benjaminek szlacheckiej strzechy, z pod której utęsknione wypatrywały

go spojrzenia, niespodziewanie, przez ślepy traf zdobywał to, za czem się wielu zasłużonych i możniejszych upędzało: nie jeden wiele by poświęcił za to, ażeby stać się satelitą takiej jasnej gwiazdy, jaką była wówczas Ksawerego Branickiego; najprzód ulubieniec i osobisty przyjaciel Króla, posiadający przed sobą szeroką drogę, która słać się różami poczynała. Dość przytoczyć, iż w czasie sejmu koronacyjnego, niespełna w przeciągu trzech tygodni, dostał trzy nominacye: na Generał-adjutanta, Generał-lejtnanta wojsk królewskich, i Podstolego koronnego (dwie pierwsze dzień podzień), a nadto Starostwo Przemyślskie. Przyrość więc biednemu szlachcicowi do takiego silnego boku — istotnie trzeba było na to w czepku się urodzić.

Pod wieczór, gdy się Branicki na pokojach królewskich z ręką na temblaku ukazał, wszystkich to nie pomału, a nawet i samego Najjaśniejszego Pana zaintrygowało, bowiem powszechnie wiedziano, że zrąbać takiego gracza, jakim on był, nie było snadno.

Król Jmć dla decorum przyjął napozór łatwowiernie jakąś anegdotę o wypadkowem potłuczeniu, ale skoro kółko poufałych pozostało, Branicki musiał wyspowiadać co zaszło, i przy tej okazyi, sławę swojego nowego adjutanta Janikowskiego rozgłosił; a gdy przygodę posła Bracławskiego opowiedział, Król i przytomni naśmieli się do rozpuku.

— Janikowski! Janikowski! — głoszono po całej Warszawie; wszyscy Branickiemu składali wizyty, ażeby temu ósmemu cudowi świata co go zrąbał, przypatrzyć się.

Branicki, którego było obowiązkiem dla zabawy swego koronowanego przyjaciela wyprawiać różne krotofile, parę dni po tych wypadkach, skoro wydobrzał na rękę, musiał przyprowadzić na prywatne pokoje swojego adjutanta Janikowskiego, a z nim przed Królem i jego poufałymi, na tępe pałasze imitacyę przygody posła Bracławskiego wykonać,

Naśmiał się Najjaśniejszy Pan ze swoimi poufałymi co nie miara; a zarazem iż był wielkim amatorem fechtunku, i sam jako przed tem kawaler światowy dobrze był w nim wyćwiczony, musiał Janikowski przed nim różnych sztuk dokazywać, któremi tak Króla zadowolnił, iż go parą stami dukatów udarowawszy, na rangę wyższą awansował.

Nadto nazajutrz urządził sobie Król krotofilę, iż przyzwawszy na obiad Bykowskiego, posła Bracławskiego, Szambelanem go swoim mianował[1]).

Oświecony ówczesnym połyskiem swojego Generała Janikowski, sam zajaśniał, i wziętość w całej stolicy pozyskał. Cały modny świat go poszukiwał. Żaden pojedynek nie odbył się bez jego

[1]) Autentyczne.

sekundy; każdy zaś wyzwany, szukał sposobności wprawienia się z tak dobrym mistrzem. Znaleźli się nawet śmiałkowie, co dla brawury i ciekawości, w drogę mu włazili, ale skoro poszwankowani nie tęgo na tem wyszli — tych ostatnich prób zaniechali. Z drugiej strony, nie obeszła się żadna uczta, żadna znaczniejsza zabawa, na którąby Janikowskiego nie poszukiwano; a ponieważ był przy tem gładkiego oblicza i do tańca zręczny, lgnęły równie do niego i panie, i ani się spodziewała utęskniona strzecha, w jakich roskoszach syn jej marnotrawny opływał.

XII.

Tymczasem rząd nowy czynnie się zakrzątnął około reform i ustalenia zawichrzonego porządku: już i szkoła rycerska otwartą została, a młodzież się zewsząd do niej garnęła; założono ludwisarnię, gdzie odlewano działa wyborne, i to dało sposobność postawienia artyleryi na stopie równającej się najdoskonalszym w Europie. Wprowadzono akuratność w wybieraniu ceł i podatków, pomyślano o niszczeniu zaległej wojsku lafy, zaprowadzono ściślejsze ustawy policyjne i fiskalne, nadawano większą powagę i znaczenie sądom — słowem, dążono widocznie do ukrócenia i obuzdania dawnej buty i swawoli szlacheckiej, co właśnie drażniło i szło w niesmak większości dawnego staroświeckiego wychowania szlachty, dopatrującej w tych dążnościach do porządku, zamachu na zniszczenie i ścieśnienie dawnego nieładu, na którym, według mylnego mniemania większości, dawna złota wolność polegać miała. Powstała ztąd niechęć ogólna, którą podniecał

jeszcze nie mało upor katolickiego duchowieństwa niedopuszczającego zrównania praw dyssydentów i dania im miejsca w senacie. Poczęto wołać i powstawać przeciw wszystkim innowacyom, a malkontenci się mnożyli.

Pod takiemi to smutnemi wróżbami, przybliżał się sejm (1766), projekt którego w całym narodzie wzbudził niechęć ogólną, a zaledwie mała garstka senatorów, ludzi dobrze myślących, za Królem i przeobrażeniem dawnego niesfornego rządu trzymając, już przewidywała obalenie dobrych chęci i zamysłów siłą większości i onem zgubnem *liberum veto*, które dla dobra kraju także na tym sejmie usunąć zamierzali, czemu szlachta stojąca przy dawnych rzekomych przywilejach swobody, poddać się tak łatwo nie myślała i burzliwe sejmiki gotowały się. Zatem aby choć w części zaradzić złemu i przeciąć je w samym zarodku, partya królewska umyśliła na sejmiki swoich agentów rozesłać, i przez nich o ile można na wybór posłów sejmowych wpływać, a ludzi nie zaśniedziałych w staroszlacheckich przesądach, na poselstwie utrzymać. Rozumie się, iż na te missye nie dość było wybrać chętnych nowemu porządkowi, o takich bowiem z partyi królewskiej naówczas było nie trudno, lecz przy tem należało mieć ludzi nie tylko gładkich na gębie, jak się wtedy wyrażano — i zdolnych do perswazyi, lecz nadto podzielających stare tradycye junakieryi, dobrych zarazem do wybitki i wypitki: ponieważ te

wszystkie zalety koncentrował w sobie Generał-adjutant Branicki, nowy zaś jego adjutant Janikowski do dwóch ostatnich, t. j. wybitki i wypitki nie miał sobie równego, nie dziw więc, że wybór partyi królewskiej padł na nich jako delegatów dla usposobienia umysłów sejmikowych.

Wybór to był trafny, bowiem w tych czasach zaczął się zmieniać charakter dawnych sejmikowiczów: gdyż dotąd taki promotor partyi, bywał zazwyczaj człek poważny, a stateczny, jur zawołany, co to umiał stanąć na akcessoryi prawnej, rzucić kondemnatę na czynność obrad wynajdująo w nich szwanki statutowi sprzeciwiające się — to znów zkonwikować piękną swadą, ująć kordyalnością, zniewolić traktamentem i t. p., jakto na początku opowiadania w osobie Subdelegata ukazaliśmy. Teraz zaś zamorskie obyczaje i stroje wyrugowały dawną szczerość i prostotę, a i mowa cudzoziemska już wkradająca się odkrywała więcej stron słabych i dostępnych zniewoleniu, zatem i większe pole do zręcznych wybiegów, do których starych, poważny, a surowy rozum mniej się naginał. Chociaż to prawda, że dawniejsze Sejmiki rzadko bez burd i siekaniny obywały się, jednak nie były to skutki wyrachowania i premedytacyi, a tak z krewkości i animuszu szlacheckiego wynikały — teraz zaś na nieszczęście obliczano je na dobry sukces, a co gorsza, za chwalebny środek uważać poczęto. Namnożyła się siła awanturników tak zwanych *chevaliers d'industrie*,

tego całkiem cudzoziemskiego produktu, wcale licho na naszą ziemię przeszczepionego, który resztę samodzielnego charakteru w narodzie wyniszczył. Wypadało tedy według maksymy *similia similibus eurantur* przedstawić nowej truciznie nowe antidotum, skutkiem czego poplecznicy partyi królewskiej, jak dotąd gorliwie jeszcze dla istotnego dobra kraju udysponowanej, rozsypali się po sejmikach wojewódzkich, końcem przysposobienia wyborów posłów innowacyom przychylnych.

Tu dopiero Ksawery Branicki z adjutantem swoim Janikowskim, nową zdolność sejmikowiczów rozwinęli: pierwszy kawaler gładki, dworak, za granicą w najwykwintniejszych towarzystwach kształcony, zresztą zręcznie wymowny i jak dla sejmikowych prostaczków, dość przekonywający, obaj zaś zawołani awanturnicy, burczymuchy i gracze na szable, a do kielicha zarówno ochoczy, sejmikowe zalety w najwyższym stopniu posiadali.

Trudno zaprawdę śledzić, jak obaj na tem polu rozwinęli swoje zdolności, które na długą pamiątkę dały się we znaki uszom i nosom sejmikowiczów w różnych częściach kraju.

Najdziwniejsza z przygód sejmikowych, jakie spotkały Generała i jego adjutanta, była na sejmiku wołyńskim w Łucku.

Wiedzieć należy, iż ówczesne Województwo Wołyńskie, złożone z trzech niezamożnych powiatów: Łuckiego, Włodzimierskiego i Krzemie-

nieckiego, jako w dwóch pierwszych na piaskach i błotach, a w trzecim na skalistej glebie położone, najmniej może było zamożnem; wszakże nad inne województwa liczniej było szlachtą zasiedlone; rej zaś tam od niepamiętnych czasów wodziła dawna szlachecka rodzina Pruszyńskich herbu Rawicz (a niegdyś Prusińskimi się pisała). Obficie rozrodzona, tak iż w onem województwie, jeżeli kto nie był Pruszyński lub z Pruszyńskiej się nie rodził, to przynajmniej babkę lub jakąś antenatkę miał z tego rodu, a wszyscy im byli koligaci i silnie we wszystkich okazyach za ręce się trzymali. Jako zaś ludzie nie zamożni, mało po za obręb własnych kątów wyglądali, ztąd w tem województwie i nowinki augsburgskie swojego czasu najmniej się szerzyły; lecz z drugiej strony wszelkie reformy i innowacye chociaż najzbawienniejsze, najwięcej malkontentów znajdowały.

Nie dziw więc iż Generał z adjutantem i tego sejmiku nie ominęli, a owszem przejścia na nim mieli najtrudniejsze.

Lubo sejmik ten składali między innymi ludzie postępowi i do zbawiennych reform chętni, jako to: Celestyn ze Szpanowa Czaplic Podczaszy Kijowski, który nawet na sejmie przyszłym godnie marszałkował, i imieniem *sejmu Czaplica* upamiętnił go, a Starostą Łuckim był Książe na Korcu Stanisław Czartoryski, powinowaty królewski dalej Książęta Józef i Hieronim Sanguszkowie, pierwszy Marszałek nadworny, drugi Starosta Czerski,

i wielu innych magnatów i poważnych mężów, a wówczas z Królem, jako jeszcze dobrych usposobień trzymających: wszakże co tam oni chcieli przeprowadzić na sejmach, wszystko jedno *veto* licznych Pruszyńskich obalało. Napróżno Generał już od dni kilku męczył się nad nimi, to perswazyą, to traktamentem ująć ich starając się; atoli przy wotach na posła „Pruszyński i Pruszyński....” na każdy zaś punkt wolniejszej instrukcyi *veto* nieodzowne.

Pewnego razu, gdy Generał ze swoim adjutantem na sessyę wybierali się, pierwszy rzecze:

— A cóż waćpan myślisz dalej z tymi Pruszyńskimi?

— Nie wiem prawdziwie, bo jak sam pan Generał zkonwinkował się, to z nimi rezonowaniem nie wiele wskórać można, a piją jak susły, ja ledwie z nimi wytrzymam i to nie bez figlów, wylewam za okno lub gdzie mogę. Czy nie zażyć by ich z mańki krzyżową sztuką panie Generale?

— Djabła tam, żeby samemu nie oberwać po krzyżu, bo magnaterya choć jest za nami, ale to wszystko ludzie poważni a stateczni, do burdy się nie wmięszają; zaś Pruszyńskich wielka chmara, nie podołamy.

— Ej! czy tak wiele panie Generale?

— Alboż ich zliczyłeś?

— Pruszyńskich samych jest pół kopy bez jednego, to na jeden ząb, osobliwie przy łaskawem

wdaniu się pana Generała — odpowiedział Janikowski z pokłonem.

— Hm, pół kopy?...

— Bez jednego panie Generale.

— A kolligatów?

— Niemal całe dwa powiaty co prawda, bo cały Włodzimierski i Łucki, lecz byle pierwszych dobrze naznaczyć, to reszta się rozlezie.

Generał głośno sobie myśląc, mruczał pod nosem:

— W istocie trudna rada, posłów lada jakich obiorą, za nimi kat wie jacy arbitrowie na sejm posuną, a co o jakiej takiej instrukcyi ani myśleć — głośno zaś z decyzą rzekł do Janikowskiego:

— Ha! sprobujemy, opatrz waćpan sobie szerpentynę, a i moją jeśli łaska, a nadewszystko przy furdymencie, bo furdyment to grunt w takim tumulcie, żeby im rękę ochraniać.

Odebrawszy ten rozkaz, dopiero Janikowski, który już od pewnego czasu burdy nie zażył, był w swoim żywiole; zapomniawszy o prezencyi starszego, plunął w dłonie, a czyszcząc broń machał nią na wszystkie strony, a Generał spozierając nań z pod oka, lubował się adjutantem, jednak zauważył:

— Nie ekspensuj waszeć animuszu, i nie machaj tak gęsto, bo jeszcze się dziś zmachasz, a będzie koło czego chodzić.

-- Pochodzimy panie Generale. A czy tak można ex abrupto do łbów się zabierać? —

— Oho! waść gorąco kąpany..,.. Zapewne trzeba będzie, ale z początku mitygować się... Otóż uważaj waćpan, będzie taki apel do ataku: na porządku jest sufragium na posłów z powiatu Włodzimierskiego, podamy Wąsowicza i Jabłonowskiego; skoro Pruszyńscy sprzeciwią się i swoich obwoływać zaczną, to już uderzaj; atoli zawsze ostrzegam, że siła złego dwóch na jednego, a cóż dopiero pół kopy.

— A chociażby i cała panie Generale.

— No, no obaczymy, a tym czasem dla fantazyi nie zawadzi gąsiorek—(rozkazawszy zaś podać go prawił dalej, przepijając do adjutanta pan Generał). Widzisz waść experto crede Roberto, że o ile źle jest iść na potrzebę z przeładowanym żołądkiem, o tyle nie do rzeczy całkiem na czczo, osobliwie kiedy taką robotę jak o dzisiejszej wnoszę, ma się przed sobą i trzeba koniecznie posilić się umiarkowanie.

Skończywssy ten według nich „umiarkowany" posiłek z sporej porcyi wędlin i potężnego gąsiora złożony, do izby sejmikowej pośpieszyli.

Tam już wrzało jak w kotle, i według przewidywania Branickiego, proponowane suffragium na dwóch posłów, partya Pruszyńskich odrzucając, swoich na całe gardło obwoływała: Janikowskiemu więcej nie było trzeba, a mając juz ordonans gotowy, podsunął się do najbardziej gardłującego

Pruszyńskiego, a chwyciwszy garść piasku z podłogi, posypał mu na głowę mówiąc z kpinami:

— Abyś waćpan był re et nomine Pruszyński posypuję cię prochem, w który się niezawodnie obrócisz, a snać ksiądz ci tego na popielec nie powiedział, gdyż inaczej nie darłbyś ta sobie gardła za lada jaką sprawę.

Zawrzało jak w kotle, a hałasu i obelg miotanych na zaczepnika trudno i wypowiedzieć, taki tumult powstał. Wnet siła obnażonych szabel przeciw niemu się skierowała; były to nie przelewki, bo niemal w mgnieniu oka otoczono go z trzech stron; wszakże on z całą przytomnością zbadawszy jedną wolną, odbijając się szablą do ściany się przyparł, i tam już był nieco bezpieczniejszym; dość mu zaś było puścić szablą dobrego na trzy strony młyńca, i to go równie salwowało, iż miał znaczną liczbę atakujących, którzy tak się do koła ścisnęli, iż miasto szkodzić przeciwnikowi, sami między sobą drapali się. Branicki choć już dobył szabli i na odsiecz adjutantowi chciał śpieszyć, aliści nie wiedział jak się dostać i ten mur żywy otaczający go przebić,

Stateczniejsi panowie, jak to mieli we zwyczaju wynosić się cichaczem przy takich burdach i teraz tego nie zaniechali. Jeden Czaplic nigdy nie uchylający się od powinności obywatela, czy to w złym czy w dobrym razie, nadaremno biegał i wrzeszczał, molestował, wszakże wszystko na próżno. A gdy oblegający więcej znużyli się niż

oblegany i sami się pokaleczyli, jeden z Pruszyńskich Burgrabia Krzemieniecki, który między nimi rej wodził, zawołał:

— Kiedy ten djabeł nieprzystępny, jak jaka twierdza, est modus in rebus; oto niech jedna połowa trzyma go pod ścianą z pałaszami, żeby nie zemknął, a my reszta przyniesiemy rusznice i będziem go dobywać bronią palną według regulaminu fortecznego; obaczymy czy się ostoi.

Zaraz tedy rozkaz wypełnili i na dwie kompanie się podzielili.

Wszakże Czaplica głosu nikt nie słuchał, a wszyscy baczyli na komendę swojego starszego.

Wtedy Czaplic wskoczył na ambonę, i dobywając sił, jakie tylko miał w piersi, zawołał:

— Miłościwi bracia! czyli już do tego rozpasania doszliście, że przybytku Bożego nie szanujecie, i.....

— To już nie jest cale przybytkiem Bożym, i skoro Sanctissimum wyniesione, to prosta izba jak każda inna, gdzie każdemu wolno krzywdy swojej poszukiwać i odwetować.

— Zważcie! wołał niepokonany Czaplic, wskazując na duży krucyfiks w ołtarzu—Ukrzyżowany Zbawiciel patrzy na was!

Szlachta zatrzymała się na miejscu wprawdzie z obnażonemi szablami, lecz któryś tam odparł:

— Ten sam Zbawiciel wypędzał kupczących ze Świątyni; dla czego więc my mamy zcierpieć, ażeby tam jacyś psiarnicy królewscy ni proszeni,

ni dziękowani frymarczyli przywilejami swobody szlacheckiej. Kiedy zaś jmć pan Podczaszy zastępujesz się niezasłużenie za tego franta, niechże on nam odda szerpentynę, a my go wypędzimy powrozami z kościoła, jak uczynił Zbawiciel i będzie kwita.

Czaplic prócz niezaprzeczonych zasług obywatelskich, był to mąż uczony a bystrego rozumu, i już pojął, że skoro pierwszy ferwor przeminął, a na deliberacyę poszło, sprawa mniej więcej na polubownej drodze stawała, dalej tedy odpowiadał interlokutorowi z oburzeniem może i udanem:

— A któżeś ty jest, śmiejący równać się ze Zbawicielem i chcący Jego wielkie czyny naśladować, a jeżeli już tak, to czemu nie pomnisz, iż tenże Zbawlciel łotrowi nawet przebaczył......

— Tak, ale ukrzyżowanemu, to i my przebaczym, lecz wprzód ukrzyżujem go, a przynajmniej damy mu po krzyżu;

Na ten wyskok dowcipu, śmiech ogólny izbę napełnił, właśnie o co Czaplicowi chodziło — wszakże szabli zawsze nie pochowali, i agressora mieli pod ścianą na oku. Czaplic zaś korzystając z ułagodzonego usposobienia szlachty, zeszedł z kazalnicy i między tłumy się wmięszał, a prosto przyttąpił do onego dysputującego z nim, który razem był obrażonym i przewodnikiem partyi, i do rozumu starał się trafić:

— Skoro ów jegomość — mówił Czaplic wskazując na Janikowskiego zawsze przypartego do

ściany — obraził waszmość, co mu się nie chwali, lubo między ludźmi się wydarza, to się rozprawcie z nim; przecie szlachcicem jest i oficerem królewskim.

— Veto! po sejmikowemu wrzasnął któryś z partyi — on nie obraził jednego, ale wszystkich Pruszyńskich, a więc chyba z nami wszystkiemi rozprawi się.

— I nas kolligatów i adherentów tego domu obraził, a więc z nami także niech staje, od tego nie odstąpimy, żebyśmy tu mieli działa zatoczyć, kiedy jakimś djabelskim młyńcem tak się obwarował.

— Ale zważcie waszmościowie, iż: *nec Hercules* ....

— A co nam tam Herkules, to jakiś musi być mazowiecki szlachcic, bo o tym rodzie tu nie słychać; pocóż więc przyszedł nam bruździć na wołyńskim sejmiku? Niech więc bije się z nami wszystkimi, lub złożywszy broń, zda się na łaskę i niełaskę, bo inaczej ztąd żyw nie wyjdzie i będziemy go bombardowali—zawołał któryś z kupy.

— Tak, tak, niech się bije, lub zda się na łaskę i niełaskę — powtórzono za nim jednogłośnie.

— A to jeżeli taka wola, bić się z waszmościami będzie, tylkoż ja to znam tych krzykaczy sejmikowych, co to hurmem na jednego łacno uderzą, a do rozprawy oko w oko nie skorzy—zawołał tubalnym głosem Branicki, w nieprzyjazną kupkę śmiało wmieszawszy się.

— Oho, skorzy albo nie skorzy, a co intruzów takich jak waszmościowie, gotowi na kapustę posiekać — odpowiadał promotor partyi Pruszyńskich.

— Tak siekać rzuciwszy się kupą na jednego, ale prosimy na otwarte pole, do należytej rycerskiej rozprawy, i ciekawi jesteśmy, czy stać waszmościom na to animuszu? odparł szyderczo Generał.

— Służymy waszmościom zaraz wszyscy co do jednego.

— Ha królewczyki! reformatorowie! intruzy!

— Wyjdziecie ztąd bez uszu!

Jedni drudzy wołali urągając.

— Nie odkładająo tedy służymy waszmościom zaraz, a więc panowie bracia armisticium; pochowajcie szerpentyny, i tam zagramy skoro ci ichmościowie mają po temu ochotę.

Powiedział promotor partyi, a wszyscy rozkaz niezwłocznie wykonywając, pochowali broń do pochew, i Janikowskiego z pod muru uwolnili.

— Ależ to rzeź panowie bracia, tak się nie godzi, miejcie Boga w sercu.

Wmięszał się pacyfikator Czaplic, ale na próżno, bo mu szlachta replikowała:

— Sami ichmościowie żądają.

— Lub niech się submitują i o ekskuzę proszą, jest wóz i przewóz.

Wszyscy się tedy gotowali do wyjścia, lecz promotor nie chcąc zbytnio ze swojej partyi izby

sejmowej ogałacać, ażeby w tym czasie przeciwnicy nie przekreskowali, przekładał swoim:

— Dość z nich będzie samych Pruszyńskich, alianci zaś niech tu pozostaną sprawy pilnować.

Sejmik odbywał się w kościele O. O. Jezuitów, a w obszernem kollegium był trzeci zapomniany dziedzińczyk, który wielebni Ojcowie z niechcenia niby na odbywanie podobnych rozpraw zachowywali, a szczerze mówiąc najniewinniej wynajmowali pod pozorem składania za to ofert na mszę lub inne wota nabożne. Tam tedy udał się Generał z adjutantem w towarzystwie Pruszyńskich, za którymi pomimo zakazu promotora, alianci w znacznej liczbie pośpieszyli.

Skoro tam weszli, skweres się zrobił o to, którzy pierwsi z Pruszyńskich wystąpią, bowiem ułożono odrazu, że równocześnie jeden miał się bić z Janikowskim, a drugi z Branickim; ten zaś miał tę zaletę ważną dla pojedynkowicza, że do takich spraw z zimną krwią przystępował; a chociaż sprowadził teraz z gospody dwóch będących przy nim na ordynansie towarzyszy pancernych niby na sekundantów, lecz że ci byli tylko pro forma niememi figurami, więc sam rzecz z grzecznością rozpoczął:

— Jeżeli mi wolno waszmość panom moją propozycyę przełożyć, to czyli nie byłoby właściwem, ażeby ichmościowie pomiędzy sobą rzucili losy, którzy mają się pierwsi potykać?

— Lubo jegomość jest w tej chwili naszym adwersarzem, wszelako dobrą radę podaje, i nie widzę czemu byś my chwycić się jej nie mieli — zwrócił się promotor do swoich.

— Tak, tak, najlepiej losujmy na długi kij — zewsząd zawołano, i rzucili się do wyszukania długiego kija, na którymby losowanie przez ujęcie go pięścią odbywać, jak się zwykle w podobnych razach praktykuje — Promotor zaś od tego usuwając się powiedział:

— Wszakże od losowania siebie, jakom jest directe obrażony, wyłączam i pierwszy waszmości służy — i wskazał na Janikowskiego, który się tylko pokłonił.

— A, to ja jako brat rodzony jmci Porucznika, służę waszmości panu — ozwał się inny szlachcic, kłaniając się Branickiemu.

— Do usług waszmości, a jeżeli wola, nie traćmy czasu, odpowiadał ten z pokłonem.

Podczas kiedy reszta Pruszyńskich wydostawszy zkądciś kija, w jednym końcu losowali kolej spotkania, dwaj starsi stanęli jeden z Janikowskim, a drugi z Branickim do rozprawy.

Pruszyńscy sui generis sejmikowicze, znani byli ze zręcznej gry w pałasze, a nawet z tego względu, nie ważono się włazić im w drogę; patrzyli już tedy z góry na swoich adwersarzy, jak na nieboszczyków, a przynajmniej wyrzuconych za szranki, a to tem bardziej, że przeciw nim wystawili najzawołańszych z pomiędzy siebie, Porucz-

nika i Chorążego, starych wojaków hetmańskiego znaku.

Już inni kolejkę pomiędzy sobą wylosowali, kiedy gra jeszcze trwała i przypatrywali się jej ciekawie: obaj Pruszyńscy dzielnie nacierali, atoli że godnych siebie przeciwników znaleźli, pomimo całej sztuki i wysilenia, pot tylko lał się z nich kroplami i siły tracili, a przeciwnicy lekką jak dla zabawy szermierką, ciężkie ich razy odpierali. We wszystkich piersiach oddech się zatamował, a każdemu szczękowi pałaszy, setki serc silniejszem uderzeniem wtórowały. Czasem któryś przyskoczył z tyłu do Pruszyńskiego i półgłosem radę wyszeptał:

— Skróć mu rękawicę, tnij ze spodu, pchnij prosto i t. d.

Lecz te admonicye na niewiele się przydawały, przeciwnicy bowiem najmniejszy gest przewidywali, i żaden ich zamach nie dosięgał.

Nakoniec Branicki ranił swojego dość silnie w ramię, krew trysnęła, a szabla mu z ręki wypadła. Zaraz się zbiegli swoi koło niego, krew tamować i zemdlonego trzeźwić zaczęli.

W tejże chwili Janikowski jak na komendę, zręcznym fortelem, nie raniwszy nawet przeciwnika, pałasz mu z ręki wytrącił, a swój natychmiast opuszczając, podjął tamten, i z pokłonem, zziajanemu przeciwnikowi rękojeścią naprzód podawał. Porucznik wszakże przyjmując pałasz, salutował nim przeciwnika, a tak prawił:

— Prawo rycerskie zabrania mi bój kontynować, skoro jegomość rozbroiwszy mnie, ze wspaniałomyślnością z tego nie korzystałeś. Pozwolisz mi waszmość pan przy tej zręczności wyznać, iż choć nie w jednej okazyi się bywało, i nie przeciw jednej szabli się stanęło, alem od kiedy żyw, podobnie subtelnej i doskonałej gry, jak jest waćpana, nie napotkałem.

I przeciwnicy ręce sobie podali, a nawet przyjaźnie rozprawiając, rozpytywał porucznik Janikowskiego, w jaki sposób tak zręcznego fortelu wyrzucenia szabli dokonał.

Podczas tego, cała uwaga reszty przytomnych skupiła się koło Chorążego, którego rana ciężką się okazywała i zatamowanie krwi było trudniejszem. Branicki iż może nad chęć płatnął, sam choremu starań nie szczędził, a submitując się powiadał:

— Wybaczcie mi panie i bracie, iż bez osobistej urazy, a mimo woli, takiego wam szwanku przyczyniłem.

— Gdzie drzewo rąbią tam wiory lecą, mości dobrodzieju, mimo bólu stoicznie odpowiadał Chorąży, któremu jako i innym, kordyalne obejście takiej persony, jaką był Generał wielce do serca przypadło, i już przeciw niemu więcej rankoru nie chowali.

Lecz skoro krew zatamowano, dopiero szlachta przypomniała sobie ów despekt wytrącenia broni

swojemu seniorowi Porucznikowi i tłumnie tedy do Janikowskiego:

— A co to waszmość Pruszyńskim broń z ręki wytrącasz czego jeszcze nikt nie czynił; a sprobójże waćpan mnie... mnie.... mnie....

Zawrzało kilkadziesiąt głosów; harmider powstał wielki, a daremnie rozbrojony Porucznik starał się go zagłuszyć, albowiem żadne perswazye i molestowania nic nie pomagały; zaledwie Porucznik powagą i wziętością zdobył tyle, że trzymając się wylosowanej kolei stawali z Janikowskim, który łatwiej czy trudniej, ale każdego rozbroił, szwanku mu nie zadając.

Generał nie posiadał się z radości, podziwiając tę zręczność swojego adjutanta. Szlachta nakoniec wszelką animozyę i rankor utraciwszy, już tylko podziwiała tę sztukę, i jeden po drugim szedł na Janikowskiego, azali nie będzie z nim szczęśliwszy, lecz każdy z jednym i tym samym skutkiem odchodził; aż kiedy już i dziesiąty z nielepszym sukcesem przeszedł, a i szermierz był niepomału zziajany, Porucznik z dobytym pałaszem stanął pomiędzy nim a chotnikami i rzekł:

— Dość chłopcy tej niewczesnej rozrywki, bowiem siły tego rycerskiego kawalera, które do dobrej potrzeby przydać się nie raz jeszcze mogą, nie godzi się na marną zabawkę zużywać.

— Przecie się ze mną jeszcze nie probował..... Obaczymy jak ja szablę trzymam.....

Zewsząd wołali cisnąć się do rozprawy.

— Wara! — wrzasnął Porucznik — a komu ochota, to sam mu skórę wytataruję. Kiedy mówię dość, to dość! Ot lepiej pójdziem do Matysa wypić za zdrowie takiego kawalera, co starym rębaczom jak Pruszyńscy, pokazał gdzie raki zimują. Wiwat, niech żyje zacny nasz gość Generał-adjutant Jego Królewskiej Mości i Janikowski pierwszy fechmistrz na kuli ziemskiej! —

Zakończył stary wykrzyknikiem, a że umiał zmusić partyę do szanowania swojej woli, znalazł odgłos we wszystkich piersiach. Pochwycono Janikowskiego i Branickiego na barki i niesiono do winiarni Matysa, będącej neutralnym gruntem, różne partye sejmikowe jednoczącym.

Skoro tam weszli, zastali już partyę przeciwną, po skończonej sessyi pijącą za obiór nowych posłów według swojej myśli, który przez zmniejszenie głosów zajętych ową rozprawą przeprowadzono. Szlachta utraciła fantazyę, i gdy jeden drugi przychodząc do Porucznika żalił się:

— Zażyli nas z mańki, bo usunąwszy z izby plondrowali tam jak się podobało, tak i reformy przeprowadzą.

— Jeżeli się tak wszyscy biją jak oni, niech reformują, to nam bitnych uformują ludzi. Pocieszał Porucznik i wszystko ku lepszemu skłoniło się, a posłowie po myśli byli obrani, o co właśnie przybyłym chodziło.

XIII.

Przywiedliśmy tylko jedną próbkę zręczności tych dwóch koryfeuszów sejmikowych, lecz gdyby nam przyszło wszystkie ich sejmikowe sprawki spisywać, na to trzebaby długich kronik i nie mało czasu: obiegając bowiem wszystkie znaczniejsze w kraju sejmiki, tu skonwikowali, tam posiekali, indziej zapoili partyę przeciwną i tp., a wszędzie na swojem postawili. Zarówno opuścimy po tych sejmikach następujący dość burzliwy sejm, jako do dziedziny historyi, nie zaś p ostej naszej narracyi należący i wrócimy do znanej nam strzechy Podstarosty.

Tam przez te lat kilka mało co się zmieniło, „tylko się ku starości nieco pochyliło.” Sam go spodarz odżywszy w dwóch wnukach, dzieciach swej córki i nie mniej ulubionego chrzestniaka Justka, lubo się postarzał, atoli wcale nie zgrzybiał i trzymał się jeszcze dość rażno i żwawo. Widząc zaś większą od swojej energię i czynność zięcia przy gospodarstwie, sam dobrowolnie na

drugi plan usunął się, i stał się tylko gorliwym wykonawcą i pomocnikiem, a przyglądająo się jak wszystko pod młodą ręką rosło i dwoiło się, mawiał sobie rozweselony:

— Otóż i macie jaja od kur mędrsze, a więc kury spać.

I dobytek domu się zwiększył, i jeszcze nowy folwarczek dla zamężnej córki dokupił i wszystko się dobro mnożyło, ale z niem razem tęsknota w sercu po niewdzięcznym synu; taił ją ojciec z męzką siłą, i jeżeli czasem w modlitwie na osobności, pierś mu rodzicielską głębszem westchnieniem podniosła, to prócz Boga, innego swojej słabości świadka nie posiadał. Inaczej wszakże działo się z sercem matki, a choć je krzepiła mężna niewiasta, atoli mocną nie była nakazać frasunkowi, ażeby przed czasem włosów jej nie zbielił, i twarzy do niedawna świeżej marszczkami nie poorał.

Tymczasem wieści o marnotrawnym synu i jego bohaterskich czynach, sejmikowych fortelach etc., nakoniec łasce pozyskanej u znakomitego personata do dworku dolatywały; dla serca matki stawały się balsamem radości i wbijały je w pychę, iż synaczek jej mir i wziętość na wielkim świecie pozyskał, lecz starzec, brew tylko marszcząc, słuchał z oburzeniem; skoro zaś tę sprawę Podstarościna na konferencyi małżeńskiej wyprowadzała, on argumentował:

— Nie masz się czem cieszyć moja panno.

— Jakże więc niemam się radować, wiedząc że nie tylko nasz Kostek nie zginął, ale nadto pozyskał łaskę panów i jest na drodze świetnej karyery?

— Ot nie wiem cobym wolał dla niego, śmierć lub tę haniebną karyerę burdy i zawadyaki, ślepego służaka fantazyi i intryg pańskich?... Jam go sposobił na żołnierza, a nie na płatnego ciurę, przedajnym orężem i przekonaniami frymarczącego — zawołał z oburzeniem i pogardą starzec, poczem dodał łagodniej wszakże stanowczo:

— Moja panno, czuj jak ci się podoba sercem matki, ale jeżeliś ku mnie affektu nie straciła, to już tej materyi nie wznawiajmy.

I na nowo każdy zamilkł, i zapracował po dawnemu: młoda para dom pracą i staraniem podpierała, i dobro jego mnożyła, dzieci szczebiotały wesoło, Podstarosta dumał głęboko, a jego żona przeczuwając nad domem jakąś burzę, chciała ją modlitwą odżegnać.

Aliści Bóg nie wysłuchał pobożnej niewiasty, albowiem coś tak koło dworku, jak i na dalszym firmamencie czarno się zachmurzyło. Dworek dotąd cichy, a zaledwie kilka razy na doroczne uroczystoście lub kulig zapustny liczniej nawiedzany, teraz nigdy z gości nie wypróżniał się; nie byli to wszyscy znajomi, powinowaci i sąsiedzi, a nie przebywający dla zabawy i kielicha, częściej atoli przybysze nieznani, to jacyś quasi wojskowi, to niby mnich po kweście, lecz jakiś nie-

zwykły, ponury, a po klasztornemu nie pokorny, nie szedł do niewiast z dykteryjką, nie uganiał się za dziećmi z ogórkami [1]), często niewiedzieć po jakiemu zmówił przedobiednie „Benedicte", a żegnał się jakby muchy opędzał, co zaś najdziwniejsze, a co nie pomału gorszyło i dziwiło tak pannę Gregorowiczównę jako i domowych, że o nic nie prosił, i baranów według kwestarskiego obyczaju, za sobą nie prowadził. To znów jakiś żydek za kupnem niby czegoś przybywał, a chociaż starał się koszlawić mowę, wszakże ta różniła się od Lejbkowej, do której ucho domowych przywykło; a żadnego produktu ze skrupulatnością żydowską nie opatrzył i nic nigdy nie kupił. Wszyscy ci goście pokonferowawszy w gęstwinie ogrodu albo w kancellaryi pańskiej z Podstarostą i Justkiem, a niekiedy z wezwanym przez nich do tego Jazłowskim — wbrew obyczajowi szlacheckiemu, bez traktamentu nawet odjeżdżali. Coś się w tem niepospolitego tailo — lecz co? — na próżno łamali głowy, nikt odgadnąć nie umiał, a zapytać nie śmiał. Podstarosta bardziej zadumany coś srodze na wąs motał.

Pewnego dnia przybył jakiś blizki sąsiad w odwiedziny i kiedy przy obiedzie rozpoczął w zwykłej gawędzie jakąś wieść o Kostku, gospodarz przerwał mu nagle temi słowy:

---

[1]) Pasek Św. Franciszka używany przez mnichów tego zakonu, pospolicie *ogórkami* zowią — dla czego tak? — nie wiem.

— Otóż mylisz się jegomość, albowiem mam wieść świeżą i najpewniejszą iż on zginął.

Zaledwie tych słów domówił, nieszczęsną matkę bez zmysłów wyniesiono do jej sypialni. Wszyscy przytomni kto opłakując brata, kto podzielając smutek domu, ryknęli głośnym płaczem i pośpieszyli na ratunek pani, która umieszczona na łożu, znaku życia nie dawała. Napróżno Gregorowiczówna na czele wszystkich niewiast usiłowała panią do życia przyprowadzić, i za chwilę rzewne łkania po nowej ciężkiej stracie dom osierocony napełniły.

Podstarosta sam blady jak człowiek umarły, po wymówieniu tych strasznych słów, stał nieruchomy, jakby chłodem ciężkiej konieczności owiany; lecz na odgłos powtórnego jęku z wielu piersi wydanego, zadrżał, i szybko ku sypialni żony skierował się, a po drodze widząc szafkę z apteczką Gregorowiczówny na rozcież otwartą, chwycił z niej na oślep jakąś flaszkę, a przybywszy do pokoju, ukazał ją przytomnym mówiąc:

— Ja chorą uleczę, mam tu tajemniczy balsam.

Milczenie ogólne po łkaniach nastąpiło i wszyscy wzrok pełen nadziei w mówiącego jak w cudowny obraz utkwili, i z bijącem sercem, śledzić wszystkie jego czynności gotowali się.

— Precz ztąd wszyscy, samego mnie zostawcie!

Zagrzmiał Podstarosta, i za chwilę już sam jeden przy żonie bez czucia pozostawszy, zamknął

drzwi za odeszłymi, a nachylając się nad jej uchem, zmówił wyraźnie oddzielając każdą syllabę:

— Hanno! syn *twój* żyje.

Na te słowa niewiasta otworzyła już prawie zastygłe powieki, a wzrokiem ociężałym wodząc do koła, zdawała się zadawać to pytanie:

— Azali słyszę na jawie lub jest to tylko senną marą?

Podstarosta wcielając w słowa to nieme pytanie chorej, jeszcze dobitniej wymówił:

— *Konstanty Janikowski* żyje!

Niewiasta jakby tknięta prądem elektrycznym, usiadła na łożu, a składając ręce do modlitwy, to na krucyfiks obok wiszący, to na męża błagalny, a razem niedowierzający wzrok przenosząc, drżącym głosem pytała:

— Nasz syn żyje? — Na miłość Boga nie wydzieraj mnie śmierci tą płonną nadzieją; mów szczerą prawdę, wszak masz wieść:

— Przysięgam na Boga i miłość ślubowaną ci przed Jego Kapłanem, że *Konstanty Janikowski* żyje, a wieści o jego śmierci żadnej nie odebrałem.

Niewiasta chwyciła rękę męża i długo do ust tuliła; on jej zbolałą głowę do gorącej przyciskał piersi. Trwało tak chwil kilka, aż niewiasta prawie uspokojona, jakby chcąc na nowo napawać się pociechą i w niej czerpać życie, błagalnie wyrzekła:

— O mówcie! mówcie mi panie jeszcze, że syn nasz żyje! I dla czegóż ty taki zawsze dobry, przez tyle lat uścielający drogi mojego życia kwiatami,

o ile zaś w mocy ludzkiej ciernie z nich oddalający, zdobyłeś się na takie okrucieństwo?

— Hanno! — odpowiadał poważnie uroczystym głosem — Już ci przysiągłem na to co mam najświętszego, żem wieść o śmierci Konstantego zmyślił, a to z racyi iż chociaż żyw jest, przestał być synem tego domu, który zhańbił, i lubo twojemu affektowi ku niemu żadnego rygoru nie przypisuję, wszelako zabraniam go zwać naszym synem.

— O panie mój! za co ten srogi wyrok?

Rozpoczęła z płaczem kobieta, błagalnie ręce ku niemu wyciągając, lecz on przerwał jej:

— Wyrok nie srogi, a sprawiedliwy, i cofnionym nie będzie. Obyś moja droga panno do śmierci nie dowiedziała się, jaką zakałę ściągnął człek ten na nasz włos siwy, a gdybyś to wiedziała, snadniejby ci śmierć nawet jego opłakać. A tuląc rozrzewnioną niewiastę do piersi, drżącym wyrzekł głosem:

— Módl się o jego nawrócenie i oby Bóg miłosierny cię wysłuchał.

Niewiasta zsunęła się z łoża na kolana, i w gorącej modlitwie zdawała się utracone siły odzyskiwać.

Podstarosta wyszedł z komnaty, a cały zastęp rodziny i domowników wyczekujący w trwodze i niepewności uleczenia chorej, a raczej wskrzeszenia opłakanej, na przeciw niemu wystąpił. On zaś ukazując przeze drzwi zatopioną w modlitwie, rzekł:

— Zostawcie ją w spokoju, widzicie iż żywą jest, a reszta w mocy Najwyższego.

Gregorowiczównie zaś, która z pozbyciem trwogi o zdrowie drogiej pani i przyjaciołki dawną ciekawość odzyskawszy, domagała się o przyswojenie dla swojej apteczki sekretu onego cudownego balsamu, z napół gorzkim uśmiechem odparł Podstarosta:

— W swoim czasie odkryję waćpannie to skuteczne arcanum.

Na trzeci dzień po tym wypadku, Podstarosta sprawił w Kościele O. O. Bernardynów w Kobryniu paradne egzekwie za duszę nieboszczyka syna, a na nich cała rodzina i domownicy znajdowali się prócz Podstarościny, pod pretekstem choroby pozostałej w domu, nadto całe sąsiedztwo sprosił, i stypą wyprawioną w refektarzu klasztornym ugościł.

A ponieważ prócz matki jeden tylko zięć był wtajemniczony w ono mysteryum, a kiedy przez przełożenia i molestacye, chciał srogi wyrok ojcowski przeciw syna zmiękczyć, odbierał ostrą odpowiedź:

— Kto się w tym obozie znajduje, gdzie on teraz, synem moim zwać się nie może, a iż zmarł on dla mnie na zawsze, więc oddałem nieboszczykowi co mu należało i dość na tem. A jeśliś łaskaw na mnie, i mój szczery ku sobie affekt choć cokolwiek ważysz, to o tem więcej między nami mowy

nie będzie. Ty zaś bądź mi synem jak dotąd, a Bóg ci to na własnych dziatkach nagrodzi.

I w ten sposób niewdzięczny syn stawał się za życia nieboszczykiem dla rodzinnego domu; na domiar zaś tego stary Janikowski, w Kruchcie Kościoła O. O. Bernardynów kazał wmurować w podłogę kamienną tablicę z napisem:

D. O. M.
Konstanty Janikowski
Syn Podstarosty Kobryńskiego
Zmarły zdala od rodzinnego gniazda
w wieku lat 28.
Prosi o westchnienie
do Boga
Za grzeszną duszę.
Anno Domini MDCCLXVIII [1]).

Podobnie ostentacyjne obwieszczenie śmierci syna przez ojca, nie pociągało za sobą żadnej wątpliwości, zatem przyjaciele i sąsiedzi, po tak ciężkiej stracie dla rodziny pośpieszali z kondolencyą, którą Podstarosta z powagą przyjmował, żona zaś i zięć, jedyni przypuszczeni do tajemnicy, zdradzić jej nie śmieli.

Po niejakim czasie, skoro kondolencyi zaprzestano, dawni tajemniczy goście zjawiać się gęściej zaczęli, aż nakoniec już nie samopas jak dotąd, ale nawet i kupki zbrojne ukazywały się i po dni

[1]) Tablica ta przed kilkudziesięciu laty jeszcze istniała.

parę we dworku gościły. Powody tej tajemniczości już rozjaśniać się zaczęły, bowiem zaledwie ku wiośnie na rok przyszły, wieść pewniejsza o zawiązanej konfederacyi w Barze do tej głuszy dotarła, i nakoniec pan Starosta Ziołowski Marszałek i Krajczy Litewski, Regimentarz konfederacyi Litewskiej uniwersały rozsyłać poczęli. A gdy Puławski już dotarł do Słonimia, a Bierzyński do Białegostoku, wtedy dopiero powziąwszy pewność o tem co się w kraju, całą puszczą od nich oddzielonego działo, szlachta Kobryńska ruszać się zaczęła. Ponieważ do tego zakątka wojska królewskie ani rossyjskie jeszcze nie doszły, swobodnie tedy konfederacyę pomiędzy sobą zawiązawszy, czasowymi jej dygnitarzami obwołali teścia i zięcia—Janikowskiego Marszałkiem, a Fedorowicza Regimentarzem. Wszakże nie idzie za tem, aby prosta szlachta, jak to się między magnatami praktykowało, puściła się na intrygi, i swoich oddzielnych urzędników pomimo już innych ustalonych mieć chciała—lecz ono marszałkowstwo i regimentarstwo były tylko czasowymi urzędami, dopókiby do innych stałych komend nie wcielili się.

Dworek Podstarosty znany nam jako zaciszny i spokojny, całkiem inną przybierał postać i z pod panowania gospodarnej Cerery pod władzę srogiego Marsa przechodził. Sprężyste dotąd gospodarstwo poszło na wolę Bożą; czynni zaś Marszałek i Regimentarz, gorliwie oddali się nowym urzę-

dom: pierwszy przygotowywał rysztunki i obóz do marszu, drugi po całych dniach odbywał ewolucye wojskowe, i ćwiczył nową swoją kompanię. Niewiasty nie mniej były zajęte szyciem wjuków i mantelzaków — i nie poznał byś tego domku cichego, który teraz prędzej na obóz wojskowy niż na mieszkanie spokojnego szłachcica rolnika wyglądał.

Pomimo gorliwej czynności przywódców, zaledwie z początkiem wiosny oddział Kobryński wyruszył; dobry zaś sobie na starszyznę wybór uczynił, bo tak staraniem Regimantarza pod względem manewrów wojskowych ludzi miał dobrze wyćwiczonych, jak również amunicye i obozy z łaski Marszałka w należytym porządku znajdowały się; do pięćdziesięciu koni oddział wynosił licząc w to tak samą szlachtę jak i luzaków. Bowiem co tylko zakątek posiadał zdatnego do udźwignienia broni, wszystko to wymaszerowało. Na ten raz stary Jazłowski nie dał się wyłączyć, i główne kwatermistrzowstwo w kompanii spełniał, dwaj jego synowie jako w regularnem wojsku zaprawieni, wielce byli Regimentarzowi pomocni.

Niepodobna nam krok w krok śledzić marszruty tego oddzialiku, tembardziej iż dalsze losy jego samego żadnego zajęcia nie przedstawiają. A ponieważ tymczasem na Litwie dotąd z wojsk ogołoconej, prócz oddziałów wprawdzie słabych królewskich i korpus Suwarowa się zjawił i już pod

Stołowiczami z Hetmanem Ogińskim walną bitwę stoczył, zatem zadaniem przewodzców naszego oddzialiku, nie było działać na swoją rękę, a tylko lawirując starali się z większymi siłami połączyć; że zaś temu zadaniu przezorność czasowego Regimentarza zadość uczyniła, cała jego kompania, szczęśliwie bez stoczenia bitwy niebawem pomiędzy inne oddziały i rozmaite dowództwa rozproszyła się; — tyle tylko wymógł przy nowej segregacyi Fedorowicz, iż z teściem nie rozłączył się, a razem z nim i jego domownikami do jednej komendy byli wcieleni.

XIV.

Bez najmniejszej pretensyi do kreślenia historyi, w kilku słowach przedstawię ówczesny smutny stan kraju: słońce nowego panowania tak świetnie jaśniejące u wschodu, nie doścignąwszy jeszcze południa, czarnemi powlekło się chmurami. Zamiary zbawiennych reform nie znalazły przychylnego odgłosu w narodzie, lub podawane nieumiejętnie, ręką nieenergiczną, albo nakoniec przez ludzi, w błogiem i zbawiennem porównaniu stanów własnego wywyższenia szukających, oburzyły ogół, wytworzyły partye przeciwne, podnieciły niezgodę i nietylko rozdmuchały najzaciętszą wojnę domową, lecz co gorsza, upor duchowieństwa co do ustępstw dyssydentom wywołał z uśpienia dawną niechęć religijną dyzunitów z unitami, ztąd bunt hajdamaków, a pożar straszny przez to rozdmuchany, zaledwo strugami krwi niewinnej zalał się.

Tak partya królewska zrazu najlepszych chęci dążąca do pokoju, zreformowania rządu, siły zbroj-

nej i tp. nim zdołała nowe wojsko zorganizować i na opłacenie zaległe laty dawnemi podatki ściągnąć—bez sił i pieniędzy stanęła w obec groźnie szerzącej się konfederacyi i buntu hajdamaków ukraińskich.

Owóż adjutant Branickiego, w tym czasie kiedy za jego żywą duszę solenne egzekwie ojciec odbywał, i nagrobek mu wystawił, po chwalebnem ukończeniu burd sejmikowych, teraz burszował na Podolu razem ze swoim Generałem, którego król nową godnością Łowczego Koronnego zaszczycił i jemu jako zaufanemu przyjacielowi, ważną sprawę rozproszenia konfederatów polecił.

W otwartem polu nie szło im tak raźno jak w pojedynkowych awanturach, a chociaż konfederatów Barskich za Dniestr do Turcyi przesadzili, jednak to przy pomocy wojsk rossyjskich, bez których gdzie tylko samopas działali, wszędzie im się nie powiodło. Jednak, iż skutek wedle rozumienia królewskiego był pożądany, zręczny Łowczy potrafił w umyśle króla całą zasługę sobie przypisać. A skoro działania wojenne konfederatów z ponad granic tureckich w głąb kraju przeniosły się i dalsze ściganie ich Łowczemu Koronnemu było poruczone, a wierny adjutant przy nim pozostawał.

Tymczasem kolejno pod rozmaite komendy przechodząc, teść z zięciem dostali się aż na drugi koniec kraju, pod komendę sławnego wojownika Regimentarza powiatowego Łowickiego—Za-

rembę, a z nim po Sieradzkiem plądrowali, i kiedy to on rozpędził trybunał Piotrkowski, jako w imieniu Króla sądzący, z nim razem tam się znajdowali.

Nakoniec śmiałemu temu oddziałowi Branicki z wojskiem królewskiem pod Widawą drogę zastąpił, i byłby na miazgę stłuczony, gdyby adjutant jego Janikowski nie nadciągnąwszy z małym oddziałem rezerwy, tyłu nieprzyjacielowi z wielką śmiałością i narażeniem siebie nie zajął. Przez tę dywersyę Branicki umknął z niedobitkami, a jego adjutant z całą wprawdzie nieliczną kompanią w plen się dostał.

Podstaroście jakoś ta cała wyprawa nie wiodła się szczęśliwie, parę razy acz lekko ranny, jednak dla podeszłego wieku, już czynnym bronią być nie mógł, a nadto kontuzya w prawą rękę, resztę do tego sposobności mu odjęła; jako tedy człek roztropny a gospodarny, spełniał urząd Oboźnego przy oddziale, i przy pomocy starego Jazłowskiego i kilku z ran niewydobrzałych, tę czynność załatwiał.

Po ucieczce Łowczego i zabraniu w plen zbawczego dlań oddziału jego adjutanta, Zaremba nie miał już z kim wojować, a spodziewając się że Branicki, samopas bić się nie lubiący, wiódł za sobą inne siły, zatem ażeby bez odpoczynku dwie bitwy nie staczać, i zbytnio sił nie osłabiać, dalej zdążając, obóz który w przeprawie przez błota w tej okolicy po nad Wartą ciągnące się mógł

mu być ciężarem, do dalszej dyspozycyi, a przy nim jeńców pozostawił.

Pomimo iż obcy historycy o surowość i okrutne obchodzenie się z jeńcami konfederatów pomawiali, lecz jako żywo ani charakter wojny, prędzej przeciw królowi niźli współbraciom podjętej, i samo usposobienie do tego nie dawało pohopu. Była przyjęta zasada wymiany, przy dobrej zaś woli wcielenie do własnych szeregów, a nakoniec wolność za przysięgą, iż przeciw konfederatom bić się nie będą. Ten sposób postępowania był przepisany instrukcyą generalności; a nareszcie sam sposób prowadzenia partyzanckiej wojny, do ciągnienia za obozami taboru jeńców, najmniej nadawał się.

Podstarosta tedy, jako naczelnik obozu, a w skutek tego i jeńców, kazał ich stawić przed siebie. Po oddzieleniu ranionych w bitwie, samo przez się do ambulansu kwalifikujących się, pozostałych kilkunastu wprowadzano po jednemu; tych oboźny rozpytawszy się czyli chcą walczyć w szeregach konfederackich, lub obowiązują się parolem na przyszłość przeciw nim nie występować? — stosownie do odpowiedzi, odsyłał w jedną stronę dla wpisania do regiestru szeregowego, lub po wzięciu stosownego parolu, wypuszczano na wolność. Wszyscy jeńcy przeszli, pozostawał tylko ostatni, ten skoro wpuszczony do izby sam na sam z Podstarostą pozostał, ze łzami jął mu obejmować kolana wołając:

— Ojcze i panie! jam to jest twój syn występny!

Na te słowa zerwał się Podstarosta, a kopnąwszy pogardliwie u nóg wijącego się, chrypliwym od gniewu głosem przemówił:

— Ja nie mam syna, i jeżeli jeszcze raz nazwiesz mnie ojcem, jako zbuntowanego i nieposłusznego jeńca, każę cię rozstrzelać!...

Przy tych słowach gniewnie zmówionych, krew mu omal nie tryskała z twarzy, a jednak przemagając gniew i wzruszenie, ozwał się o ile to było w jego mocy spokojnie:

— Naprzód zabraniam waćpanu zwać się mojem nazwiskiem, które już na kamieniu grobowym dla ciebie wypisałem, szkoda żem nie mógł pod nim i ciała twojego przedajnego złożyć..... Dasz mi waćpan na to parol żołnierski, iż mojem nazwiskiem zwać się nie będziesz?

— Daję — odpowiedział jeniec.

— A teraz, ponieważ w udzielonej mi od Regimentarza władzy, parcyalnym być nie mogę, tak w nienawiści, miłości, jako i żadnym osobistym sentymencie powodować mi się nie wolno, zapytuję waszmości czyli chcesz wstąpić do naszych szeregów, w takim razie każę ci wydać broń i konia i dopędzisz z moją kartą Regimentarza, albowiem przy sobie mieć cię nie chcę; lub wykonasz przysięgę, że przeciw konfederatom bić się nie będziesz?... a w takim razie świat przed waszmością otwarty.

— Niestety, wybacz mi jegomość iż co do tego posłusznym nie jestem, nie mam wolnego sumienia dla nowej przysięgi, albowiem jedną wykonałem, że do ostatniej krwi kropli Królowi Jmci poświęcę, a parolem żołnierskim zobowiązałem się nie opuszczać mojego Generała, a razem i dobrodzieja. Woli zatem swojej nie posiadając, przysięgą się związywać nie mam prawa.

— To waści ostatnie słowo?

— Ostatnie — Była krótka odpowiedź.

— Takich więźniów regulamin każe pozostawiać do dyspozycyi jmć pana Regimentarza, co też i z waćpanem uczynię.

Odpowiedział sucho Podstarosta i na ordonans zawołał; zadrżał mimo woli, gdy na wezwanie stawił się stary Jazłowski, który panicza przez się wypiastowanego snadno mógł poznać; lecz że w rzeczy Konstanty znacznie zmężniał, a kresa na czole bardzo go zmieniła, więc Jazłowski stał w progu z subordynacyą żołnierską, przez co Podstarosta odzyskał zimną krew, z którą rozkaz wydał:

— Weźmiesz waszeć tego jeńca, który nie złożył żadnej z wymaganych deklaracyi i pozostaje do dyspozycyi jmć pana Regimentarza.

— A to jak u naszego wielmożnego Regimentarza z którym nie ma żartów, to kulką pachnie bez ceremonii. A szkoda tak pięknego kawalera, może się jeszcze namyśli, nie koniecznie do naszych szeregów, ale czy to konfederaci zbóje, czy

co, żeby to było wielką rozkoszą przeciw nim występować — przecie to obrońcy Matki Boskiej? —

Z poufałością starego sługi, zabaczywszy wojennej dyscypliny, wymowił śmiało stary żołnierz.

Na te słowa mimo woli zadrżał Podstarosta i ledwie potrafił ukryć wzruszenie, a stary widocznie przybierając rolę pacyfikatora, zwrócił się do jeńca i pytał:

— A jak godność waszmość pana, niech mi wolno zapytać? —

Podstarosta skamieniał nim odpowiedź syna usłyszał, który nie bez jąkania wymówił:

— Jani..... Janiszewski.

Staremu ulżyło na sercu, że syn parolu dotrzymał, a prawie dumnie z pod oka nań spojrzał.

— Janiszewski, a nasz pan Obożny Janikowski, to ze szlachectwa jakby bracia rodzeni.... — a dalej z westchnieniem zwrócił się do komendanta, i rozczulony pokornie prawił:

— Wielmożny Komendancie! Dali Bóg ten kawaler tak mi przypomina naszego nieboszczyka panicza, iż gdybym sam nie był na egzekwiach za jego duszę w Kobryniu, to przysiągłbym że to on żyw ze skórą i kośćmi; prawda że nasz panicz nie miał tej kresy na czole, ale czy to w wojnie o to trudno....

Obadwaj ojciec i syn stali pod wielomownością starego sługi jak pod pręgierzem, i ostat niemu łzy

się zakręciły w oczach, jednak powstrzymać je zdołał.

Podstarosta pragnąc przerwać tę niemiłą scenę, przybrał wojskową surowość i rzekł:

— Zanadto rozprawiacie stary, zamiast słuchać ordonansu; masz waszeć wziąść pod surowy areszt tego oto jeńca, i przystawić mu straż przytomną, która razem z waszmością za jego ucieczkę gardłem odpowie... Na lewo w tył marsz!

I stary Jazłowski do rzemiosła i dyscypliny wojskowej przywołany, razem z jeńcem izbę Komendanta opuścił.

Jazłowskiego ciągle trapiło to podobieństwo jeńca do panicza, lecz napróżno badał go na wszystkie strony, czyli w wojnie przynajmniej gdzie tamtego nie spotkał? i tp. Atoli jeniec zamknąwszy się w milczeniu, ciekawość starego ostudził. Gdyby przynajmniej byli jego synowie lub inni domownicy Podstarosty, którzy razem z Fedorowiczem przy regimentarskim oddziale pozostali, mógłby tę ciekawość sprawdzić, ale że i tej sposobności nie posiadał, więc przez czas uspokoił się i do zwykłych zatrudnień powrócił.

Zaremba tymczasem forsownym marszem dotarł aż pod Kraków, a tam, czyli obozu nie potrzebował, czyli otoczony zewsząd nieprzyjacielem obciążać się nim nie chciał, przez jakąś okazyę wysłał ordonans do Janikowskiego, ażeby z obozem postąpił jak mu się będzie lepiej zda-

wało: lub przyłączył go do jakiego oddziału, albo w ostatnim razie rozpuścił.

Odebrawszy taki ordonans Podstarosta na radę wojenną Jazłowskiego wezwał, i tak rzecz wytoczył:

— Słuchajno waszmość, co teraz poczniemy? — Liczymy zaledwie dziesięciu ludzi, jako tako do marszu zdolnych i to sami rekonwalescenci, a prawie żaden z nich jeszcze się porządnie z ran nie wylizał i Bogiem a prawdą jesteśmy prędzej ambulansem aniżeli kompanią wojskową, i jeżeli przy regimencie na cokolwiek zdaliśmy się, to samopas lada podjazd nieprzyjacielski nas schwyci. Owóż umyśliłem tak: kilku naszych chorych obłożnie, zostawimy jak dotąd na opiece X. Proboszcza, którego tym końcem w jaki taki fundusz zaopatrzymy. Z reszty zaś każdy dostanie konia i część ze szczupłej kassy naszej regimentarskiej i niech sobie radzi jak może. Waćpan zaś zaprzężesz parę moich i swojego konia do wozu, broń ukryjemy starannie, i puścimy się ku domowi, jeżeli napotkamy jaki oddział nasz po drodze, to mu się zameldujemy, a nareszcie jak się Bogu będzie podobało nami zakierować..... Cóż waść na to?

Zdanie to u konsyliarza wojennego nie znalazło opozycyi, i już pośpieszał do wykonania rozkazu, kiedy Podstarosta go zatrzymał, a kołując niby mu wydawał rozkazy, snać jednak coś mu tam na sercu leżało, aż nareszcie prawie nieśmiało wymówił:

— No a cóż zrobimy z jeńcem?

— Jeżeli wolno mi zdanie wymówić, dać mu tam co na drogę i puścić na cztery wiatry wielmożny Komendancie.

— Chyba że wykona żądaną przysięgę, a inaczej prawem regimentarskiem, jakie mi na mocy ostatniego ordonansu przysługuje.....

Nie domówił Podstarosta i pobladł straszliwie.

— Namawiałem ci go do tej przysięgi, ale jej nie wykona, a znać to po nim, iż stały jest w przedsięwzięciu kawaler — powiedział Jazłowski.

— Ha! w takim razie trudna rada i ja jako tu główny Regimentarz, feruję nań wyrok śmierci.

Rzekł Podstarosta drżącym i niepewnym głosem pasując się z sobą, a nie patrząc na Jazłowskiego, aby zwiększającą się bladość oblicza przed nim ukryć, dodał:

— Masz waszmość zebrać ludzi z nabitą bronią udać się w pole, i tam on wyrok niezwłocznie wykonać.,.. Czegóż waść jeszcze czekasz? usłyszałeś com rozkazał.

— Bo choćby mnie samego miał spotkać równie surowy wyrok, ja tego rozkazu nie wykonam, odparł starzec stanowczo,

— Stary waść żołnierz i rozumiesz czem taka niesubordynacya pachnie.

— Rozumiem, i sam z góry najsurowszej karze poddaję się, ale i wielmożny Komendant wie, że tego wyroku ferować się jemu nie godzi, bo chociaż jeniec ów nic mi nie mówił, jednak odgadłem i prawie jestem pewny, że on.....

— Miloz! nie wymawiaj dalej! —

Rzekł Podstarosta zbliżając się do żołnierza, a po chwili zalany łzami padł mu w ramiona, i zaledwie przez łkanie mógł wymówić:

— Widzisz mój Tomaszu jakem jest nieszczęśliwy ojciec i tegom na starość doczekał, iż właszego syna na śmierć skazać muszę.

Po niejakim czasie mówił choć ze smutkiem, jednak spokojniej:

— Powinność żołnierska do tego mnie zniewala; sam bowiem osądź, że bez żądanej przysięgi wypuścić nie mogę go na wolę z tajemnicami naszego obozu. Widzisz więc iż smutna konieczność.... Radź ty nakoniec!

— Jeżeli mi jegomość głosu udziela, więc powiem iż to kim jest ów jeniec, pozostanie na zawsze pomiędzy nami tajemnicą; co zaś do niego samego, dał mi parol żołnierski, że nie ucieknie, a ja za niego głową odpowiadam iż dotrzyma. Weźmiemy go z sobą, i pierwszej napotkanej komendzie konfederackiej oddamy; niech idzie lepiej na cudze ręce.

— Dziękuję ci mój poczciwy Tomaszu, boś mi wielki ciężar zdjął z serca — wyrzekł Podstarosta i dodał:

— A teraz idź przygotuj wszystko do drogi, jeńca weźmiemy z sobą.

Nazajutrz przede dniem toczył się po drodze od Widawy wóz zaprzężony w trzy konie; na głównem miejscu siedział Podstarosta, a przy Jazłowskim, popędzającym konie, jeniec; wszyscy zaś surowe milczenie zachowywali. Ponieważ broń w słomę starannie pochowali, sami w proste siermięgi przybrani, niczyjego podejrzenia po drodze nie wzbudzili. A że to już było pod koniec konfederacyi, kiedy wszelkie działania wojenne ku Krakowu ześrodkowały się, ta część kraju przez którą zdążali, była z tego i owego wojska wcale ogołoconą i żadnych oddziałów nie spotkali.

Podstarosta zbliżając się ku Kobryniowi, ocierał się nie raz o znajomych, i sam rad był o domu powziąść języka, i z radością dowiadywał się, iż tam jakoś przy łasce Bożej nic smutnego nie zaszło.

Przy tych spotkaniach, każdy brał jeńca za prostego luzaka, a nikt w nim nie odgadł syna Podstarosty, raz że lat kilka od dziecinnego prawie wieku, w którym gniazdo rodzinne opuścił znacznie go odmieniły, a powtóre iż po solennych egzekwiach, nikt o jego śmierci nie wątpił.

Skoro stanęli w Kobryniu, z konieczności nowa narada o jeńcu z Jazłowskim nastąpiła, a ten zapytany tak rzecz motywował:

— Taką przestrzeń kraju i Koroną i Litwą przebyliśmy, a nietylko żadnego oddziału, ale chociażby luźnego konfederata nie spotkali. Już tedy jak sam jegomość widzisz po konfederacyi, której

mała gartka przed siłą przeważną nie ostoi się, a więc gdybyśmy jeńca, wolno puścili, nikomu on szkodzić nie będzie.

— Może masz waść słuszność, atoli należałoby przód ażeby wiedział czego się ma trzymać względem tutejszej szlachty, i dla tego pójdź z nim waszmość do kościoła, i pokaż mu tablicę w kruchcie, tę co wiesz....

Skoro tedy wrócili, Podstarosta kazał stawić jeńca przod siebie i rzekł mu:

— Wracasz waćpan z kościoła i wyczytałeś zapewne na kamieniu zapisane na wieczną rzeczy pamiątkę, iżeś zmarły jest dla mnie i dla całej rodziny, a więc idź waść bo już nie masz tu co robić, wracam ci parol i jeńcem odtąd moim nie jesteś.

— Niech mi wolno będzie na matkę, siostry i dom niegdy mój rodzinny spojrzeć choć zdaleka. Rzekł Kostek rozczulony.

— Nic już z tem wszystkiem wspólnego waćpan nie masz i mieć nie będziesz póki ja żyję, i jedyne miejsce w domu rodzinnym jest ta ciemnica, którą czas jakiś zajmowałeś przed udaniem się na wojnę; wszakże uprzedzam, iż raz tam wszedłszy, za mego życia ztamtąd nie wydobędziesz się; masz waszmość do wyboru.

— Niech się dzieje wola jegomości pana, lecz odejść ztąd nad moje jest siły, i niech chociaż ona ciemnica zbliży mnie do strzechy rodzinnej.

— Do woli waćpana, ja swoje powiedziałem i od tego nie odstąpię.

Urządzono tak, iż powrót Podstarosty do domu nastąpił w nocy, a że klucze od piwnicy w której rzadsze sekty i inne kosztowności mieściły się, miewał zawsze przy sobie, natychmiast po przybyciu, nim domowi się pobudzili jeńca tam zamknął; i tak Kostek na nowo znalazł się w tej ciemnicy, z której do werbunku był poszedł, i po raz drugi zagrzebany był za życia. Stary Jazłowski dla ciekawych domowników stworzył gadkę o strasznym turku w plen przez nich wziętym, takie zaś dziwy o nim opowiadał, iż miejsce jego uwięzienia żegnając się ludzie wymijali.

XV.

Cięży mi jeszcze na autorskiem sumieniu zameczek nad Dniestrem, sui generis warowna twierdza niegdy Subdelegata, od której na długo oddaliliśmy się, gdzie w imieniu jedynego męzkiego potomka, gorliwy jego opiekun, a wierny i po śmierci rodziców przyjaciel Cześnik Czerwonogrodzki ozuwał i panował, a tego spadku swojej nieodżałowanej jednodniowej małżonki, strzegł jak oka w głowie: dobra zaś nie tylko nie uronił, lecz o ile mógł pomnażał, dziecinę mile rosnącą więcej niż swoją własną hodował, i piastował; a jak w jednem tak i w drugiem, czynnie mu dopomagała niespożyta wiekiem i pełna sił jeszcze staruszka Jmó Panna Starościanka, która już przy czwartem pokoleniu domu tego w wierności i poświęceniu przetrwała.

Z łaski tych niezmordowanych pracowników, nie dostrzegłbyś nawet braku dawnych gospodarzy w tym domie, chyba po tęsknocie i żalu w sercach ich zastępców.

Na sierocie i jego mieniu nie kończyła się spuścizna Cześnika po przyjaciołach; bo jako mąż

dobrej rady a wielkiego serca, miłość i wziętość niegdyś adherentów Subdelegata pozyskał, razem z łaską Wojewody Kijowskiego, i jego sprawy na sejmikach musiał promować; — a chociaż najbardziej rad bawił się dzieciną lub jego dobra doglądając, innej nadto rozrywki nie pożądał i nie szukał; bo nawet wieś swoją dziedziczną Kormilcza zdał na łaskę Boga i wierność Hryhora, jednak przynaglony przez ogół, nie mógł się od spraw publicznych usunąć.

Lecz skoro swoje odbył, wracał z rozkoszą do zacisza i ulubionej dzieciny, do których niekłamane uczucie ciągnęło.

Ten stan błogi i tyle pożądany dla jego spokojnej i utęsknionej duszy, trwał przez lat kilka po śmierci Subdelegata; już dziecina czwartego roku dobiegała, a jako roskoszne i szczebiotliwe chłopię, mały Łukaszek był mu istną pociechą po poniesionych stratach, a to tem więcej, iż wdzięczną dziecięcą twarzyczką napominał mu ulubione oblicze zmarłej swojej matki, której obraz niezatartemi rysami odbijał się w tem mężnem sercu.

Nie mniej Cześnik pomny na ostatnią wolę zmarłego przyjaciela Subdelegata, na kronikach rodzinnych i prognostykach fundowaną, poczynał zawczasu główkę chłopaka podstrzygać i podgalać, a w długie go suknie ubierać, atoli ku wielkiemu jego frasunkowi, ile razy do spełnienia woli testatora przystąpił, chłopczyna zapadał na zdrowiu, i lekarze pod utratą życia, zaniechać tego polecili. A ponieważ Łukasz był żywego temr

peramentu w każdej dłuższej sukni zaplątał się, guza sobie nabił lub i większego szwanku przyczynił, tak iż mu suknie skrócić musiano, i rady tak na jedno jak i na drugie nie było. Z tego wszystkiego miłujący przybrany ojciec nie dobrze sobie o przyszłości ulubionego dziecka eminował; a lubo chciał się wznieść wyżej nad przesądy i prognostykom nie wierzyć, jednak że wtedy jeszcze czas filozofowania i sceptycyzmu na szlachtę nie przyszedł, frasował się w duchu o przyszłość swojego wychowańca, przewidując iż zejdzie sterilisem ze świata i tarczę skruszą na jego grobie.

W roku 1766 odbył się burzliwy sejmik Bracławski w Winnicy, na którym partyą wojewodzińską ze spadku po Subdelegacie Nieświastowskim, Cześnik Czerwonogrodzki przewodził. Nie wdam się w opisanie tego sejmiku, lubo ostatnim z burzliwych był, lecz że to *ab uno disce omnes*, tak bowiem do siebie były podobne, wolę powtarzania uniknąć.

Że jak dochodziły do zamku wieści, w Warsza wie na sejm dłuższy się zaniosło, rad był Cześnik że od miłych wspomnień i dzieciny ukochanej nie prędko go oderwą, i cieszył się że mu chłopak rósł sporo, a z nim razem przy dobrych rządach i jego fortuna.

Aliści rok 1768 zaburzył spokój ogólny i z nim pożądaną ciszę na zamku. Z wiosną gruchnęła wieść o zawiązanej w Barze konfederacyi; Cześnik nim przemyślał w jaki skuteczny sposób akces

do niej uczyni i na dłuższy pobyt za domem wszystko urządzał; aliści jakoś po świętach Wielkanocnych zajrzano hufiec zbrojny ku zamkowi dążący; zaniepokoił się pan domu, albowiem do obrony był niegotów i zaledwie kilku starych sług jako słabą załogę posiadał.

Zbroił się tedy jak go stać było, kazał bramę zatarasować i most zwodzony podnieść, a kilka co zdatniejszych moździerzy na wały zatoczyć.

Wszelako hufiec zbliżał się w pokojowym a nie bojowym szyku, rusznic z pokrowców nie dobył, szablę w pochwach pozostawił, a nadewszystko co dziwnem się wydało Cześnikowi obserwującemu przez lunetę z baszty zamkowej, iż chorągiew białą rozpuszczoną, przodem orszaku wieźli. Nie dostrzegając tedy nic alarmującego, i dalej na stanowisku pozostając, dojrzał wyraźnie na chorągwi wizerunek Matki Boskiej; a kiedy nie zmieniając pokojowej postawy już tylko o parę staj od fossy najdowali się, tak iż twarze mógł rozpoznawać, bardziej się zadziwił postrzegając na czele orszaku Podstolica Wisłockiego i Podsędka Bukojemskiego—ten ostatni zawsze w niezmiennej czapce lisiej i lisiurce, niósł oną chorągiew na czele orszaku. Obydwaj jak wiadomo byli zagorzali adherenci partyi Generalskiej, ergo przeciwnicy Wojewodzińskiej.

Nie czekając tedy aż przemówią, pierwszy ozwał się Kunecki z oburzeniem:

— Mości panowie *Generalczyki* czy tam *familianci*, niewczesną obraliście sobie zabawkę napa-

dania na spokojnych ludzi, z którymi jak obecnie i dyferencya opinii poróżnić was nie może, bo sejmiku nawet nie mamy, i prędko go się spodziewać nie można, albowiem jak wieści ze stolicy podają, sejm do niedawno jeszcze agitował się. A zatem wracajcie z Bogiem tam zkąd przybywacie.

Zmówił pan Jacek jednym tchem, nie dawszy sobie przerwać mowy i natychmiast wydał rozkaz, ażeby puszkarze z zapalonemi lontami przy moździerzach stanęli i trębaczowi przy nim będącemu rejteradę trąbić kazał i dodał:

— Po trzeciem otrąbieniu, jeżeli się waszmościowie nie zrejterujecie, ognia dać każę.

— Czyliż waść jesteś bisurmanem, abyś strzelał do tego świętego wizerunku — ozwał się Bukojemski powiewając chorągwią.

— Niewczesną tu waszmościowie generalczyki krotofilę rozpoczynacie, a co gorsza przeciw świętości obrazu bluźnicie.

— Bóg z tobą panie Jacku, czyli nas nie poznajesz? Nie masz tu przecie generalczyków ani wojewodzińskich, a wszyscy słudzy Matki Boskiej i konfederacyi — ozwał się Macewicz Skarbnik Latyczowski przyjaciel Cześnika. Za nim postąpiło naprzód kilku innych wojewodzińskich i powiadali:

— Przecie to ja... to ja... nie masz już partyi żadnych i nie prywacie, a wszyscy jednej sprawie służymy.

W ten sposób pan Jacek postradawszy wszelką obawę, rozkazał most spuścić i bramy roztworzyć. A czego dotąd nie bywało, generalczyki i wojewodzińscy padli sobie szczerze w objęcia.

Po raz to ostatni zamek Subdelehata gościnne wrota przed liczniejszem gronem otworzył. Znów jak za dawnych czasów zawrzało w saganach, beczki z piwnic wytoczono; atoli nie był to ów gwar sejmikowy, bo każdy tam o przyszłych losach kraju i opuszczonego domu zadumał się.

Wojewoda Kijowski, który także akces do konfedracyi uczynił, a wiedząc o zebraniu tam swoich adherentów, słał do nich swoich gońców z zachętą i pieniędzmi i obyczajem innych magnatów, brał gorliwy udział w tej sprawie, wszakże do wyraźniejszego czynu, czyli jaśniej mówić do nadstawiania łba jak oni wszyscy nie doszedł, — bowiem zdawało się panom, iż swoje robili jeżeli, radząc z generalnością tuzali się między sobą o wyższe godności, lub dyplomatyzowali po obcych dworach. Dość było według nich ten ogień rozdmuchać, żeby się szlachta przy nim parzyła.

Wprawdzie nim to się szlachta do Cześnika zebrała, parę miesięcy od zawiązania konfederacyi minęło, atoli czas jeszcze nie przeszedł ciągnąć ku Barowi, gdzie Puławski z Krasińskim siły skupiali, a chociaż nieprzyjacielskiego wojska przeciw sobie jeszcze nie mieli, jednak już szerzące bunty chłopskie niepomału ich niepokoiły i bez wątpienia, że każda najmniejsza garstka chociażby i ta zebrana u Cześnika Czerwonogrodzkiego,

luboby sprawy nie zbawiła, ale zawsze za jaki taki sukurs starczyła.

Atoli szlachta po swojemu zaczęła od zwad i owego odwiecznego i zgubnego „nie pozwalam”, które przez jakieś nieubłagane fatum w poprzek najutartszych dróg się kładło. Ponieważ teraz z gotowym już zamiarem oddania nad sobą dowództwa Kuneckiemu przybyli, zatem zaraz go Marszałkiem *ad hoc* do czasu połączenia się z inną starszyzną obwołali, od czego on się szczerze odmawiał:

— Panowie i bracia miłościwi, jakkolwiek serdecznie wam wdzięczny za zaufanie, które wyżej dad wszelkie zaszczyty sobie stawię, a czuję to do siebie, iż w boju się nie cofnę i przy pomocy Bożej ostatnim nie będę, wszakże nigdy jeszcze w bitwach nie przewodząc, ani tego honoru a tem bardziej odpowiedzialności na swoje sumienie przyjąć nie mogę, z dobrą zaś ochotą pod komendę każdego innego, kogo tylko z pomiędzy siebie wskażecie, bezwarunkowo się oddaję.

— A któż tu dostojniejszy na komendanta od waszmość pana, który nam na sejmiku przewodzisz — zawołał jeden.

— Na żadnego innego nie pozwolę.

A skoro ktoś wymówił jedno imię, zaraz kilkadziesiąt głosów zawrzało:

— A to co nowego, wojewodziński będzie nami generalczykami przewodził.

Lub vice versa:

— Precz z generalskim, możemy przecie wybrać z pomiędzy siebie.

Cała bieda że ów nieszczęsny duch sejmikowy, leżał dotąd w głębi szlacheckiej piersi i nic go ztamtąd wyrugować nie było w stanie.

Rozdwoiły się zdania *po naszemu*, przyszło do zwad, burd i bijatyk, a nim się na kogoś zgodzili, tymczasem zdążył Ksawery Branicki z wojskiem królewskiem, z korpusu zaś Generała Kreczetnikowa uśmierzającego pod Humaniem hajdamaków, pod Bar ściągnęli z oddziałami Apraksin i Prozorowski, w całej okolicy wojska było pełno, i nim szlachta na obiór wodza zgodziła się, już rada nie rada na zamku załogą pozostać musiała; Bar bowiem po uporczywej i mężnej obronie poddał się nakoniec (30 Czerwca), a jego załoga z łaski zręczności wodzów, w granice tureckie schronić się zdołała. Nieprzyjaciel zaś puściwszy się za nią w pogoń, niszczył po drodze wszystko, osobliwie co tylko pozór jakiej warowni na sobie nosiło.

Kolej przyszła i na zameczek, gdzie się ona niezgodna załoga chroniła; a oddział wojska liczniejszy i bez wątpienia lepiej od niej wyćwiczony, do tego z paru polowemi działami, których warownia nie posiadała, pod słabe jej mury podstąpił. O poddaniu się na łaskę mowy być nie mogło, bo i w zobopólnem początkowem rozsrożeniu, łaska nie rzadko gorszą od zwycięzkiego oręża bywała.

Cześnik rad nie rad w chwili stanowczej objął komendę, i przed parlamentarzami, mostu zwodzonego nie opuszczając, oświadczył iż bronić się do ostatka będzie.

Nim zdobywający uszykowali się w szeregi, tyle miał czasu iż Starościankę razem z dziecięciem, przez skryte podziemne przejście do groty nad brzeg Dniestru wyprawił, i tam ukrył.

Zaledwie dopełniwszy tego do swoich wrócił, zaraz kanonadę z dział rozpoczęto. Trudno opisać całej okropności tego oblężenia; ani odwaga oblężonych, ani zrozpaczona obrona i męztwo, nic przeciw wyćwiczonemu, a w przeważnej sile będącemu wojsku nie pomogły. Zaledwie godzin parę potrwała walka, bowiem oblegający przybyli o zachodzie słońca, a skoro noc nadeszła, już łuna płonącego zamku całą okolicę oświeciła; z nieszczęsnej zaś załogi na miejscu poległej, zaledwie dziesiąta część i to ciężko ranionych, do niewoli się dostała.

Kunecki nie opuścił stanowiska wodza, póki jakaś możność oporu pozostawała, a gdzie się tylko potrzebnym być uznawał, nie szczędząc siebie na oślep się rzucał. Dopiero w ostatniej chwili, po utracie trzech palców u ręki i wystrzeleniu jednego oka, zdobył dość siły, ażeby pomimo ran ciężkich pod zasłoną nocy zniknąć w zamieszaniu i do dziecięcia, swojego najdroższego skarbu, pośpieszyć.

Nieprzyjaciel nim dom podpalił, nie dostrzegł zniknięcia, z czego skorzystał Cześnik i cały krwią zbroczony, miał nietylko moc do swoich dotrzeć, lecz przez nadludzkie wysilenie, sam niewiastę z dziecięciem na turecką stronę przez rzekę w łodzi przewiózł.

Szczęściem iż ..a sąsiada na tamtym brzegu miał znajomego T.urczyna rybaka, któremu prawa rybołowstwa na swoim brzegu bezinteresownie udzielał.. Poczciwy muzułmanin rad był wywdzięczyć się swojemu dobroczyńcy i biedną rodzinę tułaczy do biednej swojej lepianki przygarnął.

Zaledwie Cześnik krwią broczący dopełnił tego cudu wybawienia, padł na progu gościnnej lepianki i z upływem ostatka krwi, duch jego mężny uleciał.

Zgrzybiała staruszka i dziecię, z obcej ziemi jako wygnańce, na raz spoglądały na trupa jedynego swojego opiekuna i resztki mienia Subdelegata, stające się łupem nieprzyjaciół i pastwą płomieni.

Od tej strasznej katastrofy, minęło kilka zaledwie tygodni, kiedy poczciwy rybak na cmentarzu obcego wyznania, usypał jedną obok drugiej trzy skromne mogiły.

...obrony zamek Subdelegata, na zawsze pozostał ruiną.

E p i l o g.

Pominiemy te straszne obrazy wojny domowej, którychby się siła skupiła. A po onej uśmierzonej, a raczej krwią zalanej pożodze — tak jak rozpoczęliśmy, skończymy na sejmie Bracławskim.

W roku 1773 wysłał Król uniwersały zwołujące sejmiki na dzień 22 Marca. Do uniwersałów dołączoną była deklaracya trzech sąsiednich dworów, ważny przewrót zwiastująca; bacząc na to Król Jmć wzywał do starannego obioru posłów i jedności w działaniu.

Jak przed laty dziewięciu, do Winnicy zjechali magnaci z równie, a może i więcej przepysznymi dworami, wytoczono pełne beczki na miejsca publiczne, otworzono dawne gospody i suty w nich gotowano traktament: nawet w dwóch obozowiskach za klasztorem O. O. Kapucynów na końcu miasta przy wrzących kotłach i przygotowanych kadziach z napojem, kręciła się służba tu wojewodzińska, tam generalska i zda się wszystko jak ongi odbyć się miało.

A szlachta owy burzliwy żywioł sejmikowy?— Ledwie przylazł jaki setny, i to starzec o kiju lub młodzian pleyzyrowany bez ręki czy nogi, popatrzył iż był sam jeden, powlókł utęsknionym wzrokiem szukając dawnych swoich przywódców i koryfeuszow partyi, spojrzał na pański traktament z namarszczonem czołem, jakby na niem było wypisane niezatartemi głoskami:

„*Timeo Danaos et dona ferentes*"

i odszedł do domu.

Bowiem już nie wierzył magnatom, którzy obojętni na ogólne klęski, lub własnego wywyższenia przez nie szukające, jedni stali silni i nie wzruszeni, a nad zgliszczami szlacheckich siedzib wznosiły się pysznie ich pałace.

Gdzież owe zastępy wesołej, gołej a butnej szlachty z odwiecznem „Nie Pozwalam"?... Gdzie całe wioski szlacheckie, co się jak na sejmie wysypią, to jakby chmura słońce zakryją? — Owi Korzuchowscy z Korzuchowa, Wołkowińscy z Wołkowiniec, Czapowscy z Czopowiec, Popowscy z Popowiec, Radziejowscy z Hryszek i t. d. co to zaprawdę nie grzesząc mądrością, tchnęli życiem i zapałem?

Odpowiem z Wegnerem:

„Czteroletnia zacięta wojna doprowadziła kraj do ostatecznego wycieńczenia, zubożenia i ostatecznego zniszczenia. Ludu wojennego, opowiada X. Pstrokoński, rodowitych Polaków zginęło, jak wyrachował Król, mający o wszystkiem wierne doniesienia, sześćdziesiąt tysięcy. Bezbronnych ludzi tu i ówdzie porzniętych, rachowano też na kilkadziesiąt tysięcy. A zaprzedanych za sio za to konfederatów w niewolę, na kilkanaście tysięcy liczyć się mogło. Familie wielkich fortun do ubóstwa przychodziły; młódź szlachecka ostatnie kawałki ojczystych majątków potraciła."

Buszowali już tedy na sejmikach sami magnaci za pomocą dworaków, pieczeniarzy i awanturników, utrzymywanych przy dworach, a lub poselstwa sobie przywłaszczali, lub je swoim adherentom dawali, i odtąd nikt im na zawadzie nie stanął.

Było wprawdzie, kilka jeszcze sejmików, atoli prawdziwych sejmikowiczów nie stało.

KONIEC.